

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/576

1995



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

L. UNGER: **KRAJOBRAZ PRZED ANKIETĄ**

A.K. WRÓBLEWSKI:

JUŻNYJ ALBO NOWOROSSIJSK

T. MIANOWICZ: **STAN WOJENNY:**

FRAGMENTY SCENARIUSZA

A. POSPIESZALSKI: „**UT UNUM SINT**”

S. DUBAWIEC: **BIŁORUSINI CHCĄ, BY
BYŁO JAK PRZEDTEM**

SPIS RZECZY

Leopold Unger:	<i>Krajobraz przed Ankieta</i>	3
Mariusz Wilk:	<i>List z Wysp Solowieckich do Paryża</i>	21
Wacław Szafamow:	<i>Kilka moich żywotów</i>	24
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	31

WIERSZE

Bogdan Czaykowski:	<i>Medytacja. – O czym pamiętał we śnie sen. – Sekwoja</i>	42
Leszek Szaruga:	<i>Tryptyk z Wiepersdorf. – Chwytyanie</i>	45

ARCHIWUM POLITYCZNE

Andrzej Krzysztof Wróblewski:	<i>Jużnyj albo Noworossijsk</i>	47
Václav Černý:	<i>Czesi i Niemcy sudeccy</i>	51
Martin Komarek:	<i>Wygnanie Niemców było bezprawiem, naprawmy je</i>	60
Piotr Wandycz:	<i>Węgierskie migawki</i>	63

KRAJ

Tomasz Mianowicz:	<i>Stan wojenny: fragmenty scenariusza</i>	69
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	78
Ewa Chmielecka:	<i>Szkola Nauk Społecznych w Warszawie</i>	91
Wacław H. Bniński:	<i>Dar rodziny Bnińskich</i>	97

SPRAWY I TROSKI

Andrzej Stach:	<i>Polonia berlińska 1995</i>	100
–	<i>Oświadczenie Polskiego PEN Clubu</i>	108

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Antoni Pospieszalski:	<i>Encyklika „Ut unum sint”</i>	109
-----------------------	---	-----

SĄSIEDZI

S. Dubawiec - W. Czekman:	<i>Białorusini chcą, by było jak przedtem</i>	119
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	135

NOTATKI REDAKTORA	141
-------------------	-----------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Bolesław Taborski:	<i>KONTAKT 95</i>	147
--------------------	-----------------------------	-----

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 176

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Wrzesień–Septembre** **1995**

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr med. W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy), po raz 4-ty – DM 100,00	F. 340,00
Janusz i Urszula Dąbrowscy, Heidelberg (Niemcy), po raz 2-gi	F. 1.000,00
Dla uczczenia pamięci mego Brata, Tadeusza Ungara – w pierwszą rocznicę Jego śmierci – Siostra Jadwiga (Irvington, NJ – USA) – Dol. 500,00	F. 2.500,00
Dla uczczenia pamięci mojego Męża Jacka Jędrucha, zmarłego w Atenach w tragicznym wypadku 17 marca 1995 r. – Ewa Hoffman-Jędruchowa, Summit, N.J. (USA) – Dol. 200,00	F. 1.000,00
Maria i Wojciech Hermanowscy, Jamaica, NY (USA) – Dol. 20,00	F. 100,00
Jadwiga Juchniewicz, Lugano (Szwajcaria), po raz 14-ty .	F. 200,00
Gena Kliszewska, Los Angeles, CA (USA) – gratulacje i serdeczne życzenia na 50-lecie godów małżeńskich Andrzeja i Ireny Pleszczyńskich – Dol. 50,00	F. 250,00
Andrzej i Aleksandra Kozłowski, Paryż, po raz 30-ty ...	F. 200,00
Lech Krysiwicz, Montreal, Que, po raz 9-ty – Dol. can. 80,00	F. 245,00
Bolesław T. Łaszewski, New York, po raz 26-ty – Dol. 50,00	F. 250,00
Julian M. Pawłowski, Toronto, ON (Kanada) – w pierwszą bolesną rocznicę śmierci przyjaciela z lat paryskich inż. Macieja Gierszewskiego	F. 300,00
Grażyna i Xawery Rudzińscy, Dallas, TX (USA) – dla uczczenia pamięci Kazimierza Janiaka, wspaniałego sportowca i szlachetnego człowieka, zmarłego w Dallas 15 maja 1995 r. – Dol. 50,00	F. 250,00
Jerzy i Inka Szeptyccy, Los Angeles, CA (USA) – z okazji 50-tej rocznicy ślubu Andrzeja i Ireny Pleszczyńskich z Santa Barbara – Dol. 50,00	F. 250,00
Julitta Szylar, Nowy Jork, po raz 12-ty – Dol. 200,00	F. 1.000,00
W 25-tą rocznicę śmierci mego Męża, śp. Jana Freymana, zmarłego we wrześniu 1970 roku w Vancouverze, BC (Kanada) – żona Anna z synami – Dol. can. 250,00 ..	F. 900,00
Zamiast kwiatów na grób śp. dr. Jacka Jędrucha – koledzy z firmy Ebasco/Raytheon – Dol. 170,00	F. 850,00
Zamiast kwiatów na grób Hanki Jastrzębskiej, zmarłej nagle 24 czerwca 1995 r. w Vancouverze, BC (Kanada) – Anna Freymanowa (Chilliwack, BC – Kanada)– Dol. can. 50,00	F. 180,00
Zamiast kwiatów na grób przyjaciela, dr. Jacka Jędrucha (z Summit, N.J., USA) nagle i tragicznie zmarłego w Ate- nach – Teresa i Aleksander Bragińscy (Julich, Niemcy)	F. 684,70
Zamiast kwiatów na grób Zosi Kallenbach – Oldrich i Alicja Czerny z Genewy – F. szw. 200,00	F. 820,00

DZIĘKUJEMY

Krajobraz przed Ankieta

Odpukać! Wszystkim moim życzę aby nigdy nie było im gorzej! Zaczynam rozumieć dlaczego jest tylu (52 według Wolickiego, a to jeszcze nie koniec) kandydatów na urząd prezydenta Rzeczypospolitej. I dlaczego Lechowi Wałęsie tak bardzo zależy na drugim mandacie. Przesadzam, naturalnie, powodów jest więcej, ale, zapewniam, że warto, aby Wałęsę zrozumieć, wyskoczyć – najlepiej jedną z prezydenckich Lancii – 30 km na południowy wschód od stolicy. W kierunku na Lublin, do pewnego skrzyżowania gdzie skromny znak drogowy wskazuje na prawo i informuje: „Otwock Wielki”.

Wielki, rzeczywiście, to on jest. Nie tyle sam Otwock, co dworek Bielińskich i dwór Wałęsy, a co zresztą – jak się zaraz przekonamy – wychodzi na jedno. W międzyczasie, między budowniczym dworku, z końcem XVII wieku, Kazimierzem Bielińskim, późniejszym podkomorzym koronnym (zięciem Morsztyna) a Lechem Wałęsą, uroczy pałacyk zdemolowany został przez tzw. upływ czasu, okradziony przez sąsiadów, potem, po ostatniej wojnie, częściowo odbudowany, gościł zakład poprawczy dla dziewcząt, aż wreszcie odbudowany został przez przyzwyczajonych do spartańskiego życia wodzów mas ludowych, mówiąc dokładnie przez Jaroszewicza, na użytek własny, a potem na użytek Gierka, no i Jaruzelskiego, zanim nie zajął go obecny prezydent. I to dwa razy. Najpierw, na krótko, po zamachu grudniowym, jako internowany przywódca „Solidarności”, zanim nie został zesłany do Arłamowa; potem, na (na razie) pięć lat, jako pierwszy prezydent Trzeciej Rzeczypospolitej.

Posiadłość jest przepiękna, strzeżona też przepięknie

(nawet prezydenckie przepustki są sprawdzane przez straż przy bramie przez walkie-talkie), bardziej chyba niż Camp David, taki Otwock Wielki prezydentów USA. Po przejechaniu kilkuset metrów od bramy, samochód się zatrzymuje przed pałacykiem czy dworkiem, z lewej strony mercedesy prezydenta i ochrony, z prawej – jezioro, na wprost stoły pod lipą (czy może dębem), a przy stole pod lipą (czy może dębem) prezydent Najjaśniejszej przyjmuje gości.

Nie dziennikarza naturalnie. Rozmowę dla *Kultury* prezydent odbywał (z uwagi chyba na jakość nagrania) w ślicznie umeblowanym saloniku uczęszczanym przez kilka pokoleń polskiej arystokracji i polskiej nomenklatury. Ale kiedy trzeba przerwać rozmowę aby przyjąć np. obcych ambasadorów (tak było dwa razy w czasie naszego prawie dwugodzinnego spotkania), przybywających na kilka minut rozmowy pożegnalnej, prezydent udaje się pod lipę. Tak zwane otoczenie poprawia mu wtedy krawat i przygładza niesforne loki. Fotografowie i telewizja, pan redaktor rozumie...

„Pan do mnie stracił zaufanie, panie Unger” – zaczyna od razu i ostro Lech Wałęsa – „pan bywa już nie u mnie, a u moich przeciwników”. Oj, myślę, zły początek, łatwo nie będzie. Powiadam więc, że to tylko częściowo prawda. Że, z jednej strony, rzeczywiście, Lech Wałęsa nigdy nie odmówił rozmowy czy przyjęcia mnie. Z drugiej jednak strony, staram się jakoś wytłumaczyć: „ci wszyscy pańscy przeciwnicy, których rzeczywiście spotykam, to niedawno jeszcze byli pańscy przyjaciele”.

Wiatry historii, dodają z powagą, i sprytnie – wydawało mi się – zmieniam temat. „Panie prezydencie, wtrącam więc, ślicznie tu u pana, ma pan tu spokój, lasy, jezioro, ryby”...

Prezydent tu nie mieszka, pada natychmiast sprostowanie, tutaj tylko przyjmuje, a zamieszkuje inną rezydencję, kilkadziesiąt kilometrów dalej. Tam, dodają dyskretnie, jezioro otoczone jest lasem i prezydent może spokojnie oddawać się swemu ulubionemu hobby, znaczy się łowieniu ryb. Jeździ, informują mnie, także na rowerze, ale nie upada...

Elegancką aluzję do wypadku Kuronia w mig uchwyciłem (nie pierwsza tego rodzaju, inny kandydat też już się nią posłużył), co pozwoliło natychmiast przejść do rzeczy, to znaczy do prezydenckiej ankiety *Kultury*.

11 lipca 1995 roku, redaktor naczelny *Kultury* wystosował następujący list do kilku kandydatów na urząd Prezydenta i kilku osób, które takimi kandydatami być mogły, ale z rozmaitych przyczyn nie chciały:

11 lipca 1995 roku

Szanowny Panie,

W związku ze zbliżającymi się wyborami prezydenckimi zamierzamy przeprowadzić ze wszystkimi poważniejszymi kandydatami wywiady na tematy, które naszym zdaniem są najważniejsze. Pozwalamy sobie przestać Panu kwestionariusz pytań, które Pana zorientują w problematyce, którą chcielibyśmy poruszyć. Ma się rozumieć kwestionariusz jest tylko ramowy i może Pan dodać wszystkie problemy, które uważa Pan za istotne, a które w kwestionariuszu trudno było uwzględnić.

Będę bardzo zobowiązany za możliwie szybką odpowiedź czy zechce Pan udzielić nam wywiadu i czy przyjmie Pan naszego przedstawiciela, którego nazwisko podamy natychmiast po uzyskaniu pozytywnej odpowiedzi.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Redaktor *KULTURY*

Jerzy Giedroyc

Adresatami listu są:

Hanna Gronkiewicz-Waltz, Jacek Kuroń, Aleksander Kwaśniewski, Ewa Łętowska, Jan Olszewski, Andrzej Olechowski, Janusz Onyszkiewicz, Waldemar Pawlak, Adam Strzembosz, Lech Wałęsa, Tadeusz Zieliński, Józef Zych.

14 pytań na XXI wiek

Ankieta nosi tytuł: „Jaka Polska na XXI wiek?”. Składa się na nią 14 następujących pytań:

1. Jako kandydat(ka) na najwyższy Urząd w Rzeczypospolitej za jakim projektem konstytucji Pan(i) się opowiada:

Za projektem sejmowym? za projektem Solidarności? czy za jakimś innym? Dlaczego?

2. Jak Pan(i) widzi rolę Prezydenta Rzeczypospolitej? Czy powinien on kierować bezpośrednio rządem, jak w Stanach Zjednoczonych?, czy mianować premiera, jak we Francji? Czy też być uosobieniem państwa i autorytetem moralnym, jak w Niemczech? Jeśli Pan(i) jest zwolennikiem utrzymania obecnych uprawnień to czy jest Pan(i) za utrzymaniem „ministerstw prezydenckich”, czy też za pełnym podporządkowaniem ministrów Spraw Zagranicznych, Spraw Wojskowych i Spraw Wewnętrznych premierowi?

3. Czy zgadza się Pan(i) z opinią, że polski aparat państwowy jest rozrzutny, nadmiernie rozrośnięty i uzależniony od partii politycznych, co sprawia, że brak mu poczucia stabilności? Czy zdaniem Pana(i) należy spowodować, by państwo polskie stało się oszczędne i skromne (np. sprowadzenie Urzędu Rady Ministrów do normalnych granic)? Gdzie według Pana(i) powinna przebiegać granica między stanowiskami politycznymi a aparatem urzędniczym? Czy uważa Pan(i), że aparat urzędniczy winien być uniezależniony od fluktuacji politycznych dzięki obsadzie stanowisk w trybie konkursu i określeniu wyraźnych kryteriów awansu, opartych wyłącznie na ocenie kompetencji zawodowej?

4. Czy według Pana(i) Minister Spraw Wojskowych powinien być cywilny? Czy powinno się reorganizować wojsko kładąc nacisk na tworzenie szczupłej armii zawodowej, dobrze wyposażonej i mobilnej? Czy Sztab powinien być podporządkowany Prezydentowi przy jego ścisłej współpracy z premierem i Ministrem Obrony Narodowej?

5. Czy Pana(i) zdaniem należy zapewnić Kierownictwu Najwyższej Izby Kontroli oraz Rady do Spraw Radiofonii i Telewizji niezależność od Prezydenta, rządu i partii politycznych? Jeżeli tak, to jaki tryb powoływania tych instancji Pan(i) proponuje?

6. Polska zabiega o jak najszybsze przystąpienie do Unii Europejskiej. Czy wedle Pana(i) ten pośpiech jest uzasadniony? Jeżeli tak, to według Pana(i) jakie koszty Polska poniesie z tytułu przystąpienia do Unii i co na tym zyska? Czy uważa Pan(i) za konieczne przeprowadzenie narodowej dyskusji i ewentualnie referendum na temat przystąpienia Polski do Unii Europejskiej?

7. Czy Pana(i) zdaniem Polska określiła zasady swojej polityki wschodniej? Czy według Pana(i) nasze stosunki z Rosją są takie jakie powinny być? Jeżeli nie, to co należy zrobić by doprowadzić do ich normalizacji? Jak ocenia Pan(i) stan naszych stosunków z Ukrainą, Białorusią i państwami bałtyckimi? I jakie widzi Pan(i) priorytety w tej dziedzinie? (Chodzi tu o posunięcia konkretne a nie o inflację stereotypowych traktatów, które nic nie znaczą).

8. Czy uważa Pan(i), że należy przeprowadzić wyraźny rozdział Kościoła od Państwa? Czy wedle Pana(i) konkordat należy ratyfikować w jego obecnym brzmieniu i przed uchwaleniem Konstytucji? Jakie jest Pan(i) stanowisko w sprawie wprowadzenia – na wzór niemiecki – podatku kościelnego, który byłby podstawą budżetu Kościoła i związków wyznaniowych? Czy Pana(i) zdaniem należy powołać ministerstwo do spraw stosunków z wyznaniem religijnymi lub odpowiedzialnego za to wiceministra w Ministerstwie Edukacji, jak to miało miejsce przed wojną? (W szczególnych wypadkach państwo finansowałoby ważniejsze akcje charytatywne).

9. Czy uważa Pan(i), że należy przeprowadzić dekomunizację życia publicznego w Polsce? Jeżeli tak, to na czym, Pana(i) zdaniem, miałaby ona polegać? Jak załatwić sprawę tak zwanych „teczek”?

10. Problem mniejszości narodowych – jaką politykę wobec nich należy prowadzić?

11. Czy według Pana(i) reforma rolnictwa jest sprawą wielkiej wagi? (I tak trzeba będzie taką reformę przeprowadzić, jeżeli wejdziemy do Unii Europejskiej). Czy nie uważa Pan(i), że anachroniczną strukturę wsi utrzymuje się wyłącznie ze względów partyjnych i wyborczych?

12. Jakie reformy w dziedzinie nauki uważałby Pan(i) za niezbędne biorąc pod uwagę, że nasza nauka jest w zupełnym upadku?

13. Czy jest Pan(i) za przeprowadzeniem prywatyzacji i reprivatyzacji?

14. Co, Pana(i) zdaniem, należy zrobić, by zapewnić minimum życiowe najuboższym warstwom społecznym, w tym szczególnie poszkodowanym grupom emerytów, bezrobotnych i rodzinom wielodzietnym?

Odpowiedzi na pytania, wraz z ich omówieniem, drukowane będą w październikowym numerze *Kultury*. Zanim to nastąpi, wstępny, lipcowy kilkudniowy rekonesans pozwolił sprawdzić puls kilku ankietowanych i nastroje kilku miarodajnych osób ankietą nie objętych. Poza prezydentem Wałęsą spotkałem się z premierem Józefem Oleksym, liderami Unii Wolności Bronisławem Geremekiem i Januszem Onyszkiewiczem, szefem SLD Aleksandrem Kwaśniewskim, byłym rzecznikiem praw ludzkich i obywatelskich panią profesor Ewą Łętowską, kolegą z tych łamów Maciejem Poleskim czyli Czesławem Bieleckim, jednym z założycieli „Klubu 100”, rozmawiałem (przez telefon bo była cierpiąca) z panią prezes Hanną Gronkiewicz-Waltz i rozmawiałem, w Brukseli, tuż przed wspólnym lotem do Warszawy, z ministrem Spraw Zagranicznych, Władysławem Bartoszewskim. Poza tym, naturalnie, miałem, na ile czas pozwolił, nie kończące się rozmowy z „dziennikarzami a mimo to przyjaciółmi”, no i, to także naturalne, z tak zwanymi normalnymi ludźmi. Żaden z wywiadów nie był autoryzowany, a moi rozmówcy (mam na myśli, naturalnie, czynnych polityków), dali wyraz zaufaniu do mnie nie uchylając się od rozmowy na żaden temat, nawet najbardziej tabu. Dlatego muszę traktować te rozmowy jako – przynajmniej częściowo – *off the record*, i dlatego – z wyjątkiem niektórych fragmentów wyraźnie przez moich rozmówców wskazanych – wypowiedzi polityków nie będą cytowane wprost. Wydaje mi się jednak interesujące i celowe poruszenie kilku wybranych spraw, co do których nie mam pewności, że znajdą swój pełny wyraz w odpowiedziach na Ankietę a są, moim zdaniem, ważne dla zrozumienia okoliczności, w jakich nasi respondenci będą na nasze pytania odpowiadać.

I. Czarne chmury nad Warszawą

Po Warszawie chodzi niewielu optymistów. We wszystkich rozmowach pojawiały się akcenty rozmaitej skali niepokoju o najbliższą przyszłość. „Czarny scenariusz” wisi nad Polską. Co to jest? O co tu chodzi? Oto elementy tego „scenariusza”. Pewnego jesiennego dnia, na apel „Solidarność”,

pod pretekstem np. protestu przeciw ustawie o komercjalizacji, wychodzi na ulice Warszawy, 100.000 robotników. Manifestacja zrazu pokojowa przekształca się, pod wpływem hasel skrajnie demagogicznych, w burzliwy pochód zmierzający pod np. Urząd Rady Ministrów, pałac po drodze samochody i wybijając szyby w wystawach sklepowych. Manifestanci atakują i nawet zajmują gmachy państwowe. Strajk generalny paraliżuje kraj. Możliwe są wtedy rozmaite „dalsze ciągi”:

a) Rząd każe interweniować. Policja wkracza i rozpędza tłum. Wszystko wraca do normy.

b) Policja nie daje rady. Rząd traci kontrolę nad sytuacją. Wkracza prezydent, posyła np. wojsko (czy to nie dziwnie się składa, pyta mnie ktoś retorycznie, że właśnie akurat teraz zaproponowano, aby Jednostki Nadwiślańskie, 12.000 ludzi, uzyskały uprawnienia policyjne?)

c) Ponieważ rząd sobie nie poradził, prezydent zmusza go do dymisji, rozwiązuje Sejm, ogłasza częściowy lub ogólny stan wyjątkowy, rozpisuje nowe wybory do parlamentu, czyli odracza wybory prezydenckie...

II. Wszystko jest możliwe

„Czy taki ‘czarny scenariusz’ jest możliwy” – pytałem moich rozmówców. – „Wszystko jest możliwe” – odpowiedział prezydent Wałęsa.

„Czy w Polsce istnieje, pańskim zdaniem, grupa ludzi skłonnych i zdolnych do wyprowadzenia 100.000 ludzi na ulice pod hasłami antyrządowymi?” – „Naturalnie – odpowiada prezydent – to tylko kwestia techniki. Ja muszę dysponować wszystkimi możliwymi scenariuszami, muszę wszystko przewidzieć. Muszę panować nad sytuacją. Nie boję się żadnej siły, żadnej śmierci, boję się tylko Boga”.

„Mówią – powiadają do Wałęsy – że taki scenariusz Panu by odpowiadał”. – „Żeby było jasne – odpowiada prezydent – ja nie jestem częścią tego planu, odradzam, ba, zabraniam. Ale muszę być na wszystko przygotowany i uprzedzam wszystkich, że nie dam się zaskoczyć”.

Prezydent stara się sprawić wrażenie, że drugi mandat ma

w kieszeni. „Jeżeli naród mnie posłucha, mówi, to nie będzie nawet drugiej tury. Wygram od razu w pierwszej”. A jeżeli nie posłucha? No to znowu będzie żałować.

Wałęsa bardzo wyraźnie daje do zrozumienia, że gdyby sytuacja miała rzeczywiście wymknąć się spod kontroli, to on, jak mówi, „nie uchyli się od ratowania ojczyzny. Do ostatniej sekundy i w każdej sytuacji”.

„Czy wojsko miałoby odegrać jakąś rolę?”

„Ja nie pozwolę aby się Polak z Polakiem bił. Ale Polskę uratuję.”

„A gdyby trzeba było strzelać?”

„Panie, o czym pan mówi! Ja widziałem już jak strzelano. To się w Polsce nie powtórzy”.

Wszyscy moi rozmówcy są co do tego zgodni: nie ma w Polsce dziś polityka zdolnego i skłonnego do wydania takiego rozkazu. Oczywiście, także wszyscy moi rozmówcy są zdania, że prowokacja jest możliwa, że jakaś powtórka z wydarzeń majowych, kiedy „Solidarność” pod hasłami Wrzodaka atakowała URM i wołała „Oleksy (czy ktoś inny) do gazu”, jest nawet prawdopodobna. Żaden z nich nie sądzi jednak aby „Solidarność”, a raczej jej manipulowane niedobitki, była w ogóle w stanie ściągnąć na ulice Warszawy 100.000 ludzi i dysponowała siłą mobilizacyjną wystarczającą do zdestabilizowania kraju.

To prawda, że polska scena polityczna jest w strzępach: prawica ostatecznie ośmieszona, lewica stoczona rdzą wzajemnej nieufności, inwektywy zamiast dialogu politycznego, frustracja i obojętność społeczna wyraźna. Ale ponad połowa produktu narodowego pochodzi z sektora prywatnego i jest to proces, którego zatrzymać się już nie da. Demokracja, przy wszystkich jej nadużyciach, w Polsce funkcjonuje. Jak mówi Geremek, nie ma w Polsce sytuacji, która by jakiś gwałtowny rozwój wydarzeń uzasadniała. Nie ma żadnych przesłanek, aby miało do poważnego wybuchu dojść. Nie ma żadnego powodu, dla którego polityka w Polsce miałaby się decydować na ulicy.

Kwaśniewski, co nie jest zaskoczeniem, jako że to jego partia jest przecież u władzy, jest tego samego zdania. 100.000 czy 20.000 to nie ma znaczenia. Tego, co można by określić jako „masę krytyczną” wielkiego wybuchu społeczne-

go, „Solidarność” uruchomić nie potrafi. „Pan nie wierzy w siłę i wpływy ‘Solidarności’” – pytam lidera SLD. „Ja, odpowiada, wierzę w rozsądek tego społeczeństwa”.

III. Nowy stary mebel

Świadomość ogromu stawki jest właściwie powszechna. To samo dotyczy obawy przed zmarnowaniem już osiągniętego dorobku. Wszyscy są raczej zgodni, że hasło „im gorzej, tym lepiej” nie sprawi, iż ci, którzy nie chcieli głosować na Wałęsę, jednak na niego, ze strachu, w końcu głosy oddadzą. Ale wielu jest także zdania, że Wałęsa jest zdecydowany wygrać wybory nawet, jak to określają, „za wszelką cenę”.

Pytanie, za jaką? Nawet jeśli ewentualność konfrontacji siłowej była omawiana, co nie powinno nikogo dziwić, na ultratajnym posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju, i chyba stamtąd wydoszła się na miasto, to jest to hipoteza najmniej prawdopodobna. Ale, patrząc na wyniki badań sondażowych, w których Wałęsa zajmuje dalekie miejsce, należy zadać sobie pytanie: jeżeli nie „czarny scenariusz”, to jaki?

Może „stolarski”? Dziś już wiadomo o co chodzi. W toku jednak moich lipcowych rozmów w Warszawie była to jeszcze hipoteza z dreszczykiem. I, jako że ciągle jeszcze była poufna, ewentualność przedłużenia mandatu Wałęsy o następne dwa lata, do wyborów parlamentarnych, traktowana była poważnie. Jeżeli założyć, że Wałęsa przejdzie do drugiej tury (moim zdaniem przejdzie), to dylemat jaki stał wtedy, i w pewnym sensie jeszcze stoi ciągle, przed politykami w Polsce sprowadza się do pytania kiedy Wałęsa jest bardziej niebezpieczny: u władzy jako szef państwa, czy w opozycji, jako szef ruchu o poważnej sile szkodzenia. „Wałęsa – tłumaczy mi jeden z moich rozmówców – ma niewątpliwy instynkt demokratyczny, ale dysponuje przede wszystkim siłą destrukcji, a nie konstrukcji. A do tego, jest fatalnie doradzany. Często nie wiadomo nawet czy to on prowadzi politykę, czy też jest już tylko instrumentem realizacji polityki niektórych swoich doradców?”

Co w takim razie miałyby załatwić ewentualny „okrągły stół nr 2”? Pozornie, po prostu odroczyć kryzys. W istocie,

sprawa jest bardziej zawiła. Okrągłego stołu nr 2 nie będzie – to już wiadomo. Jako instrument jawnej polityki nie służy do niczego. Nie wiadomo zresztą nawet kto i po której stronie miałby przy takim stole zasiąść. Komplikacje konstytucyjne byłyby zresztą ogromne, precedens bardzo niebezpieczny.

Połamany jeszcze przed jego zmontowaniem, „okrągły stół nr 2” był jednak, u narodzin, pomysłem charakterystycznym dla polskiego klimatu i polskich obyczajów politycznych. Formalnie został przedstawiony przez ambasadora Cioska, ale nikt nie ma wątpliwości, że, z jednej strony, wyszedł z otoczenia Wałęsy i że, z drugiej strony, nie został od razu odrzucony ani przez lewicę ani przez opozycję.

Wałęsa – co do tego panuje zgoda – nie chce awantury. Jego interes był więc ewidentny: dać sobie dwa lata czasu na remobilizację bazy, konsolidację prawicy, usunięcie (lub skompromitowanie) konkurentów, właściwe przygotowanie odłożonej rozgrywki prezydenckiej i sejmowej.

A jaki był interes lewicy? Cena jakiej żądała lewica za odroczenie wyborów była wyjątkowo wysoka: wybór prezydenta nie w głosowaniu powszechnym a przez Zgromadzenie Narodowe, a więc obie izby, Sejm i Senat, połączone, w których, jak oni są o tym przekonani, postkomuniści (nie lubią tego określenia, ale jest wygodne i wiadomo o co chodzi) zachowają decydującą większość. Po prostu, pułapka.

Dziś panuje lekki kac. Sam Wałęsa stara się wyjść z tarczą: „Po co mi dwa lata, kiedy wygram pięć”. Lewica ma swoje argumenty. Premier Oleksy bardzo słusznie zauważa, że „współistnienie” prawicowego prezydenta i lewicowego rządu i parlamentu (lub na odwrót) jest w demokracji możliwe (tak było do niedawna we Francji, tak jest dziś w USA), ale że nie powinno to być sprawą kontraktu (inni nazywają to po prostu machlojką), a powinno to być wyłącznie skutkiem wyborów.

IV. Trucizna dziata

W tym tzw. kontekście, dwie uwagi, jedna lekko filozoficzna; druga, bardziej taktyczna, przewijały się właściwie we wszystkich rozmowach.

Po pierwsze, że, z wyjątkiem całkowitej aberracji narodowej, w stylu wygranej jakiegoś Tymiąńskiego, wybór żadnego z liczących się dziś kandydatów nie będzie stanowić żadnego nieszczęścia dla Polski, nie zgrozi demokratycznym podstawom państwa polskiego. Zwycięstwo Kwaśniewskiego potwierdzi hasło „idzie komuna”, zwali na nie całą odpowiedzialność „za wszystko”, niesie zarodek klęski lewicy w przyszłych wyborach parlamentarnych. Zwycięstwo Wałęsy to trwanie elementów nieprzewidywalności w rządzeniu krajem. W oczach fachowców, ani ci dwaj, ani żaden z pozostałych kandydatów nie niesie zapowiedzi ani katastrofy ani wielkiego skoku naprzód. „Dziś, skarżą się, realny wybór jest mizerny. Chodzi o to, aby jak najmniej szkodzić i jak najmniej przeszkadzać. Większość kandydatów jest zdolna to zapewnić. Nie jest to fascynujący program, ale w tych warunkach trudno o lepszy”.

Po drugie, niektórzy, raczej taktycy niż stratedzy, przywoływali jeszcze inny mniej polityczny ale bardziej żenujący powód ewentualnego odroczenia wyborów. Tym zależy na uniknięciu... kampanii wyborczej. „Proszę się nie śmiać, to nie jest błahy argument, tłumaczą mi w Warszawie, tu się będą dziać bardzo dziwne rzeczy. Europa otworzy oczy ze zdziwienia. I usta. Już przecież widać, że każdy cios, zwłaszcza poniżej pasa, będzie dozwolony”.

Afera z ks. Jankowskim jest, pod tym względem, bardziej znamienita niż się sądzi, mniej „chłapnięta” niż chciałby prymas Glemp. Tu już dawno nie chodzi o pojedynczego proboszcza. Lech Wałęsa ciągle zmierza do minimalizowania sprawy. Nadal twierdzi, że nie słyszał kazania. Słowa ks. Jankowskiego były rzekomo mało precyzyjne, „ja je rozumiałem tak, inni inaczej” powiada prezydent. „Dlaczego pan milczał przez długich dziesięć dni? Pan powiedział, że ks. Jankowski to pański przyjaciel. To taki sam argument, jak Kwaśniewskiego w obronie Sekuły...”

„Tak naprawdę, powiada Wałęsa, to Jankowski nie jest antysemitą i ja przecież też nie”. „Panie prezydencie, mówię, niech się pan nie porównuje z ks. Jankowskim, on jest proboszczem jednej prowincjonalnej parafii, pan jest szefem państwa”.

Istota sprawy leży gdzie indziej. Ludzie kompetentni

uwają, że wystąpienie tej treści, w takiej formie, w tym miejscu i w obecności szefa państwa było ze strony ks. Jankowskiego zwyczajną albo nadzwyczajną prowokacją. Jankowski zresztą zwracał się kilkakrotnie bezpośrednio do prezydenta, czego Wałęsa nie mógł nie słyszeć.

Można więc się zastanowić czy wystąpienie Jankowskiego było częścią większej całości czy indywidualną inicjatywą jednego z tysięcy członków kleru, którzy myślą podobnie, ale tego tak głośno i w tak dobrym towarzystwie, nie mówią.

Inaczej to formułując pytanie brzmi: czy Wałęsa milczał bo nie zrozumiał, czy bo chciał milczeć?

Zdania są podzielone, większość moich rozmówców jednak uważa, że argument antysemicki jest dziś w Polsce nośny, bardziej nośny niż np. argument antykomunistyczny. Pewien bardzo wiarogodny i fachowy informator doszedł do wniosku, że 10 do 15 procent polskich wyborców skłonnych jest kierować się antysemickimi resentymentami w chwili wrzucania głosu do urny. Przy czym, to chyba nie zaskoczenie, hasło antysemickie nie dotyczy wcale, a nawet nie przede wszystkim, tylko Żydów. Kryje ono w ogóle ksenofobię, to co Szczypiorski ujął w ogólnej definicji kołtuństwa: kto nie nasz, ten Żyd. Jeżeli uznać, że z wyjątkiem Kwaśniewskiego żaden z kandydatów nie ma jeszcze poparcia większego od 15 procent, to można sobie wyobrazić chmurę jaka wisi nad jeszcze właściwie nie rozpoczętą kampanią wyborczą, kuszenie i schlebianie jakiego będziemy świadkami pod adresem tych 15 procent....

Także Wałęsa, a może przede wszystkim on, musi się z nośnością takich haseł liczyć. W jakim stopniu zechce on z tych haseł skorzystać, to sprawa otwarta. On sam odrzuca posądzenia. „Popatrzmy na Polskę, mówi. Ci, którzy nosili hasła antysemickie, odpadli zupełnie w wyborach. Nie ma ich w Sejmie. Rozumuję jako praktyk: są sprawy, których nie należy rozdmuchiwać, bo wtedy dopiero stają się problemami...”

„A jeżeli, pytam, w następnych wyborach przejdą? Ci, którzy wołali ‘Bartoszewski do gazu’, albo ci, którzy urządzają owacje Jankowskiemu w kościele św. Brygidy. Ci przecież nie odpadli!”

„Tu chodzi o jednostki, oni się nie liczą”.

„W kampanii ich nie będzie?”

„Na tysiąc ludzi, jeden się trafi. Będą takie pytania. Kwaśniewskiego już zahaczyli...”

I rzeczywiście. Kwaśniewski powiedział, że na każdym zebraniu znajdzie się zawsze taki jeden, który go spyta o to czy jest prawdziwym Polakiem. Jak pan na to reaguje, pytam szefa SLD? „Odpowiadam na to, że Polska jest istotą mojej tożsamości, że bardzo chciałbym być dumny z tego, że jestem Polakiem, ale że tacy jak ten, który takie pytania zadają, bardzo mi to utrudniają”.

„Co pan myśli o takiej kampanii” – zapytałem Wałęsę. „Ja tych rzeczy nie sprawdzałem” – odpowiedział prezydent.

A Kwaśniewski jest rzeczywiście „zahaczany”. Ostatni „haczyk” to wieść o tym, że pochował swą matkę na żydowskim cmentarzu. Wiadomość, jak mawiał Twain, przedwczesna, jako że matka Kwaśniewskiego na szczęście żyje. Wiedząc, że pewna prasa nie wypuści sprawy z ręki, Kwaśniewski chciał matkę uprzedzić i przygotować. Kiedy do niej przyjechał było już za późno: dziennikarka z Radia Maryja już tamtędy przeszła, „aby sprawdzić”. Kwaśniewski mi opowiedział, że kiedy speszona dziennikarka musiała stwierdzić, że coś się nie zgadza, że pani Kwaśniewska jest w domu a nie na cmentarzu, wtedy niedoszła nieboszczka pocieszyła „Radio Maryję”: „Wszystko się zgadza, niech się pani nie dziwi, u Żydów już raz tak było, mają zwyczaj zmartwychwstania”...

Można się uśmieć, ale kiedy się słucha innych takich opowiadań, to śmiech zamiera. Słysząc tylko rechot. Wygłoszenie, zlekceważenie sprawy Jankowskiego, atak ks. Rydzyka na Kuronia, „Solidarności” na Turowicza i Hannelową, tłum idący za hasłami Wrzodaka, młodzież występująca, z błogosławieństwem ks. Jankowskiego, przeciwko nurtowi „komunistycznego bolszewizmu żydowskiego, który charakteryzuje *Gazetę Wyborczą*”, to wszystko, i wiele innych takich epizodów, niesie ogromne ryzyko zatruć kampanii wyborczej. Należy się obawiać, że lekcja roku 68 na nic się nie przydała, powiadają moi rozmówcy. Że w dalszym ciągu Polacy nie rozumieją, że tu nie chodzi o Żydów, a o Polaków. Trucizna działa. Jej opad nie zniknie tak szybko.

V. Nie ma Wyszyńskiego...

No ale, wtrącam w rozmowie z bardzo poważnym człowiekiem, dlaczego Kościół nie zajmuje w tej sprawie jasnego stanowiska? Dlaczego może to napisać Jacek Woźniakowski w *Tygodniku*, Michnik w *Gazecie* czy Szczypiorski w *Polityce*, a nie może powiedzieć prymas w kazaniu w katedrze?

Ba, oto jest pytanie. Właściwie, niezależnie od lewej czy prawej strony, odpowiedzi są zbliżone. Kościół nie odnalazł swojej roli w nowych warunkach. Premier Oleksy wyraźnie tego żałuje, albowiem, jak mówi, nie można rządzić takim krajem jak Polska w konflikcie z Kościołem, co, naturalnie, dotyczy każdego rządu. Pytam wysoko postawione osoby czy mają numer telefonu papieża. Nie mają, a próby uelastycznienia stosunków z Watykanem na razie nie dały rezultatu.

Kościół, przypominam moim interlokutorom, odegrał w historii Polski ogromną rolę. „Czy, pytam polityków, można liczyć na wpływ Kościoła gdyby Wrzodaki zagroziły stabilizacji kraju?”

Chyba nie. Kościół stracił wpływy, co zresztą wykazały wybory w 1993 roku i dojście lewicy do władzy, odpowiadają. Rośnie krytycyzm wobec Kościoła, czym można wytłumaczyć nie tylko pewien wzrost głosów na SLD, ale także sukces Unii Pracy, której opór wobec rażącej ingerencji kleru w życie prywatne i publiczne był wyraźny, zwłaszcza na tle niejasnego stanowiska w tej sprawie Unii Wolności. Wpływ moralny Kościoła w przełożeniu na politykę bardzo osłabł.... „Mamy jednak pewność, mówi premier, że taka interwencja nie będzie potrzebna, bo Wrzodaki, jak pan mówi, nie potrafią Polski w tak bardzo niebezpieczny zakręt wrzucić”.

Niektórzy poza tym przepowiadają, że Kościół sam znajdzie się w rozdarciu. Kiedy, co jest nieuniknione, trzeba będzie – u końca kampanii pierwszej tury – opowiedzieć się za jakimś kandydatem, hierarchia stanie przed dylematem: Wałęsa czy Gronkiewicz-Waltz (bo ci zajmą chyba dwa następne miejsca po ciągle niewątpliwie pierwszym Kwaśniewskim). Wałęsa, wierny i ukochany syn Kościoła, wydaje się być faworytem, ale pani Gronkiewicz, powołująca się na

objawione źródła jej decyzji politycznych, może mieć większe szanse wyeliminowania Kwaśniewskiego w drugiej turze. No i ma, tak mówią w Warszawie, poparcie Opus Dei, a to się także liczy.

A może byłoby wskazane, pytam kogo trzeba, aby znowu „poszedł Gomułka do Wyszyńskiego”?

„Nie ma Wyszyńskiego” pada odpowiedź.

VI. Ale jest Gomułka

Ale „Gomułka” jest, powiadam. Nie, nie ma, odpowiadają. Na szczęście, sami dodają. Pytanie, czy szczerze? Oczywiście, tak. Nikt, nawet wśród najbardziej nostalgicznych postkomunistów za „Gomułką” nie tęskni. Przypominam jednak Kwaśniewskiemu, że kiedy spotkaliśmy się natychmiast po wyborach we wrześniu 1993, ostro się zachnął kiedy powiedziałem na powitanie: „Dzień dobry Panie Premierze”. „Za wcześniej, powiedział, nie ma mowy”. No a teraz, powiadam, postkomuna ma większość w Sejmie, członkowie PZPR mają premiera i sięgają po prezydenturę.

Pytanie po co SLD cała pula, jest wśród polityków w Warszawie powszechnie formułowane. Taka dawka może być niestrawna. Ratując Sekułę w nieprzyzwoity i krótkowzroczny sposób SLD umocnił wizję „republiki koleśków”. Teraz, wystawiając Kwaśniewskiego, potwierdza w zbiorowej wyobraźni perspektywę neo-PRL, bez ideologii ale z tym samym mechanizmem, nomenklaturą i prywatą. Cena tej zachłanności może być wysoka, zwłaszcza w wyborach do Sejmu za dwa lata... Coś w tym jest, godzą się moi rozmówcy, ale... Po pierwsze, jest już za późno, kampania jest w toku, kandydat SLD zbiera w sondażach prawie 30 procent głosów. Uważają, że gdyby z tego zrezygnować, nie mogliby się pokazać swemu elektoratowi. Po drugie, nie widzą przekonywujących argumentów, dla których Kwaśniewski z 30 procentami musi przegrać z Wałęsą, który zbiera ok. 10.

„Panowie, uwaga, coś tu się nie zgadza, przerywam moim rozmówcom, przecież to znaczy, że wy, którzy przestrzegacie przed siłą hasła antysemitckiego, chociaż w Polsce nie ma Żydów, nie wierzycie w nośność hasła antykomunistycznego,

choć nie tylko żyje tu ok. 2 milionów byłych członków kompartii, ale jej byli członkowie są u władzy!”

Czy więc nie byłoby ostrożniej – przypominam to co proponował Cimoszewicz – wysunąć jakiegoś kandydata ponadpartyjnego, czy nie miałby on większych od Kwaśniewskiego szans na wygraną z Wałęsą? Być może, (jeden nawet powiedział: chyba tak), bardzo poważnie się nad tym zastanawiali. Z nieformalnych rozmów wynikało jednak, że kandydaci – nazwijmy ich, niezależni – oczekiwali od lewicy czeku *in blanco*, a tego dać nie chcieli. A poza tym nie było łatwo o partnerów do takich rozmów. Wysunięcie niezależnego kandydata zakładało rezygnację dwóch największych partii, SLD i Unii Wolności, z ich własnej tożsamości. – „Zachowacie tożsamość, powiadam do obu ‘partyjnych’, ale stracie prezydenturę. Wałęsa będzie nadal jeździć do Bielińskich w Otwocku... Dlaczego taka koalicja była możliwa na Węgrzech, a nie jest możliwa w Polsce?” – „Możliwa, na pewno jest, ale chyba na nią za wcześnie. Może właśnie po wyborach...”

„Po wyborach właśnie będzie to niemożliwe, powiadam. Polska nie Węgry, tam się postkomunista nie starał nawet o prezydenturę, a Unia Wolności to nie węgierscy liberałowie, którzy zgodzili się na rolę listka figowego dla Horna. Kwaśniewski, nawet jeżeli nie wygra, to – tak jak Jospin we Francji – otrzyma bardzo dużo głosów i będziecie wtedy za potężni, aby się z wami kumać... Czy można już sformułować coś w rodzaju ogólnej teorii lewicowego *come-back* w Europie Środkowej?”

VII. Koniec utopii

Chyba można. Wykład jest długi, właściwie identyczny na prawo i na lewo od centrum. W skrócie, idzie tu o porażkę dwóch utopii. Pierwsza to porażka utopii realnego socjalizmu, w który, w końcowej fazie, nie tylko społeczeństwo ale nawet aparat partyjny w Polsce już nie wierzył. I druga, to porażka utopii liberalizmu. Nastąpił koniec fascynacji mirażem „niewidzialnej ręki rynku” zdolnej do rozwiązania wszystkich problemów.

Równocześnie, z jednej strony, pojawiły się na arenie politycznej ugrupowania lewicowe, sprawne, doświadczone, obecne właściwie w całym kraju, dysponujące kadrą odideologizowanych technokratów i pragmatyków, przekonanych o konieczności reform, związania Polski z Zachodem, ale krytycznych wobec ewidentnie zbyt wysokich kosztów utopijnego liberalizmu. Ludzie ci – podkreśla Kwaśniewski – nie formułowali przy tym jednak w żadnym stopniu propozycji powrotu do elementów formacji poprzedniej, zwanej socjalistyczną.

A z drugiej strony, rządy posolidarnościowe popełniły głęboki błąd psychologiczny, traktując zbyt brutalnie całą przeszłość, negując całkowicie dorobek kilku pokoleń, lansując nieprzemyślane hasła dekomunizacji. To, naturalnie, było nie do przyjęcia dla większości obywateli. To przecież była także sprawa ich godności.

– Panowie uważają, że dekomunizacja nie jest potrzebna?

– W momencie, w którym zaczyna działać normalny system demokratyczny, kiedy zaczynają funkcjonować podstawowe, prawne i inne, instytucje demokracji, problem dekomunizacji jest właściwie rozwiązany.

– A dlaczego nie można było w Polsce posłużyć się przykładem ustawy lustracyjnej uchwalonej w Czechosłowacji? Przecież tam też jest demokracja, a lustracja jest i działa.

– Nie ma żadnego porównania. Czeska ustawa lustracyjna, która zakazem piastowania funkcji publicznych obejmuje osoby polityczne na wiele lat wstecz, wynika z historii tego kraju. Trzeba pamiętać, że w istocie komunistyczny układ polityczny w Czechosłowacji zawałił się w 1968 roku i aż po rok 1989 cały aparat władzy w tym kraju był narzucony wprost przez obcą interwencję. Zdaniem niektórych, cały kryzys realnego socjalizmu zaczął się właśnie od szoku sierpnia 1968. Wtedy bowiem zniweczono szanse wielkiego eksperymentu w kraju najbardziej rozwiniętym w bloku wschodnim. Natomiast w Polsce, kolejne kryzysy coraz tam coś zmieniały, no i przede wszystkim ostatnia ekipa zrobiła okrągły stół, podczas kiedy w Pradze rewolucję zrobiła opozycja, a tak naprawdę ulica.

– Wafęsa uważa – mówię do Kwaśniewskiego – że wasze dojsie do władzy to „przypadek” i że on się nie powtórzy...
– Zobaczymy...

VIII. Reszta w Ankiecie

Nie są to oczywiście wszystkie refleksje zanotowane w ciągu kilku dni pobytu w Warszawie. Wybrałem przede wszystkim takie, które nie zostaną – w zasadzie, albo w niewielkim stopniu – poruszone w odpowiedziach jakie goście Ankiety *Kultury* udzielą na przekazane im pytania. W tym sensie, dzisiejszy tekst zapowiada Ankietę, ma zaostriżyć apetyt czytelnika.

W Polsce jest dziś bardzo modne odwoływanie się do zasobów ludowej mądrości, zwłaszcza górali, którzy wyraźnie zastępują przysłowiowych reporterskich taksówkarzy. Oto nowa próbka tej antologii. Niedawno, opowiada mój rozmówca, góral wiózł mnie fiakrem przez Zakopane. Jak się teraz żyje, pytam, lepiej czy gorzej niż za komunistów? No, nie lepiej, ani gorzej, odpowiedział, ciągle rządzą komuniści i Żydzi. A znanie, pytają górala, takiego Żyda-komunistę, który rządzi? Znam, powiada – Mazowiecki się nazywa.

Może nie należy jeździć fiakrem przez Zakopane?

Pisane w Brukseli 13 sierpnia 1995

Leopold UNGER

List z Wysp Sołowieckich do Paryża

Sołowki, 11 czerwca

Pierwsza autobiografia w ruskiej literaturze powstała na... Wyspach Sołowieckich! W 1656 roku starzec Eleazar z Anzera sam napisał własny *Żywot*. Był to ewenement na owe czasy, bowiem monasza etykieta, stawiając pokorę najwyżej wśród cnót, pisanie o sobie mogła poczytać za gordynju – prawosławny grzech pychy, przez który upadł był Lucyfer. By uniknąć podejrzania o pychę, autorzy pierwszych autobiografii na Rusi uciekali się do prostego chwytu: pisali „po błagostowieniju” ojca duchowego, który polecał im ułożyć własny *Żywot* w formie spowiedzi. Eleazar często przyznaje swą grzeszność, ale w tytule podkreśla wyjątkowość: *Żywot Eleazara Anzerskiego, napisany przez niego samego*.

Eleazar z Anzera był ostatnim wielkim starcem sołowieckim, do raskoła ruskiej cerkwi prawosławnej. Raskoł wynikł z reformy obrzędów i zmiany pisowni ksiąg cerkiewnych, którą zarządził Patriarch Nikon, były uczeń Eleazara. Sołowiecki monastyr opowiedział się wtedy za starym obrzędem. „Po błagostowieniju” Nikona wojska carskie osiem lat (1668-1676) oblegały klasztor. Dopiero zdrada inoka Feoktista złamała opór Sołowczan. Po upadku twierdzy z braćmi surowo się rozprawiono: „Wielu powieszono jak złodziei, innych wywleczono za ściany, na lód Zatoki Pomyślności, i tam zamrożono. Trupów nie pochowano, tylko zrzucano na kupe na Babiej łudzie i przywalono kamieniami...

Epifanij Sołowiecki, inny uczeń Eleazara, jeden z duchowych przywódców starowierów, napisał drugą autobiografię w historii ruskiej literatury, by swoim *Żywotem* zaświadczyć, jak było: „I tak za grzechy nasze Pan pozwolił, by tron Patriarchy zajął Nikon, zwiastun Antychrysta. On to, przeklęty, użył do fałszowania świętych ksiąg Arsenija, wroga bożego, żydowina i Greka, heretyka, który siedział u nas, w Sołowieckim monasterze, w ziemi. Tenże Arsenij, żydowin i Grek, sam mi powiedział na spowiedzi, że trzy razy wyrzekął się Chrysta, szukając biesowskiej mądrości...

Starzec Epifanij był współwięźniem i spowiednikiem protopopa Awwakuma. Obaj siedzieli w Pustoziersku nad Pieczorą, w „ziemlanych tiurmach”, które wedle profesora Gerneta, autora pięciotomowej *Historii carskich tiurm*, wymyślono na... Sołowkach. „Ziemljanaja tiurma” to skrzynia z bierwion, w której zakopywano człowieka do ziemi. Na Wyspach zakopywano pod kamienną ścianą Kremla. W pokrywie skrzyni robiono dziurę, przez którą więzień mógł oddychać i dostawał jadło. Często w skrzyni lęgły się szczury, bywało, że odgryzały skazańcom uszy, nos. Zanim Epifanija zakopali do ziemi, najpierw go publicznie kaźnili. Wyrwano mu język, by nie głosił herezji, i obcięto palce prawej dłoni, by nie mógł się zegnać po staremu. W „ziemlanoj tiurmie” spędził dwanaście lat. Tam napisał swój *Żywot*, robił z niego kopie, tak zwane „spiski”, i potajemnie wysyłał. Jakby ślad chciał zostawić po sobie.

„Po błagostowieniju” ojca Epifanija protopop Awwakum też ułożył własny *Żywot* w „ziemlanoj tiurmie” nad Pieczorą. *Żywot Awwakuma* zamyka okres staroruskiej literatury i otwiera jej epokę nowożytną.

Protopop Awwakum był pisarzem w pełni świadomym swojego warsztatu. Własny *Żywot* komponował wedle praw fabuły, epizody dobierał starannie, jak jubiler – kamienie; które nie pasowały – odkładał. Z odłożonych robił potem oddzielne opowiadania. *Żywot* wielokrotnie sam przepisywał, za każdym razem coś jeszcze poprawiał, czyścił. Stąd w późniejszych „spiskach” brakuje niektórych zdarzeń, za to pozostałe

nabierają większej dynamiki, mocy. Awwakum kończy autobiografię zwrotem do czytelnika – prośbą o modlitwę – jakby wyjaśniał, zarazem, cel swojej pisaniny: „Niechajże rab boży się cieszy, czytając. Kiedy umrę, może wspomni o mnie przed Panem, a ja poproszę Pana, za czytających te słowa...

14 kwietnia 1682 roku monacha Epifanija, protopopa Awwakuma, diakona Fiodora i popa Łazara publicznie spalono.

Dwieście lat *Żywot Awwakuma* był zakazany. Wśród starowierów krążył w ręcznych odpisach. Jak w samizdacie. Dopiero w 1861 został wydany. Dziś to uznane arcydzieło, nie tylko w ramach gatunku, ale w ogóle ruskiej literatury. Szałamow cenił *Żywot Awwakuma* więcej, niż Dostojewskiego i Tołstoja, razem wziętych. Nic dziwnego, wszak siedemnastowieczny protopop używał środków, które Warłam Tichonowicz próbował w *Kołymskich opowiadaniach*, jako techniki „nowej prozy”. Jedną z nich było: „naciąganie faktów do kompozycji fabuły”. Czasem Awwakum daty przedstawia, nieraz o parę lat, by osiągnąć, dla przykładu, efekt jednoczesności zaćmienia słońca, wybuchu dżumy i początku reform Nikona, choć w rzeczy samej te wydarzenia zaszły w różnym czasie. Albo cytuje Ojców Świętych, zwłaszcza Dionizego Areopagite, tak, że najwybitniejsi znawcy greki i staro-cerkiewno-słowiańskiego nie potrafią znaleźć odnośnych miejsc.

Nie mogę sobie tutaj odmówić przytoczenia w protopopowskim oryginale fragmentu jednego z takich „cytatów”. Żal spolszczać ten kawałek, zwłaszcza, że dla staro-cerkiewno-słowiańskiej „bljadi” nie znajduję u nas równie wieloznacznego słowa: „Ditia, ali nie rozumiejesz, jako wsja sija wniesznajaja bljad’ niczto że sut’, no tokmo prieljest’, i tlja, i paguba...”

W XX wieku Warłam Szałamow powtórzył doświadczenie pierwszych ruskich autobiografów – zarówno w życiu, jak i w prozie. W wierszu *Awwakum w Pustoziersku*, jednym z najpiękniejszych, moim zdaniem, w całej rosyjskiej poezji, złożył hołd mistrzowi, swojemu ojcu duchowemu. Sam też

piisał własny żywot – do końca życia. Ostatnim, nie dokończonym tekstem, który wyszedł spod jego pióra, była kolejna wersja autobiografii, zatytułowana: *Krótki życiorys Wartama Szalamowa, ułożony przez niego samego.*

Mariusz WILK

Kilka moich żywotów

Wiersze piszę od dziecka. Wydaje mi się, że zawsze pisałem wiersze, jednakże...

Mam pięćdziesiąt siedem lat. Około dwudziestu z nich przebywałem w łagrach i zsyłce. W istocie rzeczy jeszcze nie jestem starym człowiekiem, bowiem czas stanął na progu świata, w którym spędziłem dwadzieścia lat. Łagierne doświadczenie nie wzbogaca ogólnej wiedzy życiowej; tamtym światem rządzi inna mądrość, w „wolnym życiu” nie przydatna. Czasami wracam do wrażeń z dzieciństwa, ale Kołomy nie zapomnę nigdy. To różne życia. „Tam” nie zawsze pisałem wiersze. „Tam” приходило wybierać między wierszami a życiem, i robić wybór (zawsze) na korzyść życia.

Dobrze pamiętam pierwszą wojnę światową, „niemiecką”, telegi z poborowymi, pijanymi, szlagier *Ostatni dzisiejszy dzionek*, jeńców niemieckich, którzy wybili wszystkie miejskie gołębie. Od 1915 roku gołąb przestał być symbolem pokoju w Wołogdzie. Obaj moi bracia walczyli na pierwszej wojnie. Potem Sieriożę, krasnoarmiejca rotę chemicznej, ubili na froncie wojny domowej. Ojciec oslepił po śmierci syna i jeszcze całych trzynaście lat żył – ślepym...

Tak się złożyło, że w moim życiu nie było człowieka, który by odkrył mi poezję. Ruską poezję. Kogoś, kto czytałby

ze mną, żywym językiem, żywe wiersze Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa. Szedłem sam, po omacku, od książki do książki, powolną, czasochłonną drogą. Chlebnikow stał się moją potrzebą wcześniej, niż Puszkina, Sjewieranin – wcześniej, niż Błok, Aszejew – wcześniej, niż Annieński. Nie mówiąc o wierzchołku ruskiej poezji – Tiuczewie. Nie było w mojej młodości człowieka, który nauczyłby mnie kochać wiersze. Takim człowiekiem bywa szkolny nauczyciel, starszy brat, ojciec, matka. Moja mama mogłaby to zrobić, jak się później domyśliłem, po naszym ostatnim rozstaniu. Moja mama była człowiekiem o bardzo wrażliwej, nerwowej naturze. Pamiętam, nie mogła powstrzymać łez, słuchając muzyki, wszelkiej muzyki, nie wyłączając brawurowej. Symfoniczna orkiestra, fortepian i skrzypce przyprawiały ją o drżenie, prawie do hysterii. Moja mama znała niezliczoną ilość wierszy, zwłaszcza klasyków. Mamina pamięć przechowywała wszelkie możliwe cytaty z poezji, na każdą okoliczność losu. Myślę, że poezja w jej życiu odegrała rolę ważną, i w pełni realną.

Wiersze w mamina pamięć zapadały jak mądrości życiowe, a nie jak akordy muzyczne. Bo też mama i nie próbowała pojąć tajemnicy oddziaływania sztuki na człowieka.

Nie odróżniając minora od majora, mama płakała. To były czasy prymitywnych radiodbiorników i gigantycznych anten. Chciałem postawić skrzynkę ze słuchawkami w pokoju mamy.

– Nie, nie, nie rób tego, bo cały dzień będę płakać.

Wiele lat później opowiadał mi Pasternak, że nie może oglądać w kinie bliskich planów, bo mu łzy ciekną niepowstrzymanie.

– Konia jakiegoś pokażą w kronice, a ja ryczę jak bóbr.

Nieoczekiwane łzy u dorosłego człowieka to nie taka rzadkość.

Dobrze pamiętam rewolucję lutową, jak z frontonu gimnazjum męskiego spadał lekko ogromny, żeliwny orzeł, cały powiązany linami.

Pamiętam też przewrót październikowy, w Wołogdzie nie tak efektowny, jak obalenie samodzierżawia, a zarazem poważniejszy, i w rozmowach dorosłych, i w ogólnej atmosferze.

Wyraźnie pamiętam Kiedrowa, komendanta frontu, jego wagon i Łotyszy w niebieskich bryczesach. Tańczyli w parku miejskim, bez dam, jeden z drugim.

Ledwie kończyłem odrabianie lekcji, zabierałem się do tajnej gry... szczapkami zapalczanymi pudełek. Rozgrywałem nimi, dla siebie, Gogola, Puszkina, a także Hugo i Dumasa.

Całe dzieciństwo spędziłem na teatralizowanym opowiadaniu wszystkiego, co przeczytałem. Ojcowska szafa z książkami zawsze była do mojej dyspozycji. Nawiasem mówiąc, Aleksander Dumas nie był z tej szafy.

W 1918 roku skonfiskowano pomieszczenia biblioteki publicznej, a książki przeniesiono do starego więzienia miejskiego, gdzie zorganizowano czytelnię dla robotników. Rok znajomości z nią był dla mnie szczególnie jaskrawy. Dumas, Conan Doyle, Main Red, Wiktor Hugo – wszyscy w złotych okładkach. Codziennie na mnie czekali. Czytałem jak leci, pod rząd, i przegrywałem przeczytane opowieści.

Pamiętam wreszcie, były wtedy w modzie, dysputy religijne. Sam brałem w nich udział, choć jestem pozbawiony wiary, ale mój ojciec, człowiek wierzący, swoje wystąpienia traktował jako dług, obowiązek moralny. Wodziłem go ślepego, za rękę, jak przewodnik. A przy okazji hartowałem ducha...

W 1926 roku pierwszy raz przyjmowano na wyższe uczelnie drogą wolnego egzaminu. Pojawiła się możliwość pokazania siebie i zdobycia wykształcenia.

Dwa lata pracowałem w cechu skórzanym, a potem jako likwidator analfabetyzmu. Nie rokowało to sukcesu na egzaminie konkursowym.

Należało żyć oszczędnie, przebiedować lato, wykuć do jeziennych egzaminów, niczego nie kupować, znaleźć tanią jadłodajnię, bezpłatne mieszkanie, uzyskać kartę wstępu do biblioteki, a najważniejsze – trafić na kursy przygotowawcze na wyższe uczelnie.

Kursy były płatne, i to dosyć drogo. Około czterdziestu rubli musiałem oddać za prawo do zajęć na nich. Za to można tam było nocować. Na tych samych stołach, za którymi dniem się uczyliśmy.

Na uniwersytet zostałem przyjęty.

Moskwa owych lat kipiła życiem. Wiedli tam spory o przyszłość kuli ziemskiej. Spory bez końca.

Na uniwersytecie, wstrząsanym burzami dysput, spory były szczególnie ostre. Każdą decyzję władz natychmiast dyskutowano, jak w konwencie.

Podobnie było w klubach. Na mityngu w domu kultury Trjochgorki stara tkaczka nie chciała słuchać miejscowego sekretarza, który objaśniał reformę finansów.

– Narkoma dawajcie, bo ty coś mętnie mówisz.

I narkom przyjechał. Zastępca narkoma finansów – Piatakow. I długo tłumaczył wzburzonej tkaczce, w czym sens reformy.

Spory wybuchały dosłownie o wszystko. O to, czy będą perfumy przy komunizmie? Czy żony w falangach Fouriera są wspólne? Czy w ogóle jest potrzebna adwokatura, rzeźba, poezja, a jeśli tak, to w jakiej formie?

Nam nie starczało widzieć, znać, żyć. Chcieliśmy sami działać, póki nie minęła pora nieśmiertelności...

Moje życie pękło na dwie klasyczne połowy: poezję i rzeczywistość. W tym czasie pisałem wiersze, chodziłem na kółka literackie, wstąpiłem w młody *Lef*. Kilka razy zetknąłem się z Trietiakowem, „faktografistą”.

Sergiej Michajłowicz był wysokim, pochyłym człowiekiem rozstrzygniętych problemów. Wątpliwości dlań nie istniały. Chcesz pracować – pomożemy, pokażemy; nie chcesz – z bogiem, i za próg.

Trietiakow potrafił nauczyć dziennikarskiej roboty. Poetów nie lubił – ani przyszłych, ani obecnych. Sam też poetą nie był, choć pisywał wiersze i nawet cały poemat stworzył *Ryczie*, *Chiny*, przerobiony potem na sztukę. Niedługo chodziłem na Małą Bronną. Byłem niesforny. I wierszy było mi żal. Nie konkretnych, czyichś wierszy, a poezji w ogóle. Dla poezji nie było miejsca w „literaturze faktu”.

– Co pierwsze rzuca się wam w oczy, kiedy wchodzić do pokoju?

– Zwierciadła – odpowiedziałem.

– Zwierciadła – powtórzył zdumiony Trietiakow. – Nie zwierciadła, a kubatura.

Pracowałem wtedy w radio-gazecie *Raboczij połdien*.

Tak więc – powiedział Sergiej Michajłowicz – napiszcie

do *Nowego Lefu* artykuł o języku reportera radiowego. Słyszałem, że należy unikać głosek szumiących, i tak dalej. Napiszecie?

– Ja, Sergiej Michajłowicz, chciałbym pisać na ogólne tematy – wybąkałem nieśmiało.

Wąska twarz Trietiakowa drgnęła i głos mu się podniósł nieco.

– Na ogólne tematy my sami piszemy.

Więcej na Małą Bronną nie chodziłem. Uwolnwszy się od duchowego brzemienia Lewego Frontu, zapamiętałem pisać wiersze o deszczu, słońcu i o wszystkim, co w *Lefie* zabronione.

W gruncie rzeczy moje życie zawsze się rozpadało na dwie połowy. Od najwcześniejszego dzieciństwa.

Z jednej strony – sztuka, literatura. Wierzyłem, że mi sądzono powiedzieć własne słowo w poezji, w prozie artystycznej.

Z drugiej – przyjmowałem aktywny udział w burzliwym życiu społecznym tamtych lat. Z moim credo – zgodności słowa z czynem – nie mogłem robić uników...

19 lutego 1929 roku zostałem aresztowany. Pracowałem w Biereznikach na Uralu. Potem Bierzin namawiał mnie na Kołymę, do kolonizacji kraju, ale odmówiłem. Miałem inne plany.

Po powrocie do Moskwy, w 1932 roku, stanąłem twarodo, na czterech łapach. Pracowałem dla czasopism, pisałem, przestałem zauważać czas. Potrafiłem już odróżnić w wierszach swoje od cudzego. Cudze wytrawiałem rozżarzoną żelazem. Pisałem dzień i noc. Rozmyślałem nad opowiadaniem, nad jego formą i możliwościami. Pojąłem, jak mi się zdawało, do czego służy deszcz w opowiadaniu *Mademoiselle Fifi* Mau-passanta. Zanotowałem 150 fabułek opowiadań, dotąd nie używanych, i około 200 wierszy. Niestety, moja ówczesna żona niewiele rozumiała w poezji i prozie. Przechowała tylko rzeczy wydrukowane, a rękopisy przepadły, póki byłem na Kołymie.

Pojałem też, że w sztuce starczy miejsca dla każdego, więc nie trzeba się tłoczyć, wypychać innych. Napisz sam, swoje...

Nabierałem siły. Wiersze też się pisały, ale nikomu ich nie pokazywałem. Szukałem, przede wszystkim, własnych

rysów, „twarzy nie-ogólnego wyrazu”. Przygotowywałem książkę opowiadań, w planie miałem zbiór wierszy.

Jak wtedy żyłem? Ot napiszę, przewidyuję maszynistce, daję tytuł, stawiam podpis i zanoszę do redakcji – czasopisma, gazety – wszystko jedno. Sekretarze zwykle mówili, bym za tydzień się zgłosił. Po tygodniu czekała odpowiedź, zawsze pozytywna. Tak było z *Kolchoznikom*, *Oktiabrjom*, *Prożektorom*, *Gudkom*, *Wokrug swjeta*. Szedłem na pewniaka, bez pudła, sto procent trafień. Do głowy by mi nie przyszło, że mogą coś odrzucić. Byłem pewny siebie, pewny swojej ręki. Czuję, że znalazłem ton, początek i styl. Własne rysy. Wierzyłem, że resztę biografia dopowie. Podyktuje zza pleców.

W nocy na 12 stycznia 1937 roku w moje drzwi zastukałi...

Było dla mnie jasne, od pierwszej więziennej minuty, że żadnych pomyłek w aresztach nie ma. Że toczy się akcja unicestwienia całej grupy „socjalnej”; wszystkich, którzy zapamiętali z rosyjskiej historii ostatnich lat nie to, co należało zapamiętać.

Od 1937 do 1956 żyłem w łagrach i zsyłce. Warunki Dalekiej Północy nie sprzyjają pisaniu. Przez cztery lata nie miałem w rękę ani książki, ani gazety. Potem się okazało, że można czasami pisać, i przechowywać. Wiele z napisanego – około stu wierszy – przepadło bezpowrotnie. Coś jednak się zachowało. W 1949 trafiłem, jako feldszer, na „leśną komandirówkę”. Tam przez cały wolny czas pisałem: na pustych polach starych ksiąg z receptami, na papierze z opakowań, na woreczkach z papieru.

W 1951 zostałem zwolniony, ale z Kołymy wyjechać nie mogłem. Pracowałem w szpitalu niedaleko Ojmiakona, w górnym biegu Indigirki, w strefie chłodu. Pisałem dzień i noc. W kajetach własnej roboty.

W 1953 wyjechałem z Kołymy i osiedliłem się w obwodzie kalinińskim, przy niewielkim przedsiębiorstwie obróbki torfu, w którym pracowałem dwa i pół roku, jako agent zaopatrzenia technicznego. To było miejsce, gdzie sezonowa praca zamieniała chłopów w robotników. Pierwsze ich zetknięcie z robotniczą mentalnością. W tym było sporo ciekawego, ale ja nie miałem czasu. Ja miałem 45 lat i chciałem

czas przegonić. Pisałem dzień i noc. Wiersze, opowiadania. I codziennie się bałem, że mi sił zabraknie, że nie napiszę już ani linijki i nie powiem wszystkiego, co chciałem.

W 1953 roku w Moskwie spotkałem się z Pasternakiem, który niezastudzenie wysoko ocenił moje wiersze, przysłane mu w 1952.

Jesienią 1956 zostałem zrehabilitowany, wróciłem do Moskwy, pracowałem w miesięczniku *Moskwa*, pisałem artykuły o historii kultury, o nauce, o sztuce.

W 1956 wiele czasopism brało moje wiersze. W 1957 oddali je z powrotem. Tylko *Znamia* opublikowały *Wiersze o Północy*. Sześć wierszy.

W 1958 w *Moskwie* wydrukowano pięć moich wierszy.

W 1961 w wydawnictwie *Sowieckij pisatel* wyszedł niewielki tomik *Krzesiwo*.

Napisałem kilkadziesiąt opowiadań, opartych na północnym materiale, i dwa dziesiątki szkiców...

Prozę przyszłości widzę prostą, pisaną precyzyjnym językiem, bez żadnych zawłości, gdzie tylko od czasu do czasu pojawia się coś nowego, po raz pierwszy ujrzane: detal – wyraziście pokazany. Taki detal powinien zaskoczyć czytelnika i sprawić, by ten uwierzył całemu opowiadaniu.

Zaś co do wierszy... Kosmos poezji to jej skrupulatność, jej szczegółowość. Jamb i chorej, przyczyniwszy tyle sławy ruskim poetom, nie wykorzystały jednej tysięcznej swoich zadziwiających możliwości. Nieograniczona jest płodność metafory, intonacji, obrazu.

Ot prawie wszystko, co chciałem powiedzieć. To nie autobiografia. To literacki trop mojego losu.

1964

Warłam SZALAMOW

Dziennik pisany nocą

Neapol, 25 kwietnia 1995

Wciąż przygotowania do podróży praskiej. Przeczytałem tom wspomnień Aleksandra Dubczeka *Hope Dies Last* (podobno lada dzień wyjdzie w Warszawie wersja polska).

Był człowiekiem sympatycznym, uczciwym, prawdziwym i szczerym (jak na polityka „na szczycie”). Ma rację kurator tomu, nazywając go „wyznawcą fabianizmu” i „socjalistą łatwo godzącym swe przekonania z wyniesionymi z domu rodzinnego zasadami etyki luterańskiej”. Należał do skąpej liczebnie kategorii komunistów, których nie zatrąf smak władzy (opisany w powieści Ladislava Mnaczk), którzy pilnowali reguł zwykłej ludzkiej przyzwoitości w swoim socjalizmie brany bardzo na serio, dalekim od nomenklaturowego, żarłocznego rozwyrzenia. Byli tacy, w mniejszości, ale byli. Rozumieli dosłownie „ludzką twarz”. O żadnym z nich nie powiedziano by w Moskwie, z odcieniem pochwały, *zubastyj bolszewik*. Byli bezzębni, a raczej mieli nadal w dojrzałym wieku mleczne zęby. Na krótką metę oczekiwała ich kłęska, chociaż czasem (jak w okresie Praskiej Wiosny) poprzedzona euforią „planu działania” i „bezkrwawej rewolucji”.

Posiadali cechę typową dla „fabianizmu”, począwszy od samych małżonków Webb poprzez różne wcielenia *Fabian Society*: naiwność. Naiwność Dubczeka trwała długo, dopiero po inwazji sowieckiej z sierpnia 1968 „doświadczenia przekonały go ostatecznie”, że w osobach bliskich mu kiedyś towarzyszy sowieckich miał do czynienia z „bandą złobców”.

Klasyczne jest jego zdanie: „Przyznaję, że rozumowałem naiwnie, ale wynikało to z mej dobrej woli i wiary w zasady przyzwoitości”.

Znamienne, że w swoich pamiętnikach Dubczek przemilcza dwa epizody, co do których drobiazgowi historycy Praskiej Wiosny nie mają wątpliwości. Pierwszym jest wizyta Tity w Pradze tuż przed inwazją, 9 sierpnia. Według Dubczeka „Tito wyraził pełne poparcie dla naszej działalności”. W rzeczywistości zaraz po przylocie, w pierwszej rozmowie z Dubczkiem, zapytał kiedy zostanie ogłoszona powszechna mobilizacja. Twarz Dubczeka wyrażała takie zdumienie i zgorzniecie, że Tito przyspieszył odlot do Belgradu ze słowami „nie mamy tu już nic do roboty”, skierowanymi do członków jugosłowiańskiej delegacji.

Na dworcu w Czernej nad Cisą, w ostatnim spotkaniu negocjatorów z Moskwy i z Pragi w klubie kolejarzy, doszło do ostrego starcia werbalnego między Breżniewem i Dubczkiem. Dubczek usiłował złagodzić napięcie słowami: „w każdym razie, towarzyszu Breżniew, my do żołnierzy Czerwonej Armii strzelać nie będziemy”. Jest dość prawdopodobne, że w mózgu Breżniewa „zaskoczył” wówczas refleks: „Można wkraczać”.

„Dubczek (u schyłku życia) – pisze kurator książki – ubolewał nad brakiem szacunku i wdzięczności znacznej części społeczeństwa, szczególnie w Czechach, wobec tych, którzy przez wiele lat otwarcie występowali przeciw ówczesnemu reżymowi, gdy większość pozostawała bierna lub kolaborowała. Uważał, że weterani Praskiej Wiosny zasługują na znacznie więcej szacunku i wdzięczności”.

Oto jeden z tematów do opukania w Pradze.

(Dopisane po powrocie z Pragi. Moja rozmowa z czeskim socjologiem z wykształcenia, a „politologiem” z zamiłowania, rzuca na to trochę światła. Jego zdaniem w pamięci społeczeństwa odciska się i pozostaje zazwyczaj walka, z ryzykiem i ofiarami, a nie akcja manewrowa z podchodami i szachowymi zagraniami, z krokami do przodu i do tyłu, z posunięciami dosyć śmiałymi, ale z góry nastawionymi na możliwość ustępstw, cofnięć, i kompromisów. A tym była Praska Wiosna. Pilnowano w niej przykazania: nigdy za daleko, ani

jednego otwartego konfliktu, ani jednej kropli krwi. Nie można odmówić Dubczekowi i jego ekipie zręczności i dobrej wiary w tej taktyce, ale podbiłaby społeczeństwo tylko w razie ostatecznej wygranej. W podświadomości Czechów i Słowaków tkwił kompleks kapitulacji. Przywódcy sowieccy świadomie pchali przywódców „nowego kursu” do kapitulacji, zwłaszcza gdy się upewnili, że nie będzie czynnego oporu. Młodzi oficerowie czechosłowaccy to mieli za złe swym przełożonym, z senilnym generałem Svobodą na czele. Gdy wreszcie do kapitulacji doszło, odbyła się w sposób głęboko upokarzający. Dajmy spokój szczegółom, wszyscy je znają. Tylko Kriegel odmówił podpisania aktu kapitulacji, ale ten „galicyjski Żyd” (tak nazwany przez Kosygina) nie liczył się i został na Kremlu szybko odizolowany od reszty towarzyszy. Dopiero na lotnisku delegacja odlatująca do Pragi zobaczyła jego nieobecność i w szcątkowym odruchu godności zażądała od moskiewskich gospodarzy jego zwolnienia; nie taka to wysoka cena jako jedyny warunek *sine qua non*, Kriegel więc został dostawiony do samolotu; pozwolono mu wrócić do Pragi z zastrzeżeniem (jak się okazało), że porzuci politykę na rzecz dawnego zawodu lekarza. Nikomu w Pradze nie przyszło do głowy zignorować to zastrzeżenie. Szczytem kapitulacyjnego ponizenia była przyjęta przez Dubczeka nominacja na ambasadora w Turcji. Zabawił w Ankarze krótko jako dyplomata, ale wystarczająco długo jako smakowity kąsek dla fotografów z gazet całego świata. Zaczął odważnie Praską Wiosnę, a zamknął ją w roli pokazowego gwaranta „normalizacji”.

Mój rozmówca urwał. Pomilczał chwilę i zapytał, co z tego miałyby szansę przejść do tradycji i legendy otoczone uczuciami „szacunku i wdzięczności”. Mało, bardzo mało. A „aksamitna rewolucja”? Zaśmiał się. To co innego. Młodzi na ogół ludzie, bez obciążeń „ideologicznych”, wyleczeni z „socjalizmu o ludzkiej twarzy”, przepędzili lokalną filię „bandy zbójców”, kiedy centrala bandycka nie była już zdolna do udzielenia bratniej pomocy. „Dubczeka wyciągnięto z szafy, otrzepano z naftaliny i zafundowano nam fałszywe ogniwo między Kartą 77 i Praską Wiosną”.

Krótką podróż do Pragi, 30 kwietnia – 7 maja.

Na lotnisku ambasador R.P. Jacek Baluch, Zbigniew Machej, ciekawy poeta z Cieszyna i kierownik Instytutu Polskiego w Pradze, świetna tłumaczka (także moich książek) Helena Stachová; i Czech pochodzenia bułgarskiego Stoilow, właściciel i dyrektor wydawnictwa *Torst*, z egzemplarzami autorskimi *Dziennika Pisanego Nocą* (*Inny Świat* wyszedł wcześniej nakładem czasopisma *Střední Evropa*).

Minister Skubiszewski, z braku zawodowej kadry dyplomatycznej, bardzo długo szukał ambasadorów wśród znawców krajów przeznaczenia. Na przykład ambasadę w Rzymie objął Bronisław Michałek, ambasada w Wiedniu przypadła Władysławowi Bartoszewskiemu (co prawda należało mu się Bonn, ale późniejsza nominacja ministerialna rozwiła te zale). Do Pragi przyjechał Jacek Baluch, bohemista z U.J. i niegdyś student Uniwersytetu Karola, i szybko zdobył sobie wysoką pozycję w korpusie dyplomatycznym. Było dla mnie ogromną przyjemnością, nie mówiąc już o pożytku, słuchać jego objaśnień na wszelkie możliwe „tematy czeskie”. Niestety, zdaje się że wkrótce zakończy swoją „przygodę dyplomatyczną” i wróci na U.J.

Zostawiliśmy bagaże w mieszkaniu ofiarowanym nam uprzejmie na tydzień pobytu przez Instytut Polski i pojechaliśmy na *Pražský Hrad*, na Zamek Praski. Ogromny kompleks (niektórzy zestawiają go z Luvrem) architektonicznie rozrośnięty w sposób wyborny i organiczny, zrobił na mnie natychmiast osobliwe wrażenie: że jest i zarazem nie jest wyłączony z miasta, stanowi jego dzielnicę „udzielną” i równocześnie wspinałe zwieńczenie. Było ciepłe popołudnie niedzielne, spacerowiczów w grupkach niezbyt dużo, co jakiś czas przechodziły oddziały straży zamkowej w mundurach zaprojektowanych przez przyjaciela Havla. Przypomniał mi się Pałac Królewski w Kopenhadze, obraz instytucjonalnego ładu i spokoju, tutaj przywrócony jakże niedawno. I już, na oko przynajmniej, solidnie zakorzeniony.

Złota Uliczka – dawna siedziba alchemików, chiromantów i czarowników – bajkowa trochę w grze malowanych domków, zawiera od razu u wejścia informację na tabliczce,

że pracowała tu kilka miesięcy siostra Kafki; i że jej brat lubił ją odwiedzać. (Zaczyna się więc praska kafkomania na użytek turystów, sztucznie rozdęta, jeśli się wie o samotności pisarza w rodzinnym mieście, o obojętnym stosunku Czechów do autora piszącego – o zgrozo! – po niemiecku). Ale „bajkowość” Złotej Uliczki muszę zapamiętać.

Przed zmierzchem poszliśmy na Most Karola, zatłoczony i podobny swoją rolą i swoim wystrojem do *Ponte Vecchio* w Florencji. Łazikowaliśmy na Kampie i brzegiem Wełtawy, nie raz miałem uczucie, że ocieram się o niedzielnych mieszczan w kieleckim ogrodzie miejskim nad okrągłym stawem i w mrocznych alejkach. Tak jest wciąż żywa i świeża nasza „proustowska” błona pamięci.

Później, w powietrzu szarzącym o zmroku, ambasador Baluch zawiózł nas w miejsce, gdzie w epoce „kultu jednostki” stał wielopiętrowy posąg Wodza Ludzkości, tak ustawiony by towarzysz Stalin mógł przytknąć Wielkie Oko do każdej w Pradze szybki okiennej. Zostało po nim rusztowanie; pomnik zwalono w roku 1962. Przechadzaliśmy się dokoła z ambasadorem w dwójkę, rozmawialiśmy o sytuacji w Polsce, miło było słyszeć z jego ust poglądy i oceny zbliżone do moich.

Pierwszomajowy dzień deszczowy, ponury, nie na wycieczki, a jednak wybraliśmy się z ambasadorem za miasto. Pusto było w porannej Pradze („niech się święci...”), pusto na drogach i w mijanych miasteczkach i wioskach, jakby ludzie zamknęli się w domach (częściowo w „chatach” należących do stołecznych amatorów dni wolnych od pracy na łonie natury). Najpierw Lany, wieś w której znajduje się rezydencja wypoczynkowa Prezydenta Republiki. Wiejski cmentarz, duży grób Masaryków, bez żadnych nagrobków, porośnięty wysoką trawą; leżą obok siebie Tomasz, jego żona, Jan i jego siostra. Wzruszająca jest ta skromność, trudno sobie wyobrazić podobny grób naszego Naczelnika Państwa. Czy to prawda – pytam ambasadora – że sławetny ksiądz Cybula, który tu był z Wałęsą, wahał się czy może zmówić modlitwę za spokój duszy rodziny Masaryków, nie mając pewności, czy

byli „prawdziwymi chrześcijanami”. Ambasador nie dosłyszał najwyraźniej mojego pytania, a ponieważ żmławka zamieniła się w deszcz, poszliśmy szybko do samochodu.

Dwa zamki, Krivoklat i Karlstein. Oba zamknięte w święto pierwszomajowe. Karlstein, położony wysoko, zachęcił w dole do założenia osady turystycznej, pełnej dziś Czechów i cudzoziemców na ulicach i w polnych szopach przerobionych na sklepy i bazy. A może Karlstein jest pierwowzorem kafkowskiego „Zamku”, z dołu wydaje się taki daleki i niedosiężny, tak obwarowany a przez to i głuchoniemy, zagadkowy? Może dzisiejszy bazar w dole był kiedyś osiedlem z tawerną? Nazajutrz, w Pradze, napomknąłem o tym w rozmowie z Heleną Stachovą. „Nie – odparła stanowczo – Karlstein to zamek z bajki”. Ale we mnie zachodzi dość dziwny proces. Z jednej strony, schodząc w głąb Pragi, staję często przed Kafką mniej abstrakcyjnym, bardziej realnym, któregoś z następnych dni wydreptałem nawet szlak, którym przez Most Karola w stronę Strahowa dwaj oprawcy w cylindrach prowadzili na egzekucję Józefa K. z *Procesu*; z drugiej strony, nie wiem jakim cudem, pomysły Kafki wydały mi się nagle rodem z materii bajkowej (lubił zresztą czytać bajki). Ten niezwykle melanz realistyczno-bajkowy jest zapewne jednym z sekretów jego sztuki; raz zapalając się, raz gasnącą iskrą, która na okamgnienie oświeśla inny wymiar.

Wypogodziło się po południu, na Rynku Starego Miasta z Ratuszem i gotyckim Kościołem Tyńskim uchwyciłem cechę chyba najważniejszą tego cudownego, olśniewającego miasta. Mam na myśli współbrzmienie stylów architektonicznych, naturalne sąsiedztwo (spotykane w średnich miastach włoskich) budowli kilku stuleci. Rynkowi, oblepionemu tłumem (przechodniów i osób siedzących na ławkach, na krzesłach w pobliżu pomnika Husa), nadaje to chwilami charakter sceny w ciągłym ruchu, placu skupiającego jak soczewka życie całej Pragi. A owo współbrzmienie stylów podkreśla organiczność rozwoju miasta (przynajmniej w centrum).

Przed powrotem do domu oglądaliśmy Pragę z góry, z Hradczyna. Kto widział iluminowany nocą Paryż, ten wie czym jest dla miasta pomysłowa, nocna iluminacja.

Niekiedy, podczas moich miesięcznych paryskich pobytów w *Kulturze*, zachodziłem do redakcji *Svedectvi*, pisma uważanego za skromniejszy czeski odpowiednik polskiego miesięcznika. Albo też widywałem redaktora Pavla Tigrida na poczęstunkach u Maksimowa. Dobrze pamiętam wizyty w redakcji *Svedectvi*: małe i ciasne mieszkanie, żona redaktora w kuchence, zajęta nie gotowaniem lecz odbijaniem na cyklostylu, Tigrid tryskający zawsze dobrym humorem i optymizmem. Ostatni raz w zatoczonym pokoiku wspominaliśmy dziennikarza Lederera.

Tigrid zaprosił nas na uroczysty obiad w restauracji na Kampie, tuż nad Wełtawą, koło starego młyna. Do zaproszonych należeli m.in. ambasador Baluch, Helena Stachová, Zbigniew Machej. Wzruszył mnie toast Tigrida: „Czy mogłem być w najsmielszych snach emigranta gościem w Pradze mojego polskiego przyjaciela z *Kultury*?” „I to jako Minister Kultury w rządzie czeskim”, wtrąciłem. Wzruszenie obróciło się w śmiech. Trudno sobie wyobrazić Tigrida bez śmiechu, żartów, wesołości.

Poważniał, powtarzając swoją ulubioną widoczną myśl: „Pamięć historyczna nie oznacza sprawiedliwości historycznej; ale jest bezwzględny warunkiem normalnego życia społecznego i narodowego”. Rozumiałem, że idzie mu o czeską „lustrację”, kulawą zapewne, ale ważną nawet w postaci bladej ustawy z lipca 1993. Jak było we Włoszech w prawach „epuracyjnych” po upadku faszyzmu, które pogrobowców reżymu zamykały w kwarantannie politycznej (trwała pół wieku), nie wzbraniając im udziału w parlamencie. Jak nie było, i przypuszczalnie już nie będzie, w Polsce gdzie z postkomunizmu zrobiono szachrajskie targowisko polityczne, żeglugę bez busoli.

Zbigniew Machej, dobrze zorientowany w sytuacji czeskiej, próbował ostudzić nieco moje uznanie. Być może, miał sporo racji, nie przestanę się jednak odnosić pozytywnie do czeskiego stylu przejścia z komunizmu do demokracji – z konstytucją, ustawą o obalonym ustroju, mądrym prezydentem, słabym Lewym Frontem (czeskie SLD), bez obłudy *alternance démocratique*. Na spotkaniu z czytelnikami w Instytucie Polskim czeski słuchacz, po mojej wypowiedzi w tym duchu, nachylił się podobno do swojego polskiego sąsia-

da i szepnął: „Marzyciel!” No ale ja wiem więcej od niego o moim kraju, więc moje „marzycielstwo” nie wisi w próżni.

Rzadko słyszy się o Grupie Wyszehradzkiej, jakby nie istniała dla opinii publicznej. Podejrzewam, że powstała po to by każdy jej członek liczył, że to on właśnie zostanie w końcu dzięki postępom w nauce wybrany i promowany jako prymus... Moje podejrzenie dotyczy na pewno Klauza.

Zapomniałem dorzucić w nawiasie, że Instytut Polski znajduje się w gmachu dawnej praskiej filii *Assicurazioni Generali* z Triestu, w której blisko rok pracował Kafka. Więc może czytałem krótkie opowiadanie w miejscu, gdzie niegdyś wypełniał swoje urzędnicze papierki.

Józefów, dawna dzielnica żydowska. W jej obrębie *Židovské Muzeum*, cztery synagogi i stary cmentarz żydowski, z braku miejsca zamknięty dla pogrzebów od trzystu lat. Czysto muzealny charakter ma jedna synagoga, podobna do kazimierzowskiej w Krakowie, z wyrytymi w kamiennych ścianach spisami zamordowanych Żydów. A stary cmentarz! Nagrobki jakby wypchnięte z głębi ziemi, pochylone ku sobie, w górze nieustanny złowieszczy krzyk kruków i wron. Zdają się nie wydalać poza mury cmentarza, kołują i kraczą tylko nad grobami. Wszyscy zwiedzający przystają na chwilę obok grobu rabina Löwa, twórcy Golema.

Postać z szesnastowiecznej legendy praskiej, jest w istocie prorocstwem, którego prawdziwy sens pozostaje wciąż nie w pełni uchwytny. Ulepiony z gliny przez rabina Löwa dla zastraszenia Prażan napastujących mieszkańców getta, Golem o ludzkich kształtach stawał się z biegiem czasu symboliczną zapowiedzią epoki, w której magiczna formuła pod językiem bałwana zdolna jest ożywić i wprawić w ruch nagą, ślepą, niszczycielską Siłę. Magiczna formuła kojarzy się obecnie ze współczesnymi „ideologiami”. Z tym, że nie tak łatwo już dziś w XX wieku, jak to potrafił zrobić cudotwórca żydowski w XVII stuleciu, obezwładnić i w proch obrócić glinianego potwora, wyrwawszy mu spod języka znak i iskrę zaklęcia. Golem naszych czasów siał długo grozę i śmierć milionów, zanim udało się wreszcie ugodzić go śmiertelnie i zmienić w

bezszałtne, martwe usypisko, kto wie zresztą czy martwe na zawsze.

O proroczym aspekcie Golema milczą broszury, sprzedawane w przyziemnym kiosku.

Obiad w okazałej ambasadzie francuskiej, na zaproszenie ambasadora i jego włoskiej żony (siostrzenicy mojej żony). Zaproszono także ambasadora Balucha i Helenę Stachową.

Rozmowy przy stole i potem na tarasie ocierały się ciągle, z nielicznymi interludiami, o nadchodzącą wizytę papieską. Admiracja dla Jana Pawła II nie przeszkadzała znającym Czechy w wypowiedaniu na głos pewnych ukrytych obaw. Czy stadion na Strahowie, o pojemności dwustu tysięcy osób, nie okaże się za duży, nie odłoni pustych plam podczas powitania? Rzecz w rosnącym indyferentyzmie religijnym Czechów, który wyraża się (według Macheja) cyfrą sześciu zaledwie procent ludności Pragi obecnych na nabożeństwach niedzielnych. Czy kanonizacja bł. Jana Sarkandra, gorliwego księdza kontrreformacyjnego, zamordowanego przez czeskich protestantów w czasie wojny trzydziestoletniej, nie zostanie uznana, jak to już w Polsce zapowiedział biskup Kościoła ewangelicko-augsburskiego Szarek, za pomysł „drażliwy” i „nieszczęśliwy”?

Po obiedzie pojechaliśmy na Zamek, załatwiono nam pozwolenie zajrzenia do sal niedostępnych na ogół dla turystów. Krążąc i podziwiając (jakiż widok Pragi z „okna defenestracyjnego!”), szczególnie Salę Władysławowską, naprawdę piękną, rozmiarami dostosowaną do turniejów rycerskich, znaleźliśmy się w pobliżu gabinetu Prezydenta. Pani Fijałkova, niegdyś ambasador czeski w Warszawie, a teraz sekretarka Havla, przebąkiwała o możliwości zetknięcia z nim (czytał jakoby czy czyta mój dziennik po czesku). Uniemożliwiła to procesja delegacji do Prezydenta w dniu rocznicy (5 maja) Powstania Praskiego. Za to miła pani Fijałkova zaprosiła nas na kawę przy okrągłym stoliku „historycznym”, gdzie Havel, Wałęsa i Antall obradowali w okresie rozwiązywania Paktu Warszawskiego.

(Dopisane 21 maja. Obawy wyrażane w ambasadzie francuskiej w Pradze znalazły potwierdzenie. Wystarczy rzucić okiem na tytuły w wielkich dziennikach. „Praga ignoruje papieża”. „Praga obojętna wobec papieża”. „Kanonizacja rozpętała bojkot”. „Wojna protestancka przeciw papieżowi”. Makabryczny reportaż z Ofomuńca, pojedynek na narzędzia tortur. W kościele katolickim wystawiono narzędzia, którymi torturowany był Jan Sarkander. Kościół protestancki odpowiedział narzędziami, którymi protestantów torturowali katolicy. Prawdopodobnie dziennikarskie zmyślenie, dość jednak znamienne. Chciałoby się niemal krzyknąć: *se non è vero...*

Jan Paweł II, w swoim najlepszym stylu, poprosił czeskich protestantów o „przebaczenie krzywd wyrządzonych im w przeszłości”. Byłoby to wymowniejsze jako otwarcie, a nie zamknięcie podróży).

Podróżnicze doświadczenie nauczyło mnie, że każde piękne miasto posiada swój zakątek, który jest jak gdyby jego syntezą i małym zwierciadłem. W Pradze kieruje się zazwyczaj uwagę na Zamek, Most Karola, Żółtą Uliczkę czy Plac Ratuszowy. Ale na przeszkodzie staje ich wyjątkowość, spektakularność. „Zakątek” musi być skrzyżowaniem piękna i prostoty, odpryskiem miasta na uboczu. 6 maja, w przededniu odlotu do Rzymu, straciłem już nadzieję jego odnalezienia. Miałem jednak szczęście. Za radą córki pojechaliśmy rano do klasztoru Świętej Agnieszki.

Klasztor klarysek założyła Agnieszka, siostra Wacława I. Zbudowano go w pierwszej połowie XIII wieku, w stylu gotyckim. Uległ kasacji w XVIII wieku, ryzykował całkowitą ruinę, ocalono go w naszym stuleciu. Restauracja jest majsterztykiem. Kaplica jak nietknięta, korytarze z płytami grobowymi króla i świętej, w ścianach uderzające płaskorzeźby, na piętrze galeria malarska, kwadrat wewnętrzznego ogrodu. Agnieszkę kanonizowano dopiero w roku 1989, krótko przed Aksamitną Rewolucją.

Sam klasztor nie wystarczy jako ulubiony „zakątek”, źródłem uroku są sąsiednie uliczki. Wąskie, malownicze,

ciche, żywe mimo ciszy, wyłoczone słońcem, zawieszane między *sacrum* i *profanum*. Któregoś dnia pojawią się tu malarze ze sztalugami i Święta Agnieszka zamieni się w praski Montmartre.

W Pradze mieszka teraz stale dwadzieścia tysięcy młodych Amerykanów i Amerykanek. Żyją psim świędem, uzupełniając drobne i przypadkowe zarobki przesyłkami ze Stanów. Najłatwiej rozpoznać ich (za dnia) po butlach wody mineralnej pod pachą. Mają radosne, zadowolone twarze. Czyżby Praga przejęła rolę amerykańskiego Paryża po pierwszej wojnie światowej, „ruchomego święta” opisanego przez Hemingwaya? Zobaczmy po przyszłych książkach i obrazach obecnych włóczykijów. Ale podniecające jest samo przypuszczenie, że w grupkach amerykańskich najeźdźców (bo poruszają się przeważnie grupkami) dojrzewa praski Scott Fitzgerald.

Schodziłem z klasztornej wzniesienia w ostrym blasku południa, powtarzając w duchu westchnienie: „Wrócę jeszcze kiedyś do Pragi?”

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Wiersze

Bogdan CZAYKOWSKI

MEDYTACJA

Jednak rzeczy tego wszechświata nie są aż tak proste.
W końcu z nieprzeliczonej mnogości słów
da się wybrać trochę mówiących
prawdę, czyli nie co na pewno jest
lecz co być może być może.

Więc może być, że wszechświat,
ten newtonowski jak i meta-einsteinowski
jest bez-boski, co znaczy albo,
że odległość nasza od jego pryncypium
jest nieprzekraczalnie wielka,
lub że poza wszechświatem nie ma
dosłownie Nic, choć my jesteśmy,
i nasz czas jest, jak w bańce oceanu,
i kiedyś prysnie.

Trudno mieć taką *niewiarę*. Ale trudno również
mnożyć pryncypia pryncypiów w nieskończoność.
Katastrofo mojej myśli!
Jakże śmiem wzywać cię, podnosić na krzyżu!
Gdybym, uwierzywszy w swoje synostwo,
dowiódł tego aż po własną śmierć,
gdybym jeszcze zmartwychwstał na trzy dni ziemskości
przed nieśmiertelnym zejściem do otchłani,
to nie musiałbym wierzyć w wiarę lub w niewiarę,
ale tego się nie da osiągnąć bez śmierci.

O CZYM PAMIĘTAŁ WE ŚNIE SEN

Nie wygnany, i nie emigrant, ale wywieziony.

Mógł zostać sowieckim janczarem:
Gdy biegł za pociągami, który go zostawił,
granica losu była cieńsza niż szyny,
po których coraz szybciej dudniły koła,
wiozące Polaków do Samarkandy.

Obdarzony amnestią w wieku lat dziewięciu,
jechał gdzie wojsko polskie i prawie się zgubił.
Dłoń uchwycona i nagle puszczone,
i włos sekundy że umknął się kołom;
i leży w kurzu, ponizony przez siły.
A szyny dźwięczą coraz ciszej, los się oddala inny.

I nagle czyjes kroki, szarpnięcie za ramię,
dłoń wskazująca pociąg wstrzymany w oddali.

Rzadko o tym wspominał, jeszcze rzadziej mówił.
Nie dawało się ująć w formułę, co przeżył.
Nie chciał mieć łaski mitu czy nimbu sieroctwa.
Zaciął się w sobie, a potem złagodniał.
Za bardzo wyczulony, żeby być bezwzględnym,
na moment losu, na moment beżsiły,
nigdy nie straci z oczu dziecka w Kazachstanie,
dziewczynki jasnowłosej, która niosła arbuz,
i był za ciężki, i go nie doniosła
do głodujących maleństw, zrozpaczonej matki.

Kiedy orkiestra współgra i tworzy harmonię,
nie umie zapanować nad swoim wzruszeniem.
Wstydzi się tego, ale nie potrafi.

Tyle rąk, tyle ust, tyle instrumentów
nawzajem się wspomaga, że siłą ma piękno
i rzeczywistość słucha przez chwilę muzyki.

I wtedy widzi dziecko, które kopie arbuza,
myśląc, że go potoczy, bo już nie uniesie,
a potem go porzuca w bezsilności płaczu
i wraca bez niczego, z wielkim bólem krzywdy.

Wydziedziczony? Z czego? Od dawna
bezsilny.

SEKWOJA

Zasnąłem w stopach sekwoi
jak ona wpalczyłem się w trawę i ziemię
sen miałem krótki ale pefen bytu
poduszki palców puściły korzenie
nie oderwę się
i nawet burza snu mnie nie powali

Nie byłem świadom porastania rzeszy
gdy otworzyłem oczy świat był przemieniony
tysiącem szczelin widziałem sieć widzenia
kratę przeźroczy

Schody miasta idą pić blask wody z rzeki
cienie świątyń są dłuższe niż wysokość wież
i gdy fala załamuje się drobna
zabiera z sobą cień i idzie z nim do dna

Dłoń rozpięszcza się, czuję dłoń w usilnej pracy
wydobycia podziemia na jaśniejszy mrok
słyszę spazm stłumionego oddechu
zmudny ruch mrówek czucia na kopiec domysłu
jest świadomość najniższa i długa jak cień

Tej szczeliny w granicie nikt nie spenetrował
przeciśnięty przez głązy idę ciemną żyłą
wewnętrznej skazy prowadzącej w górę

gdy dochodzę szczytu
czuję
wyjścia nie ma

Grzbietem wracają koźły z dolin chlorofilu
stukot ich kopyt dudni chwilami w szczelinie
i gdy już tylko obłok snuje myśl o szczycie
śnię że jest wyjście, lecz powrotu nie ma
i snu ostatki zaszczepiam w granicie

Bogdan CZAYKOWSKI

Leszek SZARUGA

TRYPTYK Z WIEPERSDORF

NOC

Ta jasna noc ciemnieje
w wierszu szelestem
samogłosek a słowo

sowa

trzepocze w ciemni dnia

CIEN

Najpierw cień, potem
ptak migocze w słońcu
słowa, pada
na ziemię
wiersza.

ODBICIE

Staw
schrypył żabami
odbija
w echu wiersza
samotność
wodnej lilii.

Wiepersdorf, 1995

CHWYTANIE

Chwile w lustrach liter kurczą się i gasną.
I nie wiem już czy lęk to, czy zaciekawienie? Co?
To chwytanie śmierci w sidła słów. Uroki?

Zamawiania? Modlitwy? To się nie odwlecze,
nadejdzie punktualnie, za moment, godzinę,
rok. I będzie jak być musi. Nie zostawisz sobie

żadnej furtki, nadziei, pomysłu na trwanie
w metamorfozach, powrotach, kolejnych wcieleniach.
I litery wyblakną. I zetleją gwiazdy.

Leszek SZARUGA

Archiwum polityczne**Jużnyj albo Noworossijsk**

Ileokroć na zatłoczonym Morzu Czarnym będą się mijały rosyjskie okręty wojenne z ukraińskimi tankowcami pełnymi ropy, Polacy powinni odmawiać zdrowąkę za swoją suwerenność.

Na razie, póki latem 1996 wyruszą na morze tankowce, trwa wytężona praca przy budowie portu naftowego w Jużnym, na wybrzeżu Morza Czarnego, 36 kilometrów na wschód od Odessy. Ropa naftowa płynąć będzie z Iranu, a potem może i z Iraku 800-kilometrowym rurociągiem do tureckiego portu Samsun, stąd statkami przez morze do Jużnego i dalej rurociągami po Ukrainie, a może i dalej przez Polskę do zachodniej Europy. Ukraińskim planistom starczyło wyobraźni, żeby pomyśleć o krok dalej niżby dyktowały ich własne potrzeby.

Przede wszystkim jednak mieli na uwadze bezpieczeństwo energetyczne swojego kraju, który po epoce sowieckiej odziedziczył ciężki, energochłonny przemysł. Według nieoficjalnych, ale wiarygodnych, danych Ukraina zużywa na jednostkę GNP ponad czterokrotnie więcej energii, niż przeciętnie w Europie zachodniej. Wprawdzie od eksperta Banku Światowego, który odwiedzał ukraińskie fabryki, słyszałem że na samym uszczelnieniu okien można by zaoszczędzić niejeden megawat energii – ale to by sprawy i tak nie rozwiązało. Nawiasem mówiąc łatwiej zrozumieć, czemu rząd ukraiński tak się wykrecą od zamknięcia czarnobylskiej elektrowni, jeśli zobaczy się całe dzielnice ciemne nawet w stołecznym Kijowie, a zimą ludzi w paltach w swoich domach. Wyłącza się zasilanie także w przemyśle kosztem dotkliwych strat.

Port w Jużnym ma przeładowywać rocznie 40 mln ton ropy. Ukraina zużywa 35 mln ton, z czego 5 mln z własnych źródeł w zachodniej części kraju (Stryj, Drohobycz), a niemal

całą resztę importuje z Rosji. Ale Rosja wcale nie jest skora zaspokajać wszystkie potrzeby Ukrainy: na rok bieżący podpisała kontrakt na 8 mln ton, a resztę – „to się zobaczy”. Dodatkowy import idzie z Turkmenistanu, ale i rurociągi, i rządy turkmeńskie pozostają pod wpływem Moskwy.

Jeżeli nie wyobraźnia, jeżeli nie pozorowane przewroty w zasobnym w naftę Azerbejdżanie – to choćby doświadczenie Białorusi podpowiada, w jaki sposób Moskwa, grając cenami (innymi dla „swoich”, innymi dla obcych) i dostawami, potrafi wymuszać dogodnie dla siebie decyzje. Do stycznia br. Ukraina płaciła za tonę rosyjskiej ropy 24 dolary – grubo poniżej cen światowych, ale kiedy odmówiła przyłączenia się do unii celnej Rosji, Białorusi i Kazachstanu (w wyniku której rosyjscy celnicy pojawili się na polskiej granicy), cena podskoczyła do 104 dolarów, wyżej nawet niż kosztuje w Rotterdamie.

To doświadczenie umocniło jeszcze determinację Ukraińców, bowiem decyzja o budowie Jużnego zapadła już wcześniej, latem 1993 – a decyzję podpisał ówczesny premier, a dziś prezydent Leonid Kuczma. Ten człowiek, z pochodzenia Rosjanin, który ponoć uczyć się musiał języka ukraińskiego, wart jest osobnego portretu. O ile wielu Polaków na szczęście wzdraga się przed powierzeniem Wałęsie większej władzy – przykład Kuczmy, który tę władzę dostał i używa jej dla przyspieszenia reform rynkowych a przeciw komunistycznym konserwatystom, skłania do ostrożniejszej odpowiedzi na pytanie: czy można krzewić demokrację niedemokratycznymi środkami? Żeby wytrącić budowę Jużnego z martwego punktu, w jakim się znalazła, kiedy zdominowana przez komunistów rada obwodowa Odessy pod pozorem względów ekologicznych wstrzymała roboty – prezydent Kuczma, kiedy tylko zyskał większe prerogatywy, nie zawahał się zmusić parlamentu do zawieszenia odeskiej uchwały, a dla wszelkiej pewności zażądał imiennego głosowania, żeby móc przeciwników oskarżyć o działanie na szkodę suwerenności państwa. Mało kto odważył się głosować przeciw wnioskowi prezydenta i po roku zastój roboty ruszyły pełną parą naprzód.

Konflikt wokół budowy portu w Jużnym przebiega niemal dokładnie wzdłuż tej samej linii co konflikt fundamentalny: z Rosją czy przeciw niej. Początkowo mówiono, że dostawy z Rosji są niepewne, potem, że bezpieczniej mieć alternatywne źródła zaopatrzenia, wreszcie, że trzeba się

uodpornić na naciski polityczne Moskwy, a nawet, że dysponując Jużnym i rurociągiem Ukraina może konkurować z Rosją oferując Europie tanią ropę. We wschodniej części Ukrainy, gdzie mieszka więcej Rosjan, gdzie mocniejsi komuniści, reintegracja byłaby przyjęta z radością. W części zachodniej, a zwłaszcza na terenach dawniej należących do Polski, uczucia narodowe są silniejsze i cena, jaką ludzie skłonni byłiby zapłacić za suwerenność jest wyższa.

Jednocześnie ukraińskie ekipy pracują na terenie Turcji, bowiem na podstawie porozumienia z Ukrainą powstała dwunarodowa spółka „P and P”, która ma wybudować, a następnie eksploatować sieć rurociągów naftowych, które – krótko mówiąc – pozwolą ominąć Rosję, zwiększając tym samym suwerenność Ukrainy, republik środkowej Azji, a i wzmacniając rolę Iranu. To zresztą stanowi twardy orzech do zgryzienia dla Clintona: z jednej strony, odwiedzając Kijów i chwając Kuczme, działa na rzecz umocnienia ukraińskiej niepodległości, z drugiej jednak nie chciałby, żeby w zamian za ropę do Iranu szły ukraińskie zmodernizowane czołgi T 82 – bo czymże Ukraina może płacić? Jej przemysł jest nie tylko paliwożerny, ale także marny jakościowo, niełatwo znaleźć produkty jakie można by z zyskiem wyeksportować.

Clinton obiecał, że USA pomogą Ukrainie sumą 300 milionów dolarów, co musi oczywiście zostać aprobowane przez kongresmanów, których trzeba będzie przekonać, że wzmocnienie Ukrainy leży w interesie Ameryki. Rosyjski Gazprom prędko i bez demokratycznych formalności przelicytował Amerykanów obietnicą 2,5 miliarda dolarów – a ściślej zamiany tej sumy długu ukraińskiego za dostawy nośników energii w zamian za udziały w ukraińskich rafineriach i rurociągach. Tutaj nikogo przekonywać nie trzeba, że przeciwnie do interesów amerykańskich uzależnienie Ukrainy od Rosji byłoby pozytywne.

Po wielu wahaniach i zakrętach polityka ukraińska weszła zdecydowanie na ścieżkę niezależności, a nawet orientacji prozachodniej. Sam Kuczma powiedział: „Zrozumiałem, że dzisiaj dla Ukrainy niezaangażowanie to nonsens. Taka doktryna jest w naszym położeniu geograficznym nie do przyjęcia. Nie jesteśmy Szwajcarią”. Powinno się do jego słów dodać, że nie tylko położenie geograficzne, ale i ekonomiczne jest inne niż Szwajcarii. Reintegracja Ukrainy z dawnymi republikami sowieckimi, do czego gorąco namawiają Jelcyń, Kozyriew, ale też Łukaszenka i Nazarbajew, prezydent Ka-

zachstanu, utworzyłaby związek niepełnosprawnych, kulejących gospodarczo i handlujących wzajem z sobą towarami pośledniej jakości krajów.

Mocarstwo musi mieć nie tylko kij w postaci armii, zdolnej interweniować tam, gdzie tego wymagają jego interesy, ale i marchewkę w postaci pieniędzy. Rosja stara się za wszelką cenę zapanować nad źródłami i drogami przesyłkowymi nośników energii na terenie całej „bliskiej zagranicy”. Zamiast budować kosztowny port w Jużnym, mówi Jelcyn, można by rozbudować port w Noworosyjsku, też na Morzu Czarnym, ale bardziej na wschód, na rosyjskiej ziemi. To, obok gotowości do restrukturyzacji 2 i półmiliardowego długu, hojna oferta pod adresem Kijowa. Na szczęście konkuruje z nią oferta Międzynarodowego Funduszu Walutowego pożyczki w takiejże wysokości 2,5 mld dolarów na stabilizację waluty, a Bank Światowy zastanawia się, czy nie udzielić kredytu na budowę portu w Jużnym.

Niedawno w Soczi, nie opodal Noworosyjska, gdzie Rosja gotowa by budować terminal naftowy zamiast Jużnego, spotkali się dwaj prezydenci, Jelcyn i Kuczma, żeby ostatecznie omówić kwestię podziału Floty Czarnomorskiej. Okręty, według zachodniej prasy przestarzałe i rdzewiejące, ale na niewielkim i tłoczonym morzu wciąż groźne, podzielono pół na pół, po czym zaraz zgodzono się, że Rosja odkupi od Ukrainy jeszcze kilkadziesiąt jednostek. Zapłaci za te statki i za dzierżawę portu w Sewastopolu na ukraińskim Krymie dostawami nośników energii, albo darowaniem długów, z którymi Ukraina już zalega.

W rezultacie tej umowy na Morzu Czarnym będzie blisko 700 rosyjskich jednostek floty wojennej, a zarazem kilkanaście ukraińskich tankowców. Okazji do prowokacji, przypadkowych czy zamierzonych wypadków, wpływania na cudze wody terytorialne – aż nadto. Dlatego radzę, żeby po każdym bezkonfliktowym minięciu się tych statków Polacy odmówili zdrowaśkę: jest tylko jeden naród, któremu bardziej od nas zależy na suwerenności Ukrainy i jest nim naród ukraiński. Ktoś słusznie zauważył, że Rosja z Ukrainą jest mocarstwem, a bez niej tylko normalnym, dużym państwem. Z takim sąsiadem o wiele łatwiej żyć.

Andrzej Krzysztof WRÓBLEWSKI

Czesi i Niemcy sudeccy*

(...) Prowadziłem również kiedyś w lecie 1945 roku na Hrad, do prezydenta Beneša, maluteńką delegację kłodzkich Czechów. Przeszli przez zieloną granicę, gdzieś na ziemi nachodzkiej, umknęli uwadze swych nowych państwowych panów Polaków. Przyszli prosić „prezydenta Odnowiciela” – to był jego honorowy tytuł, który był wówczas u nas w powszechnym użyciu – żeby się za nimi ujął, żeby ich nie opuszczać, żeby domagać się przyłączenia do republiki jeśli już nie całej ziemi kłodzkiej, to przynajmniej „Czeskiego Kątka Kłodzkiej”, trzech miasteczek: Kudowy, Lewina i Dusznik, i dziesiątek wsi i wiosek w dolinie pod przełęczą, na jej zboczach, w lasach i na wzgórzach, od Szczelińca i Wambierzyc pod Górą Stołową aż po Polskie Wrota na Dzikiej Orlicy pod Deśną¹. I tak znów, po latach, słuchałem z ust dwóch starców, Piźla ze Słonego i Bernata z Zakrza, tę wzruszającą ludową czeszczyznę osiemnastego wieku, kiedy to

* Václav Černý, *Paměti III (1945-1972)*, Atlantis, Brno 1992, wydanie drugie, rozszerzone (wydanie pierwsze w Sixty-Eight Publishers, Toronto 1983).

Niniejszy fragment na str. 40-45 wydania brneńskiego.

Václav Černý (ur. 26.3.1905 w Jizbicach koło Náchodu, zm. 2.7.1987 w Pradze) - filolog, krytyk i historyk literatury, tłumacz, wydawca i publicysta. W latach okupacji uczestnik ruchu oporu, aresztowany w 1944, uwolniony podczas powstania praskiego w maju 1945. 1945-1953 profesor Uniwersytetu Karola. W 1953 aresztowany, ale jeszcze w tym samym roku zwolniony. Od 1954 roku zatrudniony w Czechosłowackiej Akademii Nauk. W 1968 powrócił na praski uniwersytet. Po inwazji Układu Warszawskiego stał się obiektem licznych ataków w prasie, radiu i telewizji. W 1970 ponownie usunięty z uczelni. Sygnatariusz Karty 77.

Nie dokończony „Wspomnienia” spisywał Černý w ostatnich latach życia. Gdy pytałem swych czeskich przyjaciół z kim można by Václava Černego porównać w Polsce, najczęściej padało nazwisko Jana Józefa Lipskiego – jak on: historyk literatury, socjalista, ale przede wszystkim wielki autorytet moralny.

1. *Zemská Brana* jest właściwie pojęciem obszerniejszym niż Polskie Wrota, przełęcz oddzielająca Góry Orlickie od Stołowych, przez którą przechodzi droga z Kudowy do Dusznik i dalej do Kłodzka.

poprzez oderwanie ziemi kłodzkiej od Korony zatrzymał się jej rozwój. I wiedziałem, że wstawiają się za naszych w *Kladštie* daremnie i że serdeczność prezydenta ich losów nie zmieni. Było późno, nieodwracalnie późno. Wprawdzie dr Beneš przypominał sobie wyraźnie, że podczas wojny dostał ode mnie mój testament Kłodczyzny, nawet z dołączoną mapą, ale to było wszystko. Obaj delegaci przyszli za wiedzą Komitetu Kłodzkiego przy ONV² w Náchodzie. I oczywiście także rodzącego się praskiego Związku Przyjaciół Ziemi Kłodzkiej, który powstał potem 10 grudnia 1945 roku i uczynił mnie swym urzędującym przewodniczącym, na nie-szczęście całkiem sceptycznym przewodniczącym. Starłem się postawić na grobie „czeskiej Kłodczyzny” przynajmniej pomniczek „Kłodzkiego tomiku”, który naprędce zredagowałem i napisałem doń słowo wstępne i posłowie o „walce o Kłodczyznę”. Gdzież byli już jednak kłodzcy Czesi, kiedy wychodził we wrześniu 1946 roku w wydawnictwie *Družstevní práce*? W tym czasie było ich już tylko nieco ponad 5100. Większość, około czterech i pół tysiąca, już w roku 1945 uciekła przez granicę do nas. Zresztą tak daleko, że mogli widzieć swe chałupy. Ale tu, w pogranicznych wsiach ziemi nachodzkiej, stopili się rychło z ojczystymi stronami. Spora część pozostała na miejscu, w jakimś lęklwym oczekiwaniu niemożliwego cudu z czeskiej strony, i dostali nawet od Polaków łaskawy dar czeskiej szkoły powszechnej w Kudowie dla całego obszaru Kątku. Ale ponieważ życie nie stoi w miejscu, starzy umierali, a młodzi i młode żenili się z tymi i wychodzili za tych, z którymi teraz przyszło żyć, rychło nie trzeba było czeskiej szkółki. Jakiejże czechy i jakiej czeskiej świadomości mógł ich nauczyć polski nauczyciel, który przyszedł skądś z zabranych obszarów wczorajszej wschodniej Polski? A reszta, nieco ponad tysiąc, ale ta liczba nie przestała stopniowo rosnąć, odeszła ze swymi pruskimi współobywatelami Śląska, albo za nimi, do Niemiec Zachodnich. Ich odrobiny nie było w ogóle widać w powszechnym exodusie Niemców. A również ten exodus Niemców jest wspomnieniem, bez którego bym się był obszedł.

2. ONV, *Okresní národní výbor*, odpowiednik Powiatowej Rady Narodowej.

Wysiedlanie Niemców z naszej ojczyzny było ciemnym tłem, przed którym przebiegały wszystkie, radosne i żałosne wydarzenia obu naszych pierwszych, znów wolnych lat. W ruchu oporu mówiło się pierwotnie, że będą musieli odejść niemieccy winowajcy polityczni, naziści oraz aktywni, chętni, świadomi współpracownicy nazistów. To była także pierwotna koncepcja rządu w Londynie; członkiem naszego poprzedniego politycznego przedstawicielstwa za granicą był przecież poseł Wenzel Jaksch, niemiecki socjaldemokrata, a dr Beneš jego współpracę aprobował. I potem, w roku 1943 (po Stalingradzie?) zmiana dyrektyw: oprócz aktywnych niemieckich uczestników ruchu oporu, praktycznie w większości komunistów, odejdą wszyscy Niemcy. Niemcy – jako część składowa ludności naszej przestrzeni państwowej – znikną! Ten pomysł, nieważne w czyjej głowie się narodził, przedstawiał rozwiązanie radykalne, praktycznie i politycznie użyteczne, które czyniło z naszego kraju państwo narodowo niemal jednolite; ale jednocześnie stwarzał nam na przyszłość poważny narodowo-polityczny handicap, wtłaczając nas w sytuację małych, ograniczonych w suwerenności sojuszników, na trwałe zależnych od pomocy i przychylności takiego mocarnego protektora, który będzie skłonny gwarantować zyski z naszego postępowania! Do sojuszu z naszym obrońcą bylibyśmy na zawsze przykuci i nań skazani. I kto wymyślił, i kto przyjął to rozwiązanie, był genialnie cynicznym praktykiem politycznych *faits accomplis*, ale był nim na koszt *naszej* wolności. Do samej rzeczywistości transferu tylko to, że ostatnimi precedensami było przesunięcie (i zniknięcie) Niemców nadwołżańskich do Środkowej Azji, wyrzucenie Tatarów krymskich z ich półwyspiarskiej ojczyzny, a poza tym też wysiedlenie Niemców z obszaru ZSSR po pakcie Stalin-Hitler z roku 1939. Ale do transferu przyzwyczaili się w końcu również zachodni alianci, w Poczdamie stał się artykułem światowej umowy pokojowej, a tym samym kawałkiem odpowiedzialności zwycięzców, tę im pozostawmy. Nasza polityczno-moralna odpowiedzialność pozostaje jednak rzeczywistością *sposobu*, w jaki dokonaliśmy wysiedlenia Niemców: tylko ta, ale na długo wystarczy. Prezydent nie zdążył jeszcze dotrzeć z Koszyc do Pragi, a już w drodze, 12 maja (1945) w przemówieniu w brneńskim

ratuszu oświadczył, że „nasz wściekły sąsiad (...) stworzył sobie sytuację, skutki której dotkną jego obecne i przyszłe pokolenia, poniosą je jako zasłużoną i w pełni im się należącą karę (...) Ten naród przestał w tej wojnie być w ogóle ludzkim, przestał być po ludzku znośnym i ukazuje nam się już tylko jako jeden wielki ludzki potwór (...) Powiedziliśmy, że problem niemiecki w republice musimy definitywnie zlikwidować...” Słowo to było okropne i całkiem nowe w czesko-słowackim słowniku politycznym! Pachniało nie karą, lecz zemstą. A za chwilę znowu, z balkonu ratusza do zgromadzonych zastępów: „Moim programem jest – wcale tego nie taję – że kwestię niemiecką musimy w republice zlikwidować”. (Tekst przemówienia ukazał się potem w specjalnej publikacji ZNV³ w Brnie – pryp. autora)

W tym przemówieniu pomieszanie państwa, względnie „zbrodniczego państwa” (to pojęcie chwilę później zdefiniował Jaspers), i narodu było obowiązującym faktem. Wprowadzono abstrakcyjne, uogólniające rozwiązanie, według którego bez względu na jednostkowe i konkretne winy moralne cały naród do ostatniego dziecięcia miał pokutować za zbrodnie grabieżców władzy państwowej. Wyparliśmy się sami siebie, swojej przeszłości, swoich chrześcijańskich i humanistyczno-demokratycznych tradycji, zaparliśmy się pierwszej republiki i Masaryka. Polityka stała się sprawą siły, a nie moralności i prawa. I żadna partia nie okazała się lepsza niż inne. „Masarykowscy” narodowi socjaliści niemal z ochotą przyswoili demagogię wysiedleńczą i antyniemiecką. Gdzie się podziała ostrożność wobec ludzkich praw człowieka, osnowy naszej konstytucji? I czy było nasze zachowanie naprawdę możliwą drogą do socjalizmu, do sprawiedliwości w stosunkach obywatelskich, które obiecywaliśmy sobie wybudować? Przejawiły się co najwyżej w ustaleniach i rozporządzeniach, którymi nasz rząd, nie bez oznak przerażenia, starał się szybko regulować, porządkować, po ludzku administrować lawiną trzech milionów wypędzanych ludzi z pięćdziesięcioma

3. ZNV, *Zemský národní výbor*, odpowiednik Rady Narodowej na szczeblu ponadwojewódzkim (istniały trzy ZNV: czeski w Pradze, morawski w Brnie i słowacki w Bratysławie).

kilogramami bagażu każdy, przynajmniej niech to właśnie będzie im uznane! W rzeczywistości nie potrafiła zapobiec, by się nie przejawiało wszystko, co było w Pepiczku spod znaku ciemnych żywiółów, wściekłego i chciwego: motłoch poczuł krew i okazję, a nasza odnowiona, czy też „rewolucyjna” władza państwowa nie umiała się od niego zdystansować, przeciwnie, zamierzała go wykorzystać, zaspokajała go więc, podporządkowała się mu. Rodziła się fatalna reguła narodowego życia politycznego, poddać się w każdym decydującym momencie motłochowi. Jeszcze je widzę, te RG (według znaku na opasce na rękawie) – „Rewolucyjne Gwardie”, ale ludzie to czytali „rabunkowe gwardie” – które się rzuciły do Sudetów, aby wykonywać rozkazy narodowo-rewolucyjnych organów; były przez kogoś uzbrojone. Kto im dał karabiny? Mało tych karabinów było zdobytych na majowych barykadach, z ruchem oporu ci gwardziści nie mieli nic wspólnego. Ktoś raczej potrzebował stworzyć sobie oddziały spolegliwych pretorian do politycznych celów, termin których przewidywał? A po piętach deptali im „nowi osiedleńcy”. Do opuszczonych fabryk, sklepów, warsztatów rzemieślniczych w miastach przychodzili „narodowi zarządcy”. Potem na sudecką wieś wysłały nasze wsie elementy, z odejścia których się radowały: leniuchów i darmozjadów, i tylko młodzi synowie z gospodarstw i chałup szli tam z zamiarem orać i pracowicie zbierać żniwo z tanio zyskiwanej ziemi. Cieszyli się na te dekryty, które uczynią ich rzeczywistymi właścicielami uprawianej ziemi, w większości daremnie. Podobnie było z Czechami, którzy przybyli z rosyjskiego Wołynia. A za tymi falami fala następna, ostatnia, za to nieprzerwana, tłumy Cyganów ze Słowacji, Węgier, Rumunii, Bóg wie skąd jeszcze. Ci zalali sudecką wieś i miasta. Pracy, którą mieli wykonywać, nawet nie rozumieli, a była to praca najniższa. Dewastacja Chebu⁴, i to dewastacja wielokrotna,

4. Cheb (niem. Eger), miasto w zachodnich Czechach. Przez cztery dekady komunistycznych rządów katastrofalnej dewastacji uległo właściwie całe zamieszkałe niegdyś przez Niemców pogranicze, ale największych zniszczeń dokonano w pasie od Chebu, poprzez Chomutov, Most, Teplice, Děčín do Liberca, w zachodnich i północnych Czechach. Miasto Most pochłonęła kopalnia odkrywkowa, pozostał po nim tylko przesunięty w inne miejsce kościół. Obok zbudowano nowy Most, co na kształt rzuconego w góry Ursynowa, tylko chyba trochę większego.

jest znana na całym świecie. Przecież o tym wszystkim wiecie, nawet jeśli nie chcecie sobie tego przypomnieć, nie zapomnieliście tej żalostnej epopei nawet dzisiaj, kiedy to już więcej niż po ćwierćwieczu, osiedleńcze elementy naszego „pogranicza” zrosły się w mniej więcej normalne kolektwy. „Powrót” Rezáča⁵ to tendencyjna bajka. Nie, nie byłem naocznym świadkiem osławionego marszu kolumny brneńskich Niemców, pędzonych przez Mikulov do Austrii, co rzekomo było odwetem za postępowanie niemieckiego burmistrza Brna w czasie wojny, Judexa. Ale co widziałem, to widziałem – Niemców upychanych w obozach przejściowych, już w pierwszych dniach po wyzwoleniu! No tak, Czesi potrafili być równie sprawnymi organizatorami, jak jeszcze kilka miesięcy wcześniej Niemcy. I tak samo w nich rządzą. A czeskie rodziny nie miały nic przeciwko przydzielaniu im stamtąd tymczasowych służących. Zdumiało mnie i zawstydziło, gdy tak zrobił jeden z moich najbliższych przyjaciół i rówieśników, czeski filozof. I aż mnie zatkało, gdy się dowiedziałem, że mój najwierniejszy druh, nowy przewodniczący odrodzonego związku pisarzy czechosłowackich, pozwolił sobie przydzielić nowe, wielkie mieszkanie po Niemcach i zasiadł bez zakłopotania w pseudoprzemychu germańskiego pyszałka, który stąd uciekł, pod jego zyrandolami z jelenich poroży. Słyszałem też naoczne świadectwa o spalonych żywcem na ulicy niemieckich żołnierzach, a sam widziałem pochód niemieckich kobiet ostrzyżonych na zero i gnanych do prac publicznych. Gestapizm czeski o włos nie różnił się od nazistowskiego, na czym więc chcieliśmy potem opierać pychę naszej moralnej wyższości? Przybiegł do mnie do domu sąsiad z wybałuszonymi oczami. Jego piętnastoletni syn, rozentuzjasmowany gimnazjalista, zgłosił się na ochotnika do gwardii obywatelskiej, do służby wartowniczej. Ale tam dali tym dzieciom pały, żeby młóciły według własnego uznania niemieckich cywilów pozamykanych w piwnicach miejskiej szkoły w Pradze. Przybiegł do mnie na ZNV, wysłany tam przez brata, kapitan sztabowy Jeníček, znany wówczas filmowiec wojskowy. Był jednym wielkim przeraże-

5. „Powrót” (w oryginale *Nástup*) Václava Rezáča ukazał się w polskim tłumaczeniu w Warszawie, w roku 1953.

niem. Jego córkę z dziećmi zabrali do obozu dla Niemców, bo jej mąż był Niemcem. No, i ten obóz właśnie wyczyścili. Niech Pan pomoże! No, tym razem wystarczył telegram z prezydium ZNV, natychmiast wyłączyć z szeregow ewakuowanych... Jak na razie tłumy prażan życzyły sobie haniebnego teatru publicznej egzekucji profesora Pfitznera, niemieckiego burmistrza Pragi, na placu Pankrackim. Potem przyszło stracenie K.H.Franka. A żona Franka, jak sądzę – niemiecka lekarka, wchodziła do pokoju swych śledczych ze związanymi rękoma: „*Bitte nicht schlagen, nur nicht schlagen!*” (Proszę nie bić, tylko nie bić!). A potem ktoś ją gdzieś odwiózł, zniknęła jak te dzieci z Lidic. Z kim, na Boga, współzawodniczyliśmy o nagrodę? Ale przecież ja sam znałem niektórych tych Niemców, znałem od samego dzieciństwa, mianowicie tych zaharowanych, przygarbionych „Szkopów” z Gór Orlickich, z wiosek i stoków o dwie góry od nas. Ich życie to była tylko harówka. Od niepamięci nie wyprostowali pleców, jak ci nasi górale, ten sam żywot, to samo trzymanie się grudy kamieni, tylko że ci niezrozumiale trajkotali. I w sąsiedztwie powstał Hitler, obiecał im pracę, z zapalem mu uwierzyli. Zabrał ich, dał im rzeczywiście pracę, w górach pojawiły się pieniądze, podobało im się to – pełnych kilka miesięcy. I była tu wojna, i musieli iść na nią. W góry zaczęły przychodzić listy poległych, raj się skończył. Ale oprócz ogromnej szkopskiej głupoty nie popełnili niczego, naprawdę niczego. Dlaczego więc także oni musieli iść precz?! Do tych ich pagórków przecież nikt nie spieszył, a bez nich te ich poletka zamienia się w ugory i chaszczę! Zabłądziłem raz wieczorem tego lata 1945 podczas swego pierwszego, a potem już corocznego powrotu do rodzinnych gór – długo przedtem nie było mi to dane – zabłądziłem więc do kościółka w Sedloniovie (Sattel) za Vrchmezím⁶. Głowa przy głowie, wszyscy milczeli i ksiądz przed ołtarzem, twarzą ku ludziom. I ta cisza była tak straszliwa w świetle płonących świec, że nie odważyłem się uczynić kroku za próg. W mgnieniu oka przyszło mi na myśl wspomnienie ludowej bajki mojego dzieciństwa o mszy martwych, na którą w niedzielę wielkanocną

6. Sedloňov (niem. Sattel), wioska w powiecie Nové Město nad Metuji.

przychodzi dziewczyna, która rano, jeszcze po ciemku, zbyt-
nio się pospieszy. Modli się na niej, w godzinę przed mszą
żywych, martwi wstali z grobów, przy ołtarzu dawny
proboszcz-nieboszczyk, i tylko jej babcia, która zmarła w
minionym roku, ocali ją wskazując w milczeniu palcem na
drzwi, zanim ją martwi rozszarpia. Ja też uciekłem. To wieś
żegnała się ze swym rodzinnym gniazdem i swoimi
przodkami, starcy i dzieci do ostatniej dziecińcy, i przed swym
gromadnym odejściem nazajutrz niemo modliła się po raz
ostatni. Było to nie do zniesienia. Potem, podczas tego mar-
szu z gór na odległy o trzy godziny pociąg, w leśnym prze-
smyku Piekła nad Metują, strażnicy pochodu zastrzelili tego
proboszcza. Nie wiem dlaczego, może chciał przeszmygować
do obczyzny kielich mszalny swojego stada. Chadzam od tego
czasu na ten górski, sedloniowski cmentarz każdego lata i z
rozwalonych i pozarastanych kamieni pośród pleniących się
pokrzyw, jeżyn i macierzanki czytam kruszące się imiona nie-
boszczyków. Oni naturalnie pozostali. Przecież, do pioruna,
znałem tych wujów! Jestem niewinny, ale proszę o przebacze-
nie. To nie moja robota, stary Pohlu, Honigu, Novotny, ale
wstyd mi nieskończenie! Z Bogiem i do widzenia za rok!
Przyjechałem do domu po pół roku i dowiedziałem się, co
się stało na odwrotnym końcu rodzimego horyzontu, w
Teplicach-Weckersdorfie nad górną Metują⁷. Także z tej kra-
iny, przyległej do ziemi nachodzkiej, odeszli po Monachium
wszyscy do wnętrza kraju nasi, jej dawni mieszkańcy i ci no-
wi, z czasów republiki. A w maju wrócili kupą i zrobili
„porządek”, wszystkich Niemców po prostu z Teplic wygnali,
i to jeszcze zanim wyszły prawne i państwowe przepisy o
wysiedleniu. Wyoście się, dokąd chcecie! Ale po jakimś
czasie tłum wygnańców wrócił z granicy, bo ich – bezdom-
nych i bez właściwych dokumentów – nigdzie nie chcieli i
nie przyjęli. Tyle tylko, że w Teplicach byli już „spisani”, ich
domy zajęte, majątek rozdzielony, w ich futrach chodziły już
damy z RG. Tak więc nie zostało nic innego, niż znowu

⁷ Teplice nad Metuji (niem. Weckelsdorf a nie Weckersdorf, prawdopodobnie błąd druku w wydaniu, z którego korzystałem), miasteczko na północny zachód od Náchodu, znane przede wszystkim dzięki Teplickiemu Skalnemu Miastu, rezerwatowi przyrody z kilkudziesięciometrowymi piaskowcowymi turniami o niezwykłych kształtach.

zrobić „porządek”. Zaprowadzili tych Niemców na Skąły i
tam, w lesie, ich rozstrzelali i pochowali. Po jakimś czasie
zaczęli się wypytywać o zaginionych ich zagraniczni, nie-
mieccy krewni, powierzyli poszukiwania Czerwonemu Krzy-
żowi, przedstawiciele zwycięskich mocarstw zwrócili się do
Pragi, i tak doszło się aż na skraj tego grobu. Dziewczę na
górze trupów dotąd składało zeszywniałe w śmierci ręce, a
poskręcane ciało zdradzało, że umarła prosząc o łaskę. Bez-
radni i rozpaczeni sędziowie z Náchodu rozpoczęli „zbieranie
materiałów” do procesu z własnymi ludźmi. Powiedzcie, kto
i kiedy wybawi nas z tych wspomnień? Wtedy się budziło złe
sumienie naszego narodu. Okazało się, że obraz, nawet w
nieszczęści dumny, jaki przez całe wieki słusznie sobie
kreśliliśmy o ideowej i moralnej istocie narodu czeskiego, nasz
motłoch zmienił nam w ciągu kilku miesięcy w kłamliwy,
schlebiający mit, w pustą iluzję. Za co lepszego niż nasi
przeciwnicy, niż ktokolwiek, chcemy się uważać po maju
1945? Bez ideowego i moralnego przeżycia czterdziestego
piątego nawet dziś nie można ze spokojem przewidzieć naszej
przyszłej *sprawiedliwej* perspektywy narodowej. Och, zeby
był złym prorokiem. Ale już w rok 1946 wchodziłem
udręczony obawą: po wydarzeniach niemieckiego wysiedlenia
nie mamy już, i to na długo, szans.

Václav ČERNÝ

tłumaczył: Aureliusz M. Pędziwol

Wygnanie Niemców było bezprawiem, naprawmy je*

Dlaczego republikanie wydrukowali oszukańcze ulotki¹, w których wskazują na możliwość powrotu Niemców sudeckich do Czech? Ponieważ wiedzieli, że ludzie zareagują na coś takiego z olbrzymią niechęcią.

Spróbujmy zapomnieć o emocjach. Wtedy zobaczymy, że sam postulat pewnej rekompensaty czy możliwości restytucji dla Niemców sudeckich nie jest w żaden sposób nielogiczny, oburzający, nie jest niczym, co mogłoby obudzić namiętności.

Z punktu widzenia dzisiejszej moralności i świadomości prawnej – a innej nie mamy – kolektywna kara jest absolutnie wykluczona. A czescy Niemcy byli ukarani kolektywnie, bez rozróżniania winowajców od zwyczajnych, biernych świadków, a nawet od tych, którzy nic nie zawinili i nie pochwalali zła. I dalej: jeśli się kogoś karze, niedopuszczalnym jest pozbawianie go majątku, jeśli nie ma to służyć spłaceniu kwoty, którą jest on winien.

I nie mówię tu nawet o żonach i dzieciach, które były pomordowane podczas tak zwanego dzikiego transferu² albo

* Artykuł w dzienniku *Mlada fronta dnes* z 27 lipca 1995. Autor jest zastępcą redaktora naczelnego pisma.

1. Szef parlamentarnego klubu Republikanów i zarazem sekretarz federalnego rządu w Bonn skierowaną do kierownictwa ziomkostwa sudeckiego, pod którą umieszczone były nazwiska Helmuta Kohla i Theo Weigla. Tekst mówił o planowanym powrocie Niemców sudeckich do ich byłej ojczyzny i wzywał w związku z tym do poparcia dla czeskiej koalicji rządowej, która miała podobno w tajnych rozmowach pójść na dalekie ustępstwa wobec Bonn i obiecać najpierw zwrot obywatelstwa wygnanym Niemcom, a potem wysokie odszkodowania za skonfiskowany im majątek. Ulotki były rozkolportowane na całym obszarze Czech. Na wniosek sędziego śledczego z Pragi czeski parlament pozbawił posła Vika immunitetu, aby umożliwić rozpoczęcie postępowania karnego przeciw niemu „za szerzenie niepokojów społecznych”.

2. Wypędzanie Niemców z Czechosłowacji rozpoczęło się natychmiast po zakończeniu wojny. Zanim aljanci wyrazili w Poczdamie zgodę na wysiedlenie Niemców z Europy Środkowej, zostało wypędzonych około 600 tysięcy Niemców sudeckich. Wydarzenia tego okresu znane są

zmarły wskutek złego obchodzenia się z nimi. Nie możemy i nie śmiemy odstępować od zasad moralnych, do których świat doszedł po ciężkich doświadczeniach i strzeże ich dla swego dobra bardziej niż oka w głowie. Z ich punktu widzenia wygnanie Niemców było bezprzykładnym bezprawiem i pokazową czystką etniczną.

Z tych zasad można dojść do wniosku, że jeśli doszło już do bezprawia, nigdy nie jest za późno, by je naprawić. Czeski rząd miałby przyznać wygnanym Niemcom sudeckim symboliczne odszkodowanie właśnie dlatego, aby przyznać się do zasad nowoczesnej ludzkiej cywilizacji. Naturalnie – i jak sądzę nikt nigdy nie podawał tego w wątpliwość – z tym zastrzeżeniem, że poprzez to odszkodowanie nie może zostać skrzywdzony żaden obywatel Czech.

Standardowa, rozgoryczona odpowiedź na wyżej przedstawioną argumentację brzmi następująco: „Niemcy byli ukarani słusznie! Przecież to oni zaczęli wojnę! Przecież to oni zniszczyli Republikę Czechosłowacką! Jakim prawem mieliby żyć we wspólnym państwie, które zniszczyli? Chcieli do Rzeszy, niech tam więc idą!” Także ta argumentacja jest w istocie prawdziwa.

Wygnanie czeskich Niemców było skutkiem łańcucha przyczyn, a u jego narodzin stał bez wątpienia straszny zawód ze strony jednego niemieckiego pokolenia. Zawód, któremu obecne pokolenie nie zaprzecza.

Samo kolektywne rozumienie narodu, a stąd też możliwość kolektywnej kary, jest płodem ideologii, która się wylęgła w Niemczech. Według niej Germanin był czymś więcej niż Słowianin, a Żyd nie był człowiekiem. Niewiarygodne bestialstwa, jakie Niemcy popełnili we wzburzonej atmosferze końca wojny, wywołały w ówczesnych warunkach najprawdopodobniej adekwatny odwet. Politycy, którzy wymogli na mocarstwach zgodę na „transfer”, mieli nadzieję, że w ten sposób zapewnią przyszłą suwerenność Czechosłowacji. Za niecałe trzy lata okazało się, jak krótkowzroczna była ich decyzja. Ludzie, praktycznie bez wyjątku pochwalający albo wspomagający wygnanie, uważali je po pięciu latach okupacji za absolutnie sprawiedliwą zemstę.

jako „dzikie wygnanie”, gdyż towarzyszyły mu brutalne ekscesy. Najbardziej znane z nich są tak zwany „brneński marsz śmierci” i pogrom w Usti nad Łabą. W Czechach zamiast słów „wygnanie” bądź „wypędzenie” używany jest eufemistyczny termin „transfer” (po czesku *odsun*), którego używa także Komarek, zawsze jednak poprzedzając słowami „tak zwany”, bądź umieszczając go w cudzysłowie.

Nawet jeśli nie możemy się z tym zgodzić, że ówczesne stanowisko przywódców i zwyczajnych ludzi było zgodne z prawem, nie można go uważać za świadomą winę porównywalną z rozpętaniami agresywnej wojny czy też etnicznymi czystkami, jak to znamy z dzisiejszej Bośni. Jeśli można mówić o jakiejś „winie” Czechów, to leży ona w krótkowzroczności. Oczywiście z wyjątkiem tych, którzy przy „transferze” dopuścili się nie podlegających przedawnieniu indywidualnych zbrodni. Ci by mieli zostać ukarani.

A jednak fakt, że Czesi nie są w tym mocnym sensie słowa winni, nie znaczy, że Niemcy nie zostali według dzisiejszej miary ciężko skrzywdzeni. Już choćby dlatego, że nie byli sądzeni indywidualnie, że nie mieli możliwości, by się bronić. Już choćby dlatego, że wraz z tymi, którym na przykład niezależny sąd wymierzył wysokie kary, były też dotknięte ich rodziny.

Idea niezbywalnych praw człowieka może funkcjonować jedynie wtedy, gdy ludzie zgodzą się co do tego, że wyjątki są niedopuszczalne. To obowiązuje także wstecz.

Można zrozumieć i usprawiedliwić konstruktorów wygnania, ale to nie znaczy, że tamte krzywdy nie miałyby być nazwane właściwym imieniem i – jak długo to możliwe – naprawione (a to oczywiście tylko w tym wypadku, że rząd federalny przyzna odszkodowania ofiarom nazizmu).

Przyznać, że Niemcom sudeckim stała się krzywda, nie jest żadnym wstydem, ustępstwem albo kapitulancstwem na monachijski wzór³. Wręcz przeciwnie, to dowód wysokiej moralnej i politycznej godności narodu. Kraj powinien dać tego dowód.

Martin KOMAREK

tłumaczył Aureliusz M. Pędziwoł

3. Chodzi oczywiście o dyktat monachijski z 29 września 1938 roku, na mocy którego III Rzesza dokonała aneksji Sudetenlandu. 30 września prezydent Edward Benes zaakceptował decyzje z Monachium, co oznaczało całkowitą kapitulację, 5 października ustąpił ze stanowiska, a 22 października wyemigrował z Czechosłowacji.

Węgierskie migawki

W odróżnieniu od eleganckiego, wymuskanego, ale także nostalgiczno-muzealnego Wiednia, Budapeszt kipi życiem. Stały tłok w świetnie funkcjonującej komunikacji miejskiej, autobusach, tramwajach i kolejce podziemnej (pierwszej na kontynencie europejskim). Ciągły ruch na bulwarach i wokół luksusowych hoteli nad Dunajem. Byłem w Budapeszcie uprzednio trzy razy w 1973, 1985 i 1988, ale były to wizyty najwyżej dwudniowe połączone z konferencjami naukowymi, czyli dające małe szanse na eksplorowanie miasta. Tym razem zostałem zaproszony na okres czterech tygodni z wykładami z historii Polski na Central European University (wyższa szkoła ufundowana przez amerykańsko-węgierskiego miliardera Sorosa). Był więc czas i na spotkania z naukowcami węgierskimi i amerykańskimi; na „długie rodaków rozmowy” z Ambasadorem RP Maciejem Koźmińskim, skądinąd kolegą-historykiem z Warszawy, specjalistą od dziejów Węgier; a nawet na wzięcie udziału w konferencji na temat bezpieczeństwa w Europie Środkowej i Wschodniej sponsorowanej przez węgierskie i polskie rady czy kluby atlantyckie.

Uniwersytet Środkowoeuropejski (nieco zbyt szumna to nazwa dla ośrodka liczącego obecnie kilkuset studentów) mieści się w Budzie w wygodnych choć niezbyt atrakcyjnych blokach, ale od przyszłego roku akademickiego przenosi się do pięknej rezydencji w Peszcie. Składa się m.in. z wydziałów prawa, historii, sztuki i mediewistyki, na których zajęcia prowadzą głównie profesorowie węgierscy i amerykańscy, choć przyjeżdżają z wykładami również uczeni z Niemiec, W. Brytanii i innych krajów. Rektorem jest mój dawny kolega z Uniwersytetu Yale, a później dziekan Szkoły Międzynarodowej w Columbia University, politolog Alfred Stepan. Dzięki niemu CEU uzyskał status wyższej uczelni zarejestrowanej w stanie Nowy Jork, co daje możliwość traktowania absolwentów-magistrów (obecnie istnieje tam tylko jednoroczny program magisterski) jako posiadających równorzędne dyplomy akademickie. Studenci rekrutują się z wszystkich prawie republik b. ZSSR oraz krajów dawnego Bloku. Na moich zajęciach miałem Litwinów, Słowaków, Albańczyka, Polaka,

Chorwata itp. Ich poziom naukowy był więcej niż zadowalający a znajomość angielskiego zaskakująco dobra. Dla wielu z nich CEU to pierwszy krok na drodze do studiów doktoranckich na zachodnich – w praktyce na brytyjskich lub amerykańskich – uniwersytetach. Czy i ilu wróci do swych krajów po zakończeniu studiów? Czy CEU przyczyni się w jakimś stopniu do zacieśnienia więzów regionalnych? Niełatwo odpowiedzieć na te pytania, a przecież główną ideą Sorosa było chyba umożliwienie edukacji w stylu zachodnim elicie z dawnego bloku, z myślą o przeszczepianiu tych modeli do Europy Wschodniej i Środkowej. Trudno też powiedzieć do jakiego stopnia rok spędzony wspólnie na uczelni o profilu i stylu amerykańskim, ale usytuowanym w Budapeszcie, przyczyni się do zbliżenia i lepszego zrozumienia przez studentów dzisiejszej problematyki polityczno-społeczno-gospodarczo-kulturalnej. W jakimś sensie widzę CEU jako jeden z licznych przejawów „amerykanizacji” Europy Środkowo-Wschodniej, choć oczywiście nie w tej prymitywnej formie, której symbolem stał się McDonald’s (królujący m.in. w najstarszym dworcu budapeszteńskim) i natrętna i wszecobecna reklama. Mam tu na myśli raczej model „liberalno-demokratyczny” oferujący pewien system wartości i postaw charakterystycznych dla Zachodu. Ponieważ jak wiemy system ten przechodzi obecnie wyraźny kryzys, nasuwa się pytanie czy rozprzestrzenianie go nie przyczynia się do szerzenia się tzw. światopoglądu postmodernistycznego, z towarzyszącym mu często indyferentyzmem, relatywizmem, konsumeryzmem, wojującym feminizmem i gejo-lesbijską kampanią, wzbudzającymi zastrzeżenia i krytykę nie tylko ze strony Kościoła i zwolenników tradycyjnej moralności.

Dla wielu studentów CEU Budapeszt jest Zachodem i rzeczywiście nawet dla kogoś kto przyjeżdża z Polski stolica Węgier ma wiele cech Zachodu. Może resztą zawsze je miała. Mosty na Dunaju przypominają miejscami pejzaż znad Sekwany, bulwary, budowane w epoce Haussmanna i niekiedy przez francuskich architektów, nasuwają skojarzenie z boulevard des Italiens czy Capucines. W jakimś sensie Budapeszt jest bardzo dziewiętnastowiecznym miastem, którego wcześniejsze zabytki ulegały stałemu niszczeniu. W tym wypadku jak i w innych dziedzinach nasuwają się wciąż pewne paralele z Polską, choć twierdzenie Węgrów, że Buda była najbardziej zniszczoną stolicą Europy Środkowo-Wschodniej jest nie do zaakceptowania przez Polaków. Tradycyjne sym-

patie i związki polsko-węgierskie są nadal widoczne. Pomnik Bema czy orzeł jagielloński w parlamencie to tylko dwa rzucające się w oczy symbole polsko-węgierskiej przeszłości.

Czy istniejąca na papierze bardziej niż w rzeczywistości grupa wyszehradzka ma jakiś oddźwięk na Węgrzech? Jak wiemy Czesi, zwłaszcza premier Klaus, ostentacyjnie się od niej odzegnują. Zainteresowanie regionalną współpracą jest na Węgrzech raczej ograniczone. Młody historyk węgierski interesujący się tematyką środkowoeuropejską mówił mi, że na regionalnych zjazdach, na których podkreśla się podobieństwa i wspólnotę, w kuluarach przyznaje się, że każdy z krajów „wyszehradzkich” myśli wyłącznie o sobie.

Na wspomnianej powyżej konferencji klubów atlantyckich, mających na celu propagowanie włączenia naszych państw do NATO, ich węgierski *spiritus movens*, b. minister spraw zagranicznych Géza Jeszenszky podkreślał wspólnotę interesów naszych narodów. Sekundowali mu ze strony polskiej b. premier Olszewski i Piotr Naimski. Natomiast wśród reprezentowanych na konferencji Amerykanów brzmiały głosy sceptyczne. David Binder z *New York Times'a* wręcz stwierdzał, że NATO ma jedynie sens dla Stanów, ze względu na to, że umożliwiałoby istnienie baz amerykańskich w Europie. Resztą zdawał się nie interesować. Konflikt w Bośni określał jako wojnę domową, do której Zachód nie ma się co mieszać. *Nota bene* emocjonalne wystąpienie działacza chorwackiego, który porównywał to co się dzieje w Bośni z aktem terroru w Oklahoma City, zostało przyjęte z pewnym zaambasowaniem. Dziennikarz z *New York Times'a* przytaczał powiedzenie swego ojca, iż Amerykanin nie powinien się zajmować krajami, które trudno jest znaleźć na mapie. Brzmiało to zupełnie jak słynna wypowiedź Chamberlaina z okresu Monachium i nie wytrzymałem, żeby nie zwrócić na to uwagi.

Jedną z ciekawszych wypowiedzi na konferencji był referat Jamie Shea, zastępcy dyrektora dla spraw informacji i prasy w NATO. Analizując postulat rozszerzenia paktu przypominał, iż NATO nie ma doświadczenia w tym względzie, gdyż od chwili jego powstania włączono doń tylko Hiszpanię, i to po dziesięciu latach rokowań. Rozszerzenie NATO na wschód musi jego zdaniem przynieść korzyści nie tylko nowym członkom, ale wszystkim obecnym. Ewentualne ryzyka muszą być zrównoważone przez zyski. Zwracał też uwagę na to, że sprawę członkostwa w NATO niestety chanie się uprasz-

cza, nie dostrzegając różnego typu istniejących zobowiązań. Inny status w NATO ma bowiem Francja, inny Hiszpania, jeszcze inny Norwegia. Członkostwo nie łączy się wszędzie z amerykańskimi bazami lub integracją w struktury wojskowo-strategiczne. Dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej są możliwe do zastosowania jeszcze inne modele. W każdym razie nawet jeśli wziąć poważnie oświadczenie Clintona, że chodzi tu nie o „czy” ale o „kiedy”, proces może być bardzo długi, nie mówiąc już o tym, że zgoda na przyjęcie nowych członków musi być ratyfikowana przez kilkanaście parlamentów.

Na spotkaniu z historykami w Instytucie Historii Akademii Nauk w Budzie mówiliśmy o trudnościach finansowych i kadrowych na uczelniach i w instytutach badawczych. W gruncie rzeczy bolączki są te same co w Polsce czy Czechach. Następnie rozmowa szybko zesłała na tematy polityczne. Interesowały mnie porównania doświadczeń węgierskich i polskich, i tu znów można zauważyć wiele zbieżności. Węgry stoją zresztą w obliczu poważnych cięć budżetowych w takich dziedzinach jak nauka, opieka społeczna, służba zdrowia. Jak zareagują na to wyborcy, którzy podobnie jak w Polsce dali kredyt zaufania postkomunistom (choć działacz robotniczy Gyula Horn w niewielkim stopniu przypomina Kwaśniewskiego)? Wolni demokraci, którzy dołączyli do koalicji, płacą za to jak na razie spadkiem popularności. Czy Forum ma szanse wygrania następných wyborów? W każdym razie wydaje się, że grupy skrajnie prawicowe stanowią podobnie jak w Polsce polityczny margines. Są krzykliwe, ale nie mają większego poparcia w społeczeństwie i nie są reprezentowane w parlamencie. Poważniej wygląda natomiast sprawa rolnictwa, które jest zagrożone importami z Zachodu, a przecież Węgry wciąż są w dużej mierze krajem rolniczym. Piętrzące się trudności są i będą zapewne przez dłuższy czas pożywką dla populizmu.

Odwiedziłem Węgierską Akademię Nauk, założoną w pierwszej połowie XIX wieku (a więc przed naszą Akademią Umiejętności) i funkcjonującą stale w swej starej wspaniałej siedzibie w Peszcie. Pod portretem fundatora Istvána Széchenyiego (którego jego przeciwnik Kossuth nazwał największym z Węgrów) urzęduje prezes Akademii historyk Domokos Kosáry. Według powszechnej opinii w latach po upadku komunizmu umiejętnie przeprowadził on Akademię między Scyllą lustracji i Charybdą *status quo*. Stwierdza, że nigdy nie

zgodził się na polowania na czarownice, choć sam był, najogólniej mówiąc, *persona non grata* za komunizmu. Osiemdziesięciodwuletni uczonec (sam chętnie podkreśla swój wiek), Kosáry jest pełen wigoru i planów naukowych. Za dwa lata kończy się jego kadencja i wówczas postanawia poświęcić się tylko pisaniu w swym domu nad jeziorem Balaton. Parę tygodni po rozmowie w Budapeszcie spotkałem go znów na międzynarodowej konferencji Academia Europea w Krakowie. Serdecznie witał prof. Gieysztorą i mnie, nazywając nas swymi polskimi przyjaciółmi. Kraków, jak stwierdził, zawsze go przyciąga.

Podczas pobytu na Węgrzech starałem się zobaczyć inne miasta i znaczące ośrodki. Imponują swym rozmiarem ruiny zamku w Wiszegradzie. Odwiedziłem Esztergom, siedzibę prymasa czyli odpowiednik Gniezna, ale sama katedra budowana w przyciężkim stylu była dla mnie pewnym rozczarowaniem. Położenie kościoła natomiast na wzgórzu nad Dunajem jest bardzo malownicze. Z drugiej strony rzeki to już Słowacja i nie odbudowany most, którego przęsła dochodzą tylko do połowy rzeki, stanowią jakby symbol napiętych stosunków słowacko-węgierskich. W ogóle cień traktatu triańskiego wciąż jeszcze jest zauważalny a los paru milionów Węgrów w Rumunii, Słowacji i Wojwodinie, z których wielu mieszka tuż przy granicy, nie może być obojętnie przyjmowany. Nie jest jednak łatwo się zorientować do jakiego stopnia problem ten waży na polityce węgierskiej, a zwłaszcza na nastrojach społeczeństwa. Opinie, które słyszałem, poważnie się między sobą różniły. Fakt, że rezolucja Rady Europejskiej dotycząca praw mniejszości została zaraz po przyjęciu jej przez Słowację nie ratyfikowana a Rumunia odrzuciła ją *ad limine*, jest smutnym świadectwem tego, że w Europie Środkowo-Wschodniej chce się równocześnie wejść do jakiejś integrującej się Europy, ale przy zachowaniu narodowej *splendid isolation*. Podejście wydawałoby się anachroniczne, gdyby nie to, że i na Zachodzie (Le Pen) wąsko pojęty nacjonalizm zyskuje zwolenników.

O Siedmiogrodzie rozmawiałem m.in. z pochodzącym stamtąd młodym polonistą na uniwersytecie w Debreczynie. Mój wyjazd do Debreczyna był w dużej mierze spowodowany nadzieją zobaczenia słynnej węgierskiej puszczy. Okazało się jednak, że puszcza w swej tradycyjnej postaci z przydrożnymi żurawiami studziennymi, stadami szarych wołów z długimi rogami, gospodami i lokalnym folklorem została już właści-

wie relegowana do parku narodowego. Na trasie kolejowej Budapeszt-Debreczyn widać tylko ogromne równiny, ale ze stepu pozostało tu niewiele. Za to sam Debreczyn, ten Rzym węgierskich kalwinów jest interesującym miastem. Powstał on jako jedno z tzw. rolniczych miast (opida) na styku Węgier właściwych i historycznego Siedmiogrodu, w okresie podziałów w XVI i XVII w. lawirując zręcznie pomiędzy Habsburgami a Turkami. W okolicy osadzono tzw. hajduków, których status przypominał trochę kozaków. Debreczyn posiada imponujące stare kolegium kalwińskie wyposażone we wspólną bibliotekę, która ocalała, oraz wielki zbiór kalwiński. To tu właśnie w 1849 r. ogłaszano detronizację Habsburgów, a potem pod koniec drugiej wojny w grudniu 1944 w zajęętym przez Czerwoną Armię mieście proklamowano tzw. rząd tymczasowy Dálnokiego.

W Debreczynie znajduje się duży uniwersytet zapoczątkowany w latach 1920-tych i usytuowany w pięknym lesie-parku. Mój *cicerone*, mówiący płynnie po polsku, jest pracownikiem niedużego zakładu polonistyki, chyba jedyne poza Budapesztem. Zakład jest dobrze wyposażony – biblioteka uniwersytecka jest zresztą jedną z największych na Węgrzech – i ma bliskie kontakty z Polską. Rozmowa po polsku jest ulgą w kraju, gdzie bariera językowa jest bardzo dokuczliwa. Trzeba jednak przyznać, iż od mej pierwszej wizyty na Węgrzech przed dwudziestu dwoma laty znajomość angielskiego poczyniła ogromne postępy, przynajmniej w stolicy, zastępując a przynajmniej uzupełniając tradycyjną znajomość niemiecką. Nic dziwnego zresztą, bo jest to zjawisko ogólne w całej Europie Środkowej, a Budapeszt jest wyraźnie ukierunkowany na Zachód: na Wiedeń, Niemcy, Anglię, ale chyba przede wszystkim na Stany Zjednoczone.

Piotr WANDYCZ

Kraj

Stan wojenny: fragmenty scenariusza

...Bo czyż pod stołem, który nas dzieli,
nie trzymamy się wszyscy tajnie za ręce...

Bruno Schulz

2 grudnia 1981 r. o godzinie 21 ambasador NRD w Warszawie Horst Neubauer wysłał obszerny (ponad pięć stron), tajny i pilny telegram do ścisłego kierownictwa SED w osobach Honeckera, Axena, Milkego, Siebera i Fischera*. Ambasador miał powody do pośpiechu: chyba po raz pierwszy od początku kryzysu w Polsce mógł przekazać towarzyszom w Berlinie Wschodnim pomysły wiadomości. Honecker domagał się jednak bezskutecznie od przywódców PZPR „twardych i bezkompromisowych działań przeciwko kontrrewolucji”, z niecierpliwością tym większą, że w 1981 r. było jasne, iż Sowietci odrzucają wariant interwencji zbrojnej w Polsce.

Podstawą optymizmu była rozmowa, jaką Neubauer odbył dzień wcześniej z ministrem do spraw związków zawodowych – Stanisławem Cioskiem. Był on dla towarzyszy wschodniemieckich wyjątkowo wartościowym partnerem, nie tylko jako zwolennik zdecydowanych działań przeciwko „Solidarności”, lecz również jako cenny informator. Wiado-

* Po raz pierwszy przedstawił ten dokument publicznie historyk z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie – Michael Kubina w referacie wygłoszonym w ramach V Światowego Kongresu Studiów Słowiańskich i Wschodnioeuropejskich w Warszawie 9.8.1995 r.

mości przekazywane przez Cioska odznaczały się szczególnymi walorami analitycznymi i były z reguły *in extenso* przekazywane kierownictwu SED.

Tak było i tym razem: w telegramie „autorski” tekst Neubauera ogranicza się do jednego zdania wprowadzającego: „towarzysz ciosek, minister do spraw współpracy ze związkami zawodowymi, oświadczył w rozmowie 1,12.”.

Informator Neubauera przekazał, również po raz pierwszy, dobre wiadomości:

sytuacja zmieniła się zasadniczo w ostatnim czasie. jestem optymistą, polska tragedia zmierza ku końcowi. finał już się zaczął. rozstrzygnięcie musi nastąpić w grudniu. szkoła oficerów pożarnictwa zostanie opanowana przez milicję przy użyciu przemocy.

mój optymizm opiera się przede wszystkim na postawie związku radzieckiego. kierownictwo kpzr postanowiło zbilansować wymianę handlową z prl na rok 1982.

jaruzelski poinformowany o tym pisemnie. przy wysokości naszego ujemnego salda jasne, co miałyby to oznaczać, zamiast 14 mln. t. ropy naftowej tylko 3 mln. t. niewielka część <naszego> zaopatrzenia na gaz ziemny i inne surowce. praktycznym rezultatem byłoby natychmiastowe totalne załamanie polski. w piśmie żadnych żądań politycznych. jednak wezwanie do stanowczego działania niedwuznaczne. równocześnie po wizycie tow. breżniewa w bonn po raz pierwszy jednoznaczne oświadczenie ustne towarzyszy radzieckich, że w wypadku zdecydowanej walki przeciw kontrrewolucji, związek radziecki gotów do znacznej pomocy ekonomicznej. jaruzelski teraz przed alternatywą, albo nie walczyć i wpędzić naród w katastrofę, albo uderzyć i otrzymać pomoc gospodarczą. czy chce czy nie chce, jest w końcu zmuszony do działania. radziecka oferta pomocy gospodarczej dla wsparcia walki z kontrrewolucją na razie bez podania konkretnej wartości, ale konkretna wysokość pomocy bratnich państw <ma> wielkie znaczenie. potrzebujemy tyle, aby po konfrontacji wyraźnie poprawić zaopatrzenie rynku i ponownie ożywić gospodarkę. jeśli bratnie państwa mogłyby dostarczyć pomocy w takim zakresie będzie możliwe wygranie konfrontacji bez rozlewu krwi. (...)

nie oznacza to stałego utrzymywania polski, tylko jednorazową akcją pomocy w wysokości circa 5 miliardów dolarów. przede wszystkim w formie surowców, artykułów żywnościowych, towarów konsumpcyjnych jak również środków inwestycyjnych dla ożywienia gospodarki. część w gotówce, między innymi dla pokrycia w 1982 r. spłat zachodnich kredytów i oprocentowania. po zgnieceniu kontrrewolucji przy ożywieniu produkcji możliwe równoczesne pokrycie <zapotrzebowania> rynku wewnętrznego i wzrost eksportu, aby w 1983 r. lub najpóźniej w 1984 r. podjąć samodzielnie spłatę zachodnich kredytów. (...)

większość komitetu centralnego, jak wykazało ostatnie plenum, zdecydowanie popiera energiczne działania.

Po przedstawieniu tych budujących perspektyw, Ciosek wyjaśnia aktualną taktykę władz PRL:

idea frontu porozumienia pogrzebana. „solidarność” traktuje ją jako pułapkę, która miałaby związać ją odpowiedzialnością, nie dając w zamian istotnego udziału we władzy. „solidarność” zgodzi się tylko wtedy, gdy taki udział we władzy <będzie> zapewniony. naturalnie nie możemy tego zaakceptować. oficjalne dalsze propagowanie idei frontu porozumienia tylko taktycznym krokiem z naszej strony. jaruzelski stara się pokazać społeczeństwu, że do ostatniej chwili wyciąga rękę do porozumienia. także po konfrontacji należy ponownie nawiązać do idei frontu porozumienia. wówczas w oparciu o zabezpieczone struktury władzy pogłębienie procesów demokratyzacji na bazie socjalizmu jak najbardziej możliwe. dzisiejszy wywiad rakowskiego o umocnieniu gotowości do porozumienia częścią składową tej taktyki. niektóre ustępy wywiadu wymyślił sam jaruzelski. „możecie mi wierzyć lub nie, <ale> sam byłem świadkiem jak rakowski usiłował przekonać jaruzelskiego o konieczności rozbicia kontrrewolucji przy użyciu przemocy”.

obecne rozmowy z „solidarnością” to tylko gra pozorów, wiedzą o tym obie strony. podjęliśmy pertraktacje tylko dlatego, że to żądanie „solidarności” i chcemy pokazać gotowość do kompromisu.

żądania „solidarności” w sprawie omówienia w odrębnych grupach roboczych kwestii praworządności, reformy

wymiaru sprawiedliwości i wyborów odrzucone. doniesienia prasowe, że te sprawy będą omawiane na plenarnych spotkaniach głównych grup negocjacyjnych bez znaczenia. nie będzie więcej takich spotkań.

przerwaliśmy rozmowę w grupie roboczej „dostęp do środków przekazu”. pretekstem propagandowa i plakato-wa kampania „solidarności” przeciwko środkom przekazu. obecne negocjacje z „solidarnością” nie na temat konkretnych wydarzeń jak np. bydgoszcz, tylko w kwestiach zasadniczych. w tych sprawach porozumienie już niemożliwe. jedyńm wyjątkiem sprawa społecznej rady gospodarki. w rozmowach daleko idąca rezygnacja „solidarności” z pierwotnej koncepcji. obecne stanowisko „solidarności” bardzo bliskie naszym wyobrażeniom. rada gospodarki jako organ doradczy powoływany i odwoływany przez rząd za pośrednictwem sejm. rada ma się składać z ekspertów z różnych kręgów społecznych, w tym organizacji związkowych. (...)

Informacje o sowieckich naciskach gospodarczych, które miały skłonić Jaruzelskiego do zdecydowanych działań, podał także Mieczysław F. Rakowski w swoich wspomnieniach „Jak to się stało”, przytaczając nawet dokładniejsze dane: 4,1 miliona ton ropy naftowej zamiast pierwotnie uzgodnionych 13,1 miliona ton oraz zaledwie 1/4 obiecanych dostaw pozostałych surowców. Były wicepremier zdaje się natomiast grzeszyć przesadną skromnością, gdy swoją rolę we wprowadzeniu stanu wojennego redukuje jedynie do „akceptacji”.

Trudno się jednak nie zgodzić z Rakowskim, gdy pisze:

Rok 1981 kryje w sobie jeszcze sporo tajemnic. Powinny być odsłonięte przede wszystkim dlatego, aby najnowsza historia Polski pod wpływem napiętności politycznych nie uległa deformacji. („Jak to się stało”, str. 31)

Pewne tajemnice roku 1981 odsłania dalszy ciąg telegramu Neubauera. Ambasador cytuje wypowiedź Cioska:

część wpływowych doradców „solidarności” zrozumiała obecne położenie i zmianę sytuacji. boją się bardziej niż sądzimy i zaczynają ratować własną skórę. odbyłem właśnie osobliwą rozmowę z szefem sztabu ekspertów „soli-

darności” geremkiem (bliskie związki z międzynarodówką socjaldemokratyczną, osobiste kontakty z kreiskym i innymi). nie wierzyłem własnym uszom. geremek oświadczył, że dalsza pokojowa koegzystencja pomiędzy „solidarnością” w obecnej formie i realnym socjalizmem niemożliwa. konfrontacja siłowa nieunikniona.

wybory do rad narodowych muszą zostać przesunięte. organy władzy państwowej muszą zlikwidować aparat „solidarności”. po konfrontacji siłowej „solidarność” mogłaby powstać na nowo, ale jako rzeczywisty związek zawodowy, bez matki boskiej w klapie, bez programu gdańskiego, bez politycznego charakteru i bez ambicji sięgania po władzę. być może – kontynuował geremek – zostaną zachowane siły umiarkowane, takie jak wałęsa. po konfrontacji nowa władza państwowa mogłaby w oparciu o odmienną sytuację polityczną kontynuować określone procesy demokratyzacji.

nie potrafię ocenić, czy geremek mówił tylko we własnym imieniu i jak dalece reprezentatywne są jego poglądy. kuroń i modzelewski z pewnością nie podzielają jego postawy. czołowe umysły kuru były dobrymi analitykami i potrafiły rozpoznać i przyspieszyć załamanie błędnej polityki za gierka. byli również w stanie przewidzieć kolejne etapy naszej agonii, trudno ocenić, czy teraz nie wiedzą co dalej począć czy też potrafią dostosować się do nowej sytuacji. mądrzy realiści wśród doradców „solidarności” od początku widzieli tylko jedną niewielką realną szansę na objęcie władzy: <byłaby to> sytuacja, w której związek radziecki chciałby za wszelką cenę uniknąć interwencji i zadowoliłby się tym, że nowa władza w polsce gwarantuje mu realizację <jego> interesów wojskowych, gospodarczych i w polityce zagranicznej. po gdańskim zjeździe ci doradcy zdali sobie ostatecznie sprawę z beznadziejności swych projektów. ponadto stracili kontrolę nad aparatem „solidarności”. aparat „solidarności” składa się w 90 procentach z antykomunistycznych fanatyków i awanturników. dążą prostą drogą do władzy, bez przerwy organizują strajki, akcje protestacyjne, antyradzieckie i antykomunistyczne kampanie. najnowsze ataki na organizacje partyjne w zakładach pracy są ich dziełem wbrew oporowi realistycznie myślących doradców. aparat „solidarności” jest głupi i agresyw-

ny, w każdej chwili gotów do podpalania budynków partyjnych i do wieszania komunistów. do zwalczania tylko przy użyciu przemocy.

geremek oświadczył również, że posiada obietnice z zachodnich kół gospodarczych przekazania polsce do dyspozycji 5 miliardów dolarów. nie dał jednak do zrozumienia na jakie koła konkretnie się powołuje. nie sądzę, że zachód rzeczywiście gotów dać nam do dyspozycji 5 miliardów dolarów. zachód wie dobrze, że środki w tej wysokości postawią nas na nogi, skonsolidują rząd i umożliwią mu działania przeciwko kontrewolucji. w ten sposób mielibyśmy właśnie te środki, których potrzebujemy w momencie konfrontacji. także szantaż nie wchodzi w grę.

<nawet> za dwukrotnie większą sumę jaruzelski nigdy by się nie zobowiązał nie tknąć „solidarności”. jaruzelski nie reprezentuje orientacji prozachodniej i dobrze zna realia geopolityczne. zachód dotychczas nigdy nie składał takich propozycji. natomiast dawał tylko tyle, ile było potrzebne, aby utrzymać kryzys. z jednej strony rząd nie musiał oficjalnie ogłosić niewypłacalności, z drugiej strony nie mógł się ustabilizować ani nie był przez dłuższy czas odciążony.

W relacji tej zdumiewa nie tylko fakt, że to Geremek przedstawia Cioskowi scenariusz „stanu wojennego” i jego założenia strategiczne, do realizacji których przystąpiono niepełna dwa tygodnie później. Rozmówcy podobnie oceniali „aparatusz „Solidarności”” oraz dysponowali zastanawiająco zbieżnymi informacjami na temat działań planowanych po konfrontacji. Różnice dotyczyły źródeł pomocy dla władz PRL: Ciosek oczekiwał jej od „bratnich państw”, Geremek – od zachodnich kręgów gospodarczych. Minister wymienia w czasie spotkania z Neubauerem tę samą kwotę i – co ciekawe – również w dolarach, choć rozliczeń między państwami RWPG dokonywano w rublach.

Rozmowa Stanisława Cioska z Bronisławem Geremkiem dostarcza nowych elementów do wciąż niepełnego obrazu wydarzeń w 1981 roku. Pozwala zweryfikować część dotychczasowych opracowań czy relacji, choć skłania również do postawienia nowych pytań.

W pracy „Solidarność 1980-1981. Geneza i historia”

(Instytut Literacki 1984) Jerzy Holzer przypomina zarzuty manipulowania związkiem przez ekspertów, które w szczególności ostrej formie pojawiły się po prowokacji bydgoskiej w marcu 1981 r. (a ściślej po zawarciu „porozumienia warszawskiego”). Były wiceprzewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego Trójmiasta z sierpnia '80 Andrzej Kołodziej twierdzi w „Zaciskaniu pięści”:

Cały mechanizm sterowania Wałęsą przez doradców wyszedł na światło dzienne po prowokacji bydgoskiej w marcu 1981 r. Przewodniczący „Solidarności” był bezpośrednio kierowany przez Andrzeja Celińskiego i Bronisława Geremka. Celiński ustalał politykę związku a głównym jej architektem był Geremek, który konsultował te sprawy bezpośrednio z Rakowskim. (str. 61-62).

Dlaczego większość kierownictwa „Solidarności” i jej doradcy ignorowali – niekiedy wręcz ostentacyjnie – wszystkie informacje o przygotowaniach do stanu wojennego i o planowanych aresztowaniach? Dlaczego posiedzenie Komisji Krajowej przesunięto na 11-12 grudnia 1981 r., czyli postanowiono je zakończyć w sobotę, gdy większość zakładów pracy stoi pusta? Zgrupowano tym samym członków KK w Gdańsku, lekceważąc nadchodzące 11 grudnia wiadomości o zmierzającej tam kolumnie samochodów milicyjnych i o akcji „W” w wojsku. W ten sposób ułatwiono władzom zatrzymanie całego niemalże kierownictwa „Solidarności” (w związku z przesunięciem posiedzenia KK Holzer zwraca uwagę na pogłoski, według których wprowadzenie stanu wojennego planowano pierwotnie na 6 grudnia).

W książce „Gwiazda miałaś rację” były wiceprzewodniczący „Solidarności” utrzymuje, że frakcja związana z Wałęsą prowadziła zakulisowe rozmowy z rządem na temat polityki związku i na poparcie swych twierdzeń wymienia konkretne poszlaki. Czy rzeczywiście w czasie spotkania na plebanii kościoła św. Brygidy w nocy z 11 na 12 grudnia 1981 r. ustalono warunki wstrzymania stanu wojennego (oczyszczenie związku z „ekstremy”, zawieszenie prawa do strajku i wycofanie się z działalności politycznej)? Z zawartej w „Drodze nadziei” relacji ze spotkania Glemp – Jaruzelski

– Wałęsa 4 listopada 1981 r. wynika, że władze rzeczywiście domagały się usunięcia z „Solidarności” wszystkich działaczy kwalifikowanych jako „ekstrema”. Zawieszenie prawa do strajku miało być jednym z postanowień ustawy o nadzwyczajnych środkach działania, której projekt rząd przedstawił pod koniec października. W kontekście „scenariusza Geremka” zastanawiające jest następujące zdanie samego Wałęsy z „Drogi nadziei”, gdy wymienia on jedną z koncepcji, nad którą myślał na początku grudnia 1981 r.: „Po uderzeniu zbieram to, co zostało po łapance przeprowadzonej przez władze i pod moim przewodnictwem „Solidarność” kontynuuje swoją działalność” (str. 234).

Czy aby przed 13 grudnia 1981 r. część kierownictwa „Solidarności” nie prowadziła zakulisowo z władzami iście leninowskiej gry „kto kogo”? O „przechytrzeniu kogo kogo” mówił Wałęsa 3 grudnia w Radomiu. Gwiazda interpretuje jako „wykiwanie Wałęsy przez Jaruzelskiego” sam fakt wprowadzenia stanu wojennego, bowiem naruszyło to poufne ustalenia przyjęte w nocy z 11 na 12 grudnia. W momencie zamykania obrad Komisji Krajowej 12 grudnia wieczorem, na wiadomość o przerwaniu połączeń teleksowych i telefonicznych, Wałęsa oświadczył: „to psychologiczne” (Holzer, str. 348). Zakładając, że tajny scenariusz rzeczywiście istniał, można przyjąć, że „wykiwanie frakcji Wałęsy” polegało na odmiennej interpretacji pojęcia „ekstrema”; 13 grudnia 1981 władze zlikwidowały aparat „Solidarności”, tak jak to przedstawiali Ciosek i Geremek. A istniała wszak koncepcja, według której przewodniczący związku miał „wcale nie siedzieć” – jak podaje sam zainteresowany w „Drodze nadziei” (nb. akt internowania przedstawiono mu dopiero 26 stycznia 1982 r., gdy przebywał w Pałacu Bielińskich w Otwocku).

13 grudnia ksiądz Jankowski apelował do tłumu zebranego przed budynkiem Zarządu Regionu w Gdańsku, aby czekać na decyzję przewodniczącego „Solidarności”, który „jeszcze dzisiaj albo jutro rano będzie rozmawiał z przedstawicielami władz” („Droga nadziei”, str. 244). W willi w Chylicach, gdzie początkowo umieszczono Wałęsę, pojawił się najpierw Stanisław Ciosek a potem Mieczysław Rakowski, z którym jednak, w wyniku nieporozumienia, przewodniczący nie rozmawiał. Według relacji Wałęsy, która i w tym miejscu

pokrywa się ze „scenariuszem Geremka”, Ciosek w czasie pierwszych rozmów uzależnił sprawę samego istnienia „Solidarności” od wyeliminowania z niej „przeciwników politycznych”. Minister przekazywał towarzyszącej z NRD również relacje o tych rozmowach. Informacja Wydziału Stosunków Międzynarodowych KC SED z 24 grudnia 1981 r., przeznaczona dla Biura Politycznego, brzmi następująco (opublikowali ją M. Kubina i M. Wilke w pracy: „Hart und kompromisslos durchgreifen”. Die SED contra Polen 1980/81, Berlin 1995):

W sprawie przyszłej działalności związków zawodowych brak jeszcze koncepcji. Idea wykorzystania Wałęsy jest nierealna. Wałęsa to parszywy, prymitywny i zakłamywany charakter (towarzysz Ciosek, minister do spraw związków zawodowych). Bez swoich doradców jest całkowitym zerem. Po pierwszych rozmowach z przedstawicielami rządu oświadczył, że pochwała stan wyjątkowy i zgadza się, aby unieszkodliwić ekstremalne siły w „Solidarności”. Obiecał współpracować z rządem i stworzyć taki program, który całkowicie zgadza się z celami władz. Ale już w czasie 2. rozmowy zażądał spotkania ze swymi doradcami i z prezydium Komisji Krajowej „Solidarności”. Gdyby go zwolniono, złamałby natychmiast wszystkie obietnice. „Nawet tymczasowa taktyczna współpraca z tym durniem i łajdakiem jest niemożliwa”.

Tę relację można uzupełnić wspomnieniem samego Wałęsy:

Realna wydawała mi się wówczas sprawa udziału doradców Związku we wstępnych rozmowach z rządem. Początkowo stawiałem warunek, by w składzie byli ludzie reprezentujący w opinii członków „Solidarności” tę samą linię, którą reprezentowałem ja – tj. Bronisław Geremek i Tadeusz Mazowiecki. („Droga nadziei”, str. 252).

Zapytajmy raz jeszcze: „kto kogo?” Minęło parę lat, w czasie których padli zabici i ranni i można powiedzieć, że ostatecznie „Solidarność” przechytrzyła jednak partię. A może partia przechytrzyła się sama? W „Weltgeschichtliche Betrachtungen” Jakub Burckhardt przytacza zdanie, jakie

Saint-Just skierował do Barère'a: „Tu fais trop mousser nos victoires”.

Kulisy wydarzeń z grudnia 1981 r. i rola poszczególnych aktorów pozostają w dyskretnym półmroku. Więcej dowiedzieć się można na ten temat z obcych archiwów, niż z memuarów samych zainteresowanych. Scenarzystom i reżyserom stanu wojennego nie zależy, jak się zdaje, na ujawnieniu didaskaliów dramatu. Historia Polski ostatnich lat to w pewnym sensie kontynuacja polityki przy użyciu innych środków. Warto przypomnieć ostrzeżenie sformułowane przez Józefa Szujskiego: fałszywa historia rodzi fałszywą politykę.

VIII 1995

Tomasz MIANOWICZ

Z ukosa

Ukazało się ostatnio w prasie wiele tekstów, które polskie chorobliwe narzekania i poczucie krzywdy osadzają w kontekście historycznym, sadowiąc je o wieki wstecz. Gdy z kolei badania ankietowe zrobione pod koniec zeszłego roku ukazują współcześnie skalę problemu i jego geografę. Mówiąć krótko – jako naród nadal czujemy się SKRZYWDZENI. Ale o zgrozo, mało kto źródło krzywd widzi w historii – krzywdzą nas właśnie dzisiaj, w ramach wolności. A w tym dzisiaj kaleczy nas szczególnie to co ma związek z nowymi ONYMI. Oto aż 50% Polaków ma poczucie, że krzywdzi ich rząd. Bardzo wysoko wśród oprawców lokuje się Prezydent, potem idzie „nowy ład po 89 roku”, dalej „urzędy”; Solidarność, no proszę, skrzywdziła aż 28% populacji, czyli o wiele więcej niż Rosjanie, którzy skrzywdzili jedynie 18%, gdy Niemcy o jeden procent mniej. Na szczęście wśród tych oprawców Żydzi lokują się niemal na czubku ogona, bo tylko 6% czuje

się skrzywdzonymi przez Żydów, gdy najmniej, bo 4 procent jest skrzywdzonych przez rodziców. Ostatni sąd jest ciekawy, do czego jeszcze wróć. Specjalnie nie wymieniłem – bo to idzie na deser – kto lokuje się na miejscu drugim jako nasz współczesny czołowy oprawca – otóż są to ludzie bogacący się. Aż 46% Polaków uważa, że oni nas krzywdzą. Doprawdy to poruszające, bo owa opinia dotyczy kraju o szybkim dorobku, gdzie właśnie grupa bogacących się ciągnie wszystko do przodu. Ci bogaci postrzegani są jednak raczej jako pijawki a nie silniki odrzutowe. Panuje więc powszechne i głębokie przekonanie, niestety w dużej mierze zasadne, że mało kto zarobił u nas duże pieniądze uczciwie. A nawet jak uczciwie, to podatków nie płaci gdy my biedacy płacimy. Ale właściwie każdy sukces, nie tylko finansowy jest u nas podejrzany. Tu czkawką odbija się dawny czas, gdy kariera była związana z konformizmem. W ankiecie dominuje ból milionów ludzi, którzy mają poczucie, że przegrali swoje życie, że nowy czas zostawił ich na zapyziałym peronie w starym, brudnym ubraniu, ze zbyt ciężkimi bagażami, by wskoczyć do jadących wagonów.

Znamienne, że rodzice są po Żydach na samym końcu wielkiej drabiny krzywdzących, czyli najmniej krzywdy nam w życiu zrobili mama i tata. A przecież wszystkie wielkie odkrycia psychologii spotykają się dzisiaj w jednym punkcie, niezbyt wesołym. Ci co nas najbardziej krzywdzą, to właśnie nasi rodzice. Nawet gdy kochają, to zwykle nie tak jak trzeba i kaleczą. Bo sami byli kiedyś kaleczeni. To jest jak klątwa pokoleń. W krajach zdruzgotanych przez historię, ta klątwa ma wymiar wyjątkowy. Zarazem żaden mechanizm obronny nie jest tak mocny, jak ten, idealizujący mimo wszystko, własnych rodziców. Ciekawe, że tak wyraźnie to wyszło w badaniach, które dotyczyły czegoś innego.

Nawet mnie, pesymistę, zadziwia ciemne widzenie środowisk opiniotwórczych. Wtedy ja, oskarżany o biadolenie, smęcenie oraz malkontenctwo, nagle czuję się optymistą. Bo jak posłuchałem sobie tego biadolenia w różnych gronach intelektualnych, jak te grona widzą przyszłość Polski, to czuję dreszcze przerażenia, a potem sprzeciwu.

To prawda, rozgrywa się kabaret na scenie politycznej,

kwitnie korupcja, armia w stanie rozpadu, wyższe szkolnictwo i niższe ledwie dycha, naukowcy piszczą z biedy. I coraz większe uwielbienie dla lektora telewizyjnego, a lekceważenie dla ludzi myśli, gdy paradoksalnie nie maleje u nas pogarda dla ludzi sukcesu. Na dodatek młodzież zupełnie pogubiona a rodzice rwą włosy z głowy, co na świat wydali. Czyli następuje normalnienie – przyswajamy wszystkie choroby Zachodu w ramach kapitalizowania i komercjalizowania naszego śmietnika. Nie ma wątpliwości, że w Polsce wiele rzeczy się wlecze i paskudzi, ale jednak idziemy do przodu. W tym roku wskaźniki wzrostu gospodarczego są znowu niepokojąco dobre. Można nie wierzyć statystykom, lecz niezbitym faktem jest, że zaskakująco wielu Polaków kupiło w tym roku nowy samochód. A nieustannie słyszę, że zmierzamy do katastrofy, ekonomicznej i politycznej. Czyli, że Polska pełnie ale do przepaści. Mogę się założyć o kopniaka, choćby na brzegu innej przepaści, że to nieprawda.

Jest niejeden wielki problem – zgadzam się, są nawet znaki, że podczas tej drogi ku nowemu gnije nam dusza. Ale przecież ona gnije od co najmniej dwustu lat i nie dogniła, więc tyleż się psuje co i odradza. Na poboczu tej drogi coraz jest dostatniej i sensowniej. Czy to jest wyścig choroby duszy z cywilizującym się poboczem? Jeśli pobocze się ucywilizuje, to czy dusza ozdrowieje? Problem, że cała współczesna cywilizacja ma w sobie jakieś duchowe pokręcenie.

Co rok od ludzi biznesu zbieram pęczek największych problemów, wąskich gardeł naszego ekonomicznego rozwoju. I znowu w tym roku ten plon skarg jest niepokojąco podobny do tego co zbieram od lat pięciu: 1) Brak stabilizacji politycznej; 2) Brak wiarygodnych partnerów finansowych; 3) Prawo nie nadąża za zmianami; 4) Biurokracja. A tu nasi biznesmeni dodają – „z tym jakoś sobie można dać radę” i mrugają okiem... „szukanie szczelin, upór, łapówki”.

Nadal dramatycznie brakuje personelu średniego szczebla, a chyba najgorzej z księgowymi. I każdy szef już wie, że należy szukać do pracy ludzi tylko w przedziale 20-30 lat. Starsi są tak zainfekowani złymi nawykami, że zdają się niereformowalni. Następny problem z pracownikami i współpracownikami, ich nielojalność. Nadal dramat z telefonami, chociaż się poprawia. Połączenia międzynarodowe działają, gorzej w

kraju. Szef znanej mi firmy zlecił swoim pracownikom zbadać liczbę błędnych połączeń. Okazało się, że co czwarta rozmowa jest źle łączona. I co na to kolejne rządy, które nie telefonizowały Polski, gdy wiadomo, że można to zrobić stosunkowo szybko, jeśli tylko odejdzie się od pokrętnych koncepcji – robimy to własnymi rękami.

Biznesmeni podróżujący po Polsce potwierdzają wielki dystans między kilkoma dużymi ośrodkami a prowincją, która ma spore obszary prawie nie ruszone przez zmiany. A skala korupcji urzędów, nawet tych od kontroli korupcji, już nie budzi niepokoju, bo wszyscy się do tego przyzwyczaili.

Trudność diagnozy całościowej, bo wszystko w kawałkach, zdecentralizowane i w ruchu. A gdy chodzi o ramę psychologiczną, bo ona bardzo ważna? Poczucie krzywdy było na początku. To jest ta Polska depresyjna. Pisałem o tym kiedyś – Polska dzisiaj jest depresyjna ale też maniackalna. Czyli jest depresyjno-maniackalna, rozpięta między dwie skrajności. Depresyjnych, przegranych, biednych i sfrustrowanych jest o wiele więcej. Ale maniacy robiący skurczowo-rozkurczowo pieniądze mają wielką sumę energii. Jest ich o wiele mniej, ale nadrabiają swą mniejszość wielką krzątaniną.

Życie między maniacko-depresyjnymi biegunami nie jest lekko, bo tam są duże napięcia, straszne przeciagi oraz emocje.

Kiedy dreptałem po schodach pewnej ambasady – o czym wspominałem w poprzednim numerze *Kultury*, dreptałem obok księdza kanonika Henryka Jankowskiego gaworząc z nim o tym i owym, i do głowy mi nie przyszło, że za chwilę ksiądz tak narozrabia, że nie tylko palec wskazujący największego mocarstwa pogrozi księdzu, pogrozi też Prezydentowi RP i całej Polsce.

Zacznijmy jednak od przypisu do tego tematu, który mnie już mierzi i śmiertelnie nudzi, więc potraktujmy go jako *curiosum*, a nie dramat. Przypis został zrobiony na naszej wsi, dalekiej, ale nie na tyle zapadłej, by chłop nie jechał mechanicznym koniem. Zatrzymuje się przy płocie i wzdycha:

– Ach ciężko, pogody nie ma i źle się w Polsce dzieje.

– A czemu to? – pytam.

– Wszystko przez szlachtę i Żydów – rzecze chłop.

Co za radość, nareszcie jakiś chłop gada na szlachtę.

Chłopi nasi nigdy prawie nie używają nazwy „szlachta” – wygadują na miasto, a to dla nich synonim. Że wszystko przez szlachtę wiadomo, ja nawet się zgadzam, więc pytam o Żydów, czemu przez nich?

– Bo rządzą.

– Kto na ten przykład?

– Kuroń na ten przykład – mówi chłop.

– Skąd ta wiadomość?

– A mówił ksiądz.

– Z księżmi też nigdy nic nie wiadomo – mówię podchwytliwie.

Załapała się na rozmowę wiejska kobieta, której przez uprzejmość nie nazwiemy babą.

– A to prawda – rzeczy – przecie nasz ksiądz to pedał.

Oto mamy polski groch z kapustą, miało się dostać Żydom, a dostał na koniec sam ksiądz.

Ci, co polskie ludowe gadanie na Żydów zwą antysemityzmem, błędzą, bo jest to przede wszystkim umyślowe pomieszanie, niesłusznie łączone z pojęciem hitleryzmu i z komorami gazowymi. To tylko gaworzenie, żydki panie to, żydki tamto. Nie inaczej serdecznie na żydków wyrzeka Wałęsa, co wiem od dawnych jego przyjaciół, więc rzeczą naturalną było dla niego użycie tego motywu w poprzedniej prezydenckiej kampanii, o czym na amen zapomniał, nic więc dziwnego, że puścił wszystko mimo uszu w kościele św. Brygidy.

Gożej z księdzem Henrykiem Jankowskim, to już nie ludowe gaworzenie lecz atak psychozy. Ksiądz rozplótł swoje paranoiczne pajęczyny a Prezydent wpadł w nie jak mucha. Jak to się zaczęło? Nie tak znowu banalnie. Najpierw groby wielkanocne Jankowski udekorował swastyką, sierpem i młotem, a obok postawił SLD, Unię Wolności, Unię Pracy. A podczas kazania w obecności Prezydenta, który przypadkiem zaszczyca swoją obecnością to kazanie, ksiądz zagrział: „Polacy! Obudźcie się!” (Nie jest dzisiaj pewne czy Polacy na takie wołania obudzą się, ale jest pewne, że obecny w kościele Prezydent nie obudził się). A ksiądz kanonik nadal grzmiał: „Nie możemy więcej tolerować rządów ludzi, którzy nie powiedzieli tego, czy pochodzą z Moskwy czy z Izraela”. I wytłumaczył czemu obok swastyki i temu podobnych

symboli nie ustawił gwiazdy Dawida. „Tylko dlatego, że jest ona wpisana w symbole swastyki, sierpa i młota”.

Dziennikarzom ksiądz potem klarował, że „antysemityzmu nigdy nie było w jego sercu”. Rzecz tylko w tym, by każdy przyznał się do swojego pochodzenia. Czy nie podobnie podczas prezydenckiej kampanii mówił Wałęsa? Jeśli ksiądz rzeczywiście nie jest jak się zarzeka antysemitą, a tylko chce sprawiedliwych ujawnień, to naturalne, że ujawnić się muszą wszyscy co mają jakieś domieszki krwi niepolskiej, choćby ukraińskiej, francuskiej lub niemieckiej. Czy nie przypomina to jakiegoś sądu ostatecznego? Oto staje się Wielkie Ujawnienie. Cała Polska babrze się w swoich jakże pogmatwanych biografjach, bo historia przecież w słowiańskiej genetyce nieźle namieszała.

Co robi po wysłuchaniu tego kazania Wałęsa? Milczy a w następnych dniach nazywa księdza swym przyjacielem i go broni. Sugeruje nawet, że to właśnie nagonka na księdza prowokuje antysemityzm. A tu nagle jak grom z jasnego nieba wiadomość, że Clinton z naszym prezydentem za karę nie spotka się w USA. I spadają dalsze międzynarodowe gromy. Wtedy następuje całkowita zmiana frontu Wałęsy, no proszę jaki polityk! Potępia księdza, gromi antysemityzm. Jedzie do jaskini lwa, do USA a tam tłumaczy się gęsto wszystkim, nawet tym żydkom. Mówi, że jakby dokładnie słyszał w kościele, a źle było słychać, to by od razu wyszedł. No proszę, to już znamy. Wałęsa zapomniał co się działo między kazaniem księdza a wybuchem afery, zapomniał co wtedy mówił, całkowita amnezja.

A ksiądz kanonik wykazuje się niebywałym hartem ducha. Polska tłumaczy się za niego, że nie grasuje tu antysemityzm, a ksiądz Jankowski nadal swoje. On by dał się na pal wbić za sprawę razem ze swoim białym mercedesem. To tym białym mercedesem przybył kiedyś do ofiar zaważenia się domu w Gdańsku i ocalałym rozdawał święte obrazki.

Potępił księdza Wałęsa, USA, episkopat, Watykan, a ksiądz Jankowski wmieszany w błoto, wstaje otrzępuje sutannę i w wywiadzie prasowym mówi: „Nie możemy zapomnieć, że dojście do władzy Hitlera i jemu podobnych zbrodniarzy spod znaku swastyki było wyrafinowanym planem bankierów i finansistów, w dużej mierze pochodzenia żydowskiego.” A

wojnę, jak to nazwał, którą przeciw niemu wytoczono, porównał skromnie „do trzeciej wojny światowej”. I dodał w finale: „Nie mam sobie nic do zarzucenia, nie mam za co przepraszać”.

Jakie to straszne moce muszą działać, by ksiądz Jankowski mówił takie niesłychane głupstwa i nieustannie je powtarzał, chociaż z tego powodu była taka katastrofa. I jaka to siła każe Prezydentowi tak się uwikłać w pajęczyny kanonika, udawać publicznie, że nie pamięta jak publicznie bronił bredzenia księdza. Jakie to straszne moce? Czy zwykła bezmyślność może mieć taką moc?

Jeśli prawdą jest, że Polska składa się z antysemitów i filosemitów, to Wałęsa nie ma teraz innego wyboru jak wycofać się z prezydenckich wyborów – podpadł raz na zawsze i jednym i drugim. Filo nie uwierzy, że nie jest anty, anty zaś nie ma żadnych wątpliwości, że żydowscy bankierzy nałożyli prezydentowi obrożę na szyję, potrzásają smyczą a on tańczy jak mu każą. Jeśli po tym ludzie będą na niego głosować, to znak, że nawet polski brak konsekwencji jest niekonsekwentny.

I kiedy wydawało się, że tylko Prymas nie potępi księdza, nie potępi bo się z nim zgadza, to Prymas jednak potępia, tylko po czasie i dosyć specyficznie. Bo chociaż w telewizji nazwał to co mówił „niepotrzebnym chlapaniem”, to zaraz dodaje pytanie – czy to nie dziwne, że Żydzi na Zachodzie Polskę szkalują, książki brzydkie piszą o nas, a tu rozgłos tak wielki nadano tak małej sprawie? „Należy się nad tym zastanowić” – rzekł Prymas w telewizorze. I się serdecznie zadumał. A wraz z nim cały naród Polski się zadumał. Jak sobie ładnie można tę przestrzeń dumania wypełnić.

I oto w epilogu ksiądz Jankowski przez wszystkie kościelne i cywilne moce potępiony, zagrożony kanonicznymi karami, jednak się ukorzył. Aż mi się żal biedaka zrobiło. Do czego to, panie, przemoc może heroicznego człowieka doprowadzić.

Ksiądz Henryk Jankowski – nie tylko jako psychiatryczny przypadek, ale też jako jeden z okazów osobliwej fauny i flory, którą otaczał się Wałęsa. Pamiętam księdza w stoczni w sierpniu 80 roku, pamiętam z naszego ruchomego święta odzyskiwanej wolności – jaki smutek, że tamta pamięć jest

nadal pracowicie zakopywana i zatrutowana. I jak tu nie przypomnieć, że ksiądz tak długo był duchową podporą Lecha i jego spowiednikiem. Potem pokłócili się. Wałęsa go odtrącił, co jest żelazną regułą w sferze relacji Lecha z bliskimi już od roku 80, z czego należy wyłączyć tylko jego własną żonę i Wachowskiego.

Rodzi się tu refleksja – czy to nie ciekawy przykład jak małe niebywale rośnie, jeżeli jest tylko dostatecznie rozciągliwe w swojej głupocie, a ktoś nadmie usta i w to dmuchnie.

Ten temat nagle zakwitł jak pokraczny kwiat, odziany w sutannę, by podczas wakacyjnego upału szczęśliwie zwiędnąć. Opisuję go jako jedną z już ususzonych ozdób naszego gabinetu osobliwości.

Pewnego dnia musiałem płacić spore sumy, znacznie przekraczające moje możliwości i zdrowy rozsądek, oto część polityki naszego państwa, które gdzie tylko się da ściąga pieniądze od kogo może. Żeby dokonać tego zabiegu musiałem pobrać pieniądze w banku i wsunąć głowę w gilotynę dwóch kas. W banku tłum, czekanie, upał, nerwy, awantury. Komuna. Jakby uchodźcom rozdawali żywność, a nie obracali naszymi pieniędzmi.

Potem kasy. W jednej niewiasta w wieku emerytalnym. Wydawała mi się nie stać, a siedzieć nad grobem. Nie jest to pozycja, która nastraja pozytywnie do ludzi, więc oberwało mi się tęgo.

Kasa następna, tam niewiasta młodsza. Mój poprzednik płacił jakąś potężną sumę, co doprowadziło ją do łez, że tyle liczenia tuż przed zamknięciem interesu. Nie dawała sobie rady z tym liczeniem. Kiedy skończyła, spojrzała, i o zgrozo ujrzała mój pysk pełen najgorszych przeczuć. I słusznie miał złe przecucia. Na ten widok kobieta w krzyk, że już po czasie i kasę zamyka. Gdyby nie wąski otwór, to bym się do niej udał, by zadusić. Musiała ujrzyć mord w mych oczach, bo jednak wzięła pieniądze jak zdechłego szczura za ogon. Powiedziała, że jestem cham, a ona ma dosyć życia i tej pracy. Chce umrzeć.

Cudem ocalony i załatwiony idę z dowodem wpłaty do pokoju urzędniczego, by sprawę sfinalizować. Tam trochę młodzieży co mnie napawa lekką otuchą. Wszyscy wsuwają

kanapki. Gdziekolwiek się wejdzie u nas do urzędowego pokoju urzędnicy zrażają się, najwyraźniej pocieszają się.

Oto Polska postkomunistyczna, oto zakrzępte ludzkie nieszczęście na każdym kroku, arogancja i niekompetencja demonstrowane przez urzędników, widoczne w miejscach pracy publicznej. Co państwowe tkwi w przeszłości, co nowe i prywatne próbuje zerwać z dawnymi nawykami. To był przykład negatywny, depresyjny. A teraz powalczę o własny optymizm.

Jadę przez Polskę w kierunku północno-wschodnim. Dawno już nie jechałem samochodem przez Polskę tak niespiesznie i ciekawie. To jest jeden z bardziej zaniedbanych regionów, trzeba o tym pamiętać. Małe miasteczka zmieniły się najmniej. O wiele lepiej wyglądają miasteczka średniej wielkości, gdzie rynek staje się prawdziwym centrum handlowym, a nowe sklepy tracą swoją prowincjonalną, słowiańską gębę. Wszędzie jednak rzuca się w oczy jak wiele nowych domów powstaje. Na pierwszy rzut oka poznaje się, że dom wzniesiono po upadku komunizmu. Nie jest to już dawna architektura bunkrowa. Na trasie kilkuset kilometrów nie widziałem ani jednego nowego domu, który można by wskazać ręką i rzec – oto ciekawa architektura. Ale bardzo wiele z tych nowych obiektów jest na przyzwoitym poziomie, wszystkie mają dachy, zamiast płaskiej dechy jak kiedyś. I zawsze jest jakaś próba komplikacji. Najbogatsi zamawiają sobie projekt będący mniej lub bardziej udaną karykaturą dworku lub średniowiecznego zamku. Ale nawet najbiedniejsze projekty mają jakiś łuczek, zwykle nad wejściowymi drzwiami. Po czasach wymiotnej geometrii obowiązują zakrzywienia. A po tym co było, po mdłym uproszczeniu, niemal każda komplikacja wydaje się lepsza. Wiele z tych domów już nie szpeci krajobrazu, to wielka i radosna nowość. Gdy skala tego budowania świadczy, że kraj ma się całkiem dobrze.

Koń i wóz na drodze jeszcze się zdarzy, ale rzadko. Wśród samochodów na szosach widać zaskakująco wiele dobrych i drogich wozów, znak, że nie tylko istnieje grupa ludzi zamożnych, ale że w tym kraju samochód jest symbolem prestiżu i dowartościowania się. Co trzeba docenić, bo właściciele tych luksusów trzęsą się nieustannie ze strachu, że padną ofiarą kradzieży, co ma już wymiar plagi.

Nawet w tym niewielkim mieście, od kilku lat zmienił się model społecznych kontaktów. Ludzie mają o wiele mniej czasu, każdy krząta się wokół interesów. Życie towarzyskie bardzo schudło. Nadal jednak pije się tego, statystyki mówią, że nawet więcej niż poprzednio. A jednak powstały w miasteczku puby, które wbrew obawom nie zmieniły się w mordownie.

Nowa klasa średnia to z reguły ludzie, którzy dorobili się na przemyśle, ale szybko zacierają ślady brzydkiej przeszłości, uczą się form, a swoje dzieci wysyłają do najlepszych szkół. Mówi się powszechnie, że nawet szef miejscowej policji powiązany jest z przemytem samochodów przez granicę na wschód, co przyjmowane jest z pewnym zrozumieniem. Właściciele handlowych placówek płacą haracz mafii, co też nikogo nie dziwi. Istnieje jednak wolna prasa, ona wpada czasami na jakąś aferę i bezlitośnie ujawnia. Nie da się więc już wszystkiego jawnie robić, jak było za komunizmu, gdy mafia komunistyczna była zupełnie bezkarna, a jej działania miarkowały tylko wewnętrzne reguły gry. Łapówki? Jak dawniej wszędzie daje się w łapę, a lekarze nawet biorą więcej niż kiedyś, za to stawki się uwybraźniły. Tak oto służba zdrowia sama się sprywatyzowała i niechętnie patrzy na plany prawdziwej prywatyzacji.

Trudno znaleźć w mieście rodzinę, z której ktoś by nie był za zachodnią granicą. Jest sporo rodzin, które mają kogoś tam już na stałe. Ci przyjeżdżają na wakacje ze swoimi dziećmi, pomstują na szczerbaty chodnik na głównej ulicy, na którym każdy wózek dostaje febry. Część fasad domów zmieniła się, ale zwykle do wysokości sklepowej witryny. Przez bramy prześwituje wiocha. Niektóre sklepy są już jednak z tego lepszego świata. Od razu można wyczuć, czy sklep prze do przodu i czy jest prawdziwy właściciel, który zabiega o klienta. Tablica upamiętniająca dom gdzie powstała komórka Komunistycznej Partii ma w środku przerazającą dziurę. Nikt tablicy jednak nie zdjął. Czy dlatego, że z tą dziurą wygląda bardziej dramatycznie?

Ludzie polityką już się w ogóle nie interesują. Na Kościół narzekają, że pazerny. Ksiądz, który podobno wygrał w pokera dom od dentysty, został już dosyć dawno przeniesiony, a ta kiedyś sensacyjna sprawa nie budzi emocji.

W sumie jednak do przodu, wyraźnie do przodu. Nie było tego widać jeszcze trzy lata temu, to ostatnie dwa lata posunęły miasto do przodu.

Na warszawskim Starym Mieście skrawek nocnego życia. Dziesiątki kawiarni na wolnym powietrzu, dużo muzyki, czysto, dostatnio, relaksowo. Kiedyś tak wyobrażaliśmy sobie wolność.

Spacerując przystaję przy komendzie policji. Tu wczoraj, czyli 10 lat temu zamordowano Grzesia Przemyka. Byłem blisko z jego matką, umarła szybko po jego śmierci. Toczy się czy już się stoczył w nic proces morderców Grzegorza, jeden z tych beznadziejnych procesów, jakby dawni oprawcy grali przeszłości i sprawiedliwości na nosie.

Obok przytulny placyk, Kanonia, za plecami Katedry. Spoglądam w okno gdzie mieszkał pisarz Adolf Rudnicki, czy to nie wczoraj stałem, jak teraz stoję. Rzuciłem kulkę papieru przez to otwarte okno – spadła mu na kolana gdy siedział przy kuchennym stole. Wychylił się bardzo zaniepokojony. Zaprosił mnie do mieszkania. Był chyba rok 83, miałem mały interes. Chyba „Wydawnictwo Literackie” bało się drukować jego eseistyczną książkę „Sto lat temu umarł Dostojewski”. Zaproponowałem by opublikował ją w podziemnym „Przedświcie”, gwarantowałem dyskrecję i nadruk na książce „bez wiedzy i zgody autora”. Kusiło go to, ale miał obawy, czasy są trudne. Powiedział – „musisz maszynopis jakoś sam zdobyć”. „W Krakowie” – szepnął. Powiedziałem, że już próbowaliśmy, ale nic z tego. Zaproponowałem by pożyczył mi tekst, choćby na kilka godzin. Zastanowił się, ale pokręcił przecząco głową. Po czym sam zaproponował szeptem swoje rozwiązanie tego problemu. Tekst jest gdzieś w domu, przy pewnym wysiłku można go znaleźć, ale on nie chce o niczym wiedzieć, a teraz idzie na chwilę do toalety. Poszedł.

Przetrzepałem to starokawalerskie mieszkanie w wielkim pośpiechu, jak dywan pełen kurzu, że o mało co się nie udusiłem.

Wrócił z toalety.

– I co? – spytał z nadzieją w głosie.

– Niestety, nie znalazłem.

– To wielka szkoda – powiedział szczerze zmartwiony i rozłożył ręce.

Nie ma już Rudnickiego, śmieszne wydają się dawne lęki. Idę dalej i przypominam sobie historię powstania i walki o każdą kamienicę. U stóp tych wzniesionych z ruin domów trwa teraz całonocne żłopanie piwa, gdzie odgłosy żłopania niemieckich turystów przenikają się harmonijnie z polskimi.

Gdy czułem się uwikłany w jakieś swoje dramaty osobiste, spotkałem w parkowej alei tak dobrze mi znanego i miłego sercu pisarza. Wyglądał jakby miał zaraz umrzeć. Laska wyglądała żywiej od niego. Patrzył na mnie nie poznającymi oczyma, dopiero gdy zacząłem się mu przypominać, jedno oko zapaliło mu się błyskiem poznania. Powiedział ze złością – „kończę się”. Nie potrafiłem zaprzeczyć. Odszedłem przygarbiony.

Zaraz potem wpadła na mnie jakaś niemłoda, brzydka niewiasta. „Nie poznajesz mnie?” – zapytała. „No tak, zmieniliśmy się przez te lata” – powiedziała, jakby to nie było naturalne. Była zawstydzona sobą, a ja bez lustra nie wstydzilem się siebie. Toż to D! Taka ładna była z niej dziewczyna, ile to lat, zaledwie stan wojenny. Jako, że nie widziałem jej od tamtego czasu, wydało mi się, że widzieliśmy się ostatni raz wczoraj. Próbuję odnaleźć choćby jeden promyk światła, które było w niej wtedy – nie ma nic. Nawet w oczach, gdzie potrafi najwięcej ocaleć.

Odchodzę zupełnie zdruzgotany. I nagle czuję jak moje osobiste nieszczęścia karleją przy tym dramacie, który nieustannie organizuje dla wszystkich czas.

Tyłu bliskich mi ludzi z Polski wyjechało, to zaczęło się w roku 68, potem było wyciekanie, i znowu wybuch tyłu nieobecności w latach 80-tych. Przyjeżdżają do Polski coraz częściej, nie wiadomo nigdy do końca na ile i jak zmienieni przez czas, na ile przez bytowanie na innej planecie.

Przyjeżdżają też ich dzieci, często z polskim językiem przysypanym górą języka innego świata. Mówią po polsku z trudem, potykając się z wdziękiem właściwym młodości o zbyt trudne słowa i formy gramatyczne.

Syn mojej wielkiej przyjaciółki z młodości nosi moje

imię, z czego proponuję nie wyciągać za daleko idących wniosków. Ma lat 12, jest w Polsce po raz pierwszy. Napisał do matki faks, takie czasy, dzieci wysyłają do matek faksy zamiast listów. Czy gdyby Słowacki wysyłał faksy do matki, mogłaby w tej korespondencji zrodzić się tak subtelna tkan-ka uczuć. W tym faksie jest trochę o uczuciach, a potem po długim oddechu słowa, które tłumaczę z angielskiego, bo list jest w tym języku: „Muszę teraz powiedzieć Ci coś bardzo ważnego, co może Cię zaszokować. NIENAWIDZĘ POLSKI !!!!! Oto 30 powodów dlaczego”.

I rzeczywiście jest 30 punktów, a na końcu sugestia, że mogłoby ich być o wiele więcej. Niektóre są zasadnicze i ogólne, inne niezwykle szczegółowe, tu można powiedzieć, że główniarz się czepia swojej dawnej ojczyzny, bo niby czemu w Polsce ma być jakiś typ sandwicza, w którym jego nowa ojczyzna się specjalizuje. Przytoczę kilka punktów zasadniczych: „1. Autobusy i samochody na ulicach śmierdzą. 2. Ludzie wpadają na ciebie i nie mówią przepraszam. Ludzie są ponurzy”.

Następne punkty cytuję bez kolejności: „Jest brudno. Zatrucie środowiska. Zapach papierosów jest wszędzie. Chodniki nie są równe”.

Z zabawnych powodów „nienawiści” wyliczyć można: „nie ma baseball”, „nie ma hostess, potato chips” ...i tak dalej...

Jakże podobna jest geografia złych wobec Polski uczuć u dzieci wielu moich znajomych emigrantów. To na szczęście dosyć szybko się zmienia, bo gdy dorastają, odkrywają w Polsce pewne nowe niezwykle smaki. I wracają tu czasami nawet na studia.

Takie widzenie dziecka, obok naiwności, ujawnia jednak przepaść, nadal przepaść, która nas oddziela od zachodniego świata. I jest w tym coś bezgranicznie smutnego, nawet dla mnie, nieustannie narzekającego na nasze słabości. To wyko-rzenianie się roślin tu zrodzonych, utrata przez Polskę w ciągu kilkunastu lat milionów ludzi, wśród których tyłu jest wybitnie utalentowanych.

SMECZ

Szkoła Nauk Społecznych w Warszawie

Szkoła Nauk Społecznych powstała w 1992 roku, a więc zaledwie trzy lata temu.

Przed rokiem 1989 w Polsce, tak jak i w innych krajach Europy Środkowej nauki społeczne i humanistyczne poddawane były różnym ideologicznym presjom, zaś ich przedstawiciele – politycznym represjom. Choć zapewne sytuacja w Polsce była lepsza, niż w krajach sąsiednich, to i tu zdarzało się odchodzenie w nauczaniu od kryteriów akademickich, zaś oficjalnie prowadzone badania rzadko obejmowały dotkliwe problemy życia kulturalnego i społecznego, a jeszcze rzadziej kwestie ogólnej natury. Dokuczliwą dolegliwością był brak swobody w budowaniu kontaktów międzynarodowych, swobodnego włączania badań i nauczania w ramy nauki światowej.

Po roku 1989 uczelnie i instytucje badawcze uzyskały pełnię swobód akademickich, jednakże pojawiły się nowe zagrożenia dla środowisk akademickich. W najpoważniejszej części wynikały one z mizerii finansowej instytucji nauki. Wśród pracowników szkół wyższych pogłębiała się luka pokoleniowa. Nawet najzdolniejsi absolwenci studiów humanistycznych nie podejmowali pracy na uczelni i nie chcieli, bądź nie mogli, robić kariery akademickiej. Zła sytuacja materialna uczelni i wyjątkowo nędzne płace ich pracowników powodowały, że młodzi ludzie szukali zatrudnienia poza uniwersytetami i nie wkraczali na drogę uzyskiwania dyplomów doktorskich. Temu odpływowi uzdolnionej młodzieży od karier akademickich towarzyszyło inne niedobre zjawisko. Wielu wybitnych polskich uczonych zatrudnionych w instytutach PAN nie prowadziło, wbrew swym chęciom i kwalifikacjom, działalności dydaktycznej.

Powstająca Szkoła miała zapobiec wszystkim powyżej opisanym zjawiskom. Miała budować współpracę międzynarodową z ośrodkami akademickimi w świecie, w tym także z ośrodkami w krajach ościennych. Miała także zapewnić uzdolnionej młodzieży możliwość pracy nad doktoratami pod kierunkiem najwybitniejszych uczonych, których potencjał

dydaktyczny nie był dotąd wykorzystywany (aczkolwiek nie tylko u nich). Nic dziwnego więc, że pomysł powołania Szkoły powstał wśród pracowników Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk i został podjęty przez grupę wybitnych filozofów, socjologów, prawników, ekonomistów i historyków.

Wiosną 1992 roku podjęto starania o powołanie 4-letnich, interdyscyplinarnych, stacjonarnych studiów doktorskich w dziedzinie nauk o społeczeństwie i kulturze w postaci osobnej szkoły afiliowanej przy IFiS PAN. Jej celem miało być kształtowanie w duchu liberalnym i demokratycznym młodej elity intelektualnej, przygotowanej zarówno do podjęcia pracy w szkolnictwie wyższym, jak i w służbach publicznych, zwłaszcza bezpośrednio służących integracji europejskiej.

Pierwszą i podstawową sprawą było zdobycie funduszy. Na środki z budżetu państwa nie można było liczyć. (Do dziś zresztą, pomimo niewątpliwych osiągnięć Szkoły resort edukacji nie dał jej ani złotówki, ani też nie wsparł jej w jakikolwiek inny sposób, co budzi zdumienie sponsorów zagranicznych i często utrudnia z nimi negocjacje.) Podejmujący inicjatywę uczeni liczyli jednak na pomoc merytoryczną i materialną instytucji zagranicznych skłonnych przyczynić się do rozwijania współpracy naukowej Zachodu z państwami Europy Środkowej – i pomoc taką uzyskali. Pierwsze wsparcie, bez którego Szkoła nie mogłaby ruszyć, uzyskano od Fundacji Pana George'a Sorosa. Budżet pierwszego roku działalności Szkoły był oparty niemal wyłącznie o jego dotację. Obecnie, w końcu trzeciego roku działalności Szkoły, wśród sponsorów znajdują się takie organizacje jak Fundacja Forda, Fundacja Kruppa i Deutsche Nationale Stiftung, Fundacja Korbera, Rząd Republiki Francji i Rząd Saksonii, Fundacja Boscha. Fundacja Sorosa gwarantuje Szkole tzw. *matching fund*, czyli podwojenie środków uzyskanych z innych źródeł.

W czerwcu 1992 decyzją Dyrektora Instytutu Filozofii i Socjologii Prof. Andrzeja Rycharda Szkoła Nauk Społecznych została powołana do życia. Jej pierwszym Kierownikiem mianowany został Profesor Stefan Amsterdamski. Szkoła została usytuowana przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, co było niezwykle korzystne ze względów organizacyjnych. Instytut udostępnił Szkole swe archiwa, bibliotekę, zaplecze badawcze, sale wykładowe i seminaryjne, lokal biurowy oraz służby finansowe. Powstała więc struktura nowa, ale oparta o

już istniejące zaplecze badawcze – powołanie nowej placówki całkowicie „od zera” byłoby zbyt trudne i kosztowne. Ponadto Instytut ma prawo prowadzenia studiów doktoranckich i przewodów doktorskich. Usytuowanie szkoły w jego ramach pozwoliło na uniknięcie długotrwałego i żmudnego procesu legalizacji takich studiów.

Decyzja Pana George'a Sorosa o udzieleniu Szkole dotacji finansowej zapadła w maju 1992 roku. We wrześniu tegoż roku przeprowadzono akcję rekrutacyjną i 5 listopada odbyła się pierwsza inauguracja roku akademickiego. Wszystkie prace przygotowawcze do uruchomienia studiów – począwszy od spisania ich regulaminu, a skończywszy na zakupie niezbędnych sprzętów wykonano w czasie letnich wakacji tego roku siłami zaledwie kilku osób. Trzeba zresztą przyznać, że inicjatorzy dzieła napotykali w swym otoczeniu, a zwłaszcza wśród przyszłych wykładowców Szkoły, przychylność, aby nie powiedzieć entuzjazm, co bardzo ułatwiło wszelkie prace.

Organizatorzy pierwszej akcji rekrutacyjnej spodziewali się umiarkowanego zainteresowania studiami i przyjęcia 20-30 osób na pierwszy rok studiów. Tymczasem napłynęło ponad 200 zgłoszeń i po rozmowach kwalifikacyjnych zdecydowano się na przyjęcie 68 osób – wszystkie one prezentowały wyborne przygotowanie do prowadzenia badań i dobrze rokowały co do napisania prac doktorskich. Takie zainteresowanie studiami i taki poziom kandydatów były prawdziwą niespodzianką dla kierownictwa Szkoły i potwierdziły uprzednie przewidywania, że Szkoła istotnie zaspokaja ważną potrzebę społeczną. Rekrutacje w latach następnych, zainteresowanie słuchaczy zagranicznych studiami w Szkole tylko potwierdziły to przekonanie.

Szkoła działa przy IFiS, jest jednak instytucją programowo i finansowo samodzielną. Ma odrębne Kierownictwo i odrębną Radę Naukową. Zadaniem Rady jest przede wszystkim czuwanie nad kształtem programu studiów, badań naukowych oraz opiniowanie i rozstrzyganie problemów dydaktycznych pojawiających się w Szkole¹. Szkoła prowadzi wyłącznie studia doktorskie. Wszystkie zajęcia mają charakter

1. W chwili obecnej w skład Rady Naukowej wchodzi 17 profesorów. Oto ich nazwiska: Stefan Amsterdamski, Leszek Balcerowicz, Henryk Domański, Bronisław Geremek, Michał Głowiński, Jerzy Holzer, Aldona Jawłowska, Jerzy Jedlicki, Marcin Król, Marcin Kula, Mirosława Marody, Edmund Mokrzycki, Janusz Reykowski, Andrzej Rychard, Barbara Skarga, Jerzy Szacki, Włodzimierz Wesolowski.

monograficzny i są ściśle związane z przedmiotem badań prowadzonych przez profesorów. Znaczna część zajęć prowadzona jest w językach obcych – przede wszystkim w języku angielskim. Program szkoły nastawiony jest głównie, ale nie wyłącznie, na współczesne problemy społeczne, polityczne i kulturowe społeczeństw przechodzących proces transformacji. W ciągu ubiegłych lat program Szkoły uległ rozszerzeniu i rozbudowie, co jest rzeczą naturalną i pożądaną wobec wzrostu liczby słuchaczy i profesorów, ewolucji ich zainteresowań oraz starań o zachowanie interdyscyplinarnego charakteru studiów w Szkole. W pierwszym roku działalności Szkoły program obejmował 30 seminariów i wykładów, w drugim roku – 45, zaś w ostatnim roku akademickim już 58. Na rok 1995/96 przewiduje się uruchomienie 69 kursów zgrupowanych w następujące bloki tematyczne: „Nauki i ideologia społeczne i polityczne”, „Ogólna i szczegółowa metodologia”, „Gospodarka, rynek”, „Państwo, prawo, polityka”, „Zmiana społeczna”, „Konflikty społeczne”, „Socjologia historyczna i historia społeczna”, „Psychologia społeczna”, „Problemy kultury współczesnej”, „Filozofia współczesna”, „Gender Studies”, „Integracyjne i dezintegracyjne tendencje w Europie”. Słuchacze swobodnie wybierają zajęcia, w których chcą uczestniczyć w ciągu roku, są jednakże zobowiązani do uzyskania odpowiedniej liczby punktów wynikających z ich zaliczenia w każdym semestrze.

Szkoła szczególnie ceni sobie międzynarodową współpracę, której nawiązaniu poświęcono wiele energii od samego początku. Wśród instytucji szczególnie blisko i owocnie współpracujących wymienić trzeba: New School for Social Research w Nowym Jorku, Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales w Paryżu, Freie Universität w Berlinie oraz filie Central European University w Pradze i Budapeszcie. Współpraca ta to przede wszystkim prowadzenie wspólnych seminariów, bądź całych cykli kształcenia, prowadzenie wspólnymi siłami rekrutacji słuchaczy zagranicznych na studia w Szkole, organizowanie szkół letnich, a także przyjmowanie słuchaczy Szkoły przez placówki zagraniczne na roczne staże i inne formy wymiany studentów. Przykładem szczególnie owocnej współpracy jest polsko-francuskie *atelier* prowadzone w języku francuskim od 1993 roku we współpracy z Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales w Paryżu. Kolejne lata *atelier* poświęcone były m.in. takim zagadnieniom, jak relacje pomiędzy polityką a religią, praca badawcza w naukach

społecznych i humanistyce. Wśród wykładowców pojawili się tak wybitni uczeni, jak Prof. J. Le Goff, M. Gauchet, R. von Thadden, M. Ferro, J.-C. Schmitt, B. Geremek, K. Pomian, K. Modzelewski, P. Skubiszewski i wielu innych. W spotkaniach *atelier* brali udział nie tylko słuchacze SNS, ale studenci innych uczelni polskich.

Wykładowcy Szkoły są z pewnością jej najważniejszym atutem. Są wśród nich uczeni o światowej sławie, często łączący zainteresowania naukowe z działalnością publiczną. W chwili obecnej w Szkole wykłada około 70 profesorów, wśród nich Leszek Balcerowicz, Andrzej Drawicz, Michał Głowiński, Daniel Grinberg, Jerzy Holzer, Maria Janion, Jerzy Jedlicki, Krystyna Kerstenowa, Marcin Król, Marcin Kula, Ewa Łętowska, Mirosława Marody, Karol Modzelewski, Janusz Reykowski, Barbara Skarga, Jerzy Szacki, Włodzimierz Wesołowski. Wykładowcy Szkoły to profesorowie instytutów Polskiej Akademii Nauk, Uniwersytetu Warszawskiego, Jagiellońskiego, Szkoły Głównej Handlowej, a także wielu renomowanych uczelni zagranicznych z Europy i Stanów Zjednoczonych. W ciągu trzech lat swej działalności Szkoła gościła ok. 50 zagranicznych wykładowców. Profesorowie zatrudniani są na rocznych kontraktach. Głównym kryterium powoływania zajęć dydaktycznych jest możliwość pozyskiwania wykładowców najwyższej cenionych, najwybitniejszych specjalistów w danej dziedzinie wiedzy. W przypadkach, gdy nie jest to możliwe, uruchomienie zajęć odkłada się na termin późniejszy.

Studentem Szkoły może zostać każdy absolwent uczelni polskiej lub zagranicznej posiadający stopień magistra. Kandydaci do szkoły poddani zostają jednakże wnikliwej ocenie i ostrej selekcji w trakcie rozmowy kwalifikacyjnej. Przedstawiają wówczas swoje zainteresowania i plany badawcze oraz przygotowanie do ich realizacji. Komisja oceniająca nie zakłada żadnych limitów przyjęć. Promowani są wszyscy kandydaci, którzy wykazują się odpowiednim przygotowaniem, i tylko tacy.

Od początku istnienia Szkoły jej kierownictwo i Rada Naukowa zabiegały o włączenie do grona słuchaczy Szkoły obcokrajowców, zwłaszcza zaś słuchaczy pochodzących z krajów sąsiadujących z Polską. Informacje o programie i warunkach rekrutacji rozsyłane są do około 300 ośrodków w Europie Wschodniej i Zachodniej oraz Ameryce. Część rozmów kwalifikacyjnych odbywa się w Pradze, Budapeszcie,

Moskwie, Kijowie i Lwowie. W wyniku tej działalności w drugim roku akademickim pojawili się w Szkole studenci zagraniczni. Pochodzą oni przede wszystkim z krajów byłego obozu komunistycznego. W nadchodzącym roku akademickim w Szkole studiować będzie łącznie 60 studentów zagranicznych z Rosji, Ukrainy, Białorusi, Armenii, Bułgarii, Litwy, krajów byłej Jugosławii, Czech i Słowacji, Rumunii, Mołdawii a także Francji, Hiszpanii, Wlk. Brytanii, Korei, USA, Izraela, Finlandii i Etiopii. Studenci zagraniczni stanowią około 40% słuchaczy Szkoły. Na ich życzenie kursy prowadzone są w języku angielskim. Mogą oni także uczestniczyć w kursie języka polskiego.

Nauka w Szkole jest bezpłatna. Najlepsi słuchacze polscy oraz wszyscy słuchacze pochodzący z krajów Europy Środkowej i Wschodniej otrzymują stypendia. Tylko słuchacze z krajów Zachodu muszą wносить opłaty za studia.

Czy po trzech latach działalności Szkoły można orzec, że spełniła ona formułowane w 1992 roku oczekiwania, czy w istocie jest placówką – w najlepszym sensie tego słowa – elitarną, stwarzającą młodym absolwentom polskich uczelni unikalną szansę zdobycia interdyscyplinarnej edukacji na poziomie doktorskim? Na pełną ocenę naszego przedsięwzięcia jest z pewnością zbyt wcześnie. Wiarygodnej odpowiedzi na to pytanie udzielić będzie można za kilka lat, gdy obronione zostaną prace doktorskie kilku roczników słuchaczy, gdy będzie można ocenić wyniki badań, na których zostały oparte oraz prześledzić kariery naszych absolwentów. Dziś miarą sukcesu Szkoły są przede wszystkim opinie słuchaczy, napływ kandydatów na studia z kraju i zagranicy, ranga polskich i zagranicznych współpracowników oraz to, że kolejni sponsorzy decydują się na zainwestowanie pieniędzy w działalność Szkoły. To wszystko z pewnością pokazuje, że inicjatywa powołania Szkoły wyszła naprzeciw społecznemu zapotrzebowaniu, a jeśli uznać wypowiedzane opinie za wiarygodne – misja Szkoły jest realizowana na bardzo wysokim poziomie.

Szczególne wyróżnienie spotkało Szkołę w początku bieżącego roku. Decyzją międzynarodowego jury pod przewodnictwem Lorda Dahrendorffa Szkole przyznano ufundowaną przez Fundację Korbera nagrodę im. Hanny Arendt.

Nagroda ta przyznawana jest instytucjom edukacyjnym w uznaniu ich szczególnych zasług dla przemian w kształceniu wyższym w krajach Europy Wschodniej i Centralnej. O nagrodę tę ubiegało się 50 nowych bądź zreformowanych szkół z tych krajów. Spośród nich międzynarodowy zespół ekspertów uznał zasługi Szkoły Nauk Społecznych za szczególnie godne wyróżnienia. Mówiąc nieco żartobliwie – sądzimy, że jednym z powodów uzyskania nagrody był zauważalny kontrast pomiędzy jakością programu i wysoką rangą nauczających profesorów, a dosyć spartańskimi warunkami w jakich odbywają się zajęcia. W naszej Szkole treści kształcenia zawsze przeważały nad jego formami.

dr Ewa CHMIELECKA

Dar rodziny Bnińskich

Dnia 6 czerwca 1995 roku, w Poznaniu w gabinecie Rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza prof. dr. Jerzego Fedorowskiego, nastąpiło uroczyste podpisanie dwóch aktów notarialnych. W pierwszym, podpisanym przez Dyrektora Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa Franciszka Przybyłowicza i Rektora Uniwersytetu, stwierdzono, że Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa nieodpłatnie przekazuje Uniwersytetowi im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zespół pałacowo-parkowy Gułtowy o łącznej powierzchni niemal siedemnastu hektarów o nominalnej wartości miliona złotych (pałac, dwie oficyny i park krajobrazowy). Pałac i park znajdują się w rejestrze zabytków województwa poznańskiego. Zespół położony jest dwadzieścia km na wschód od Poznania, przy linii kolejowej Poznań-Warszawa.

Drugi akt notarialny podpisany w imieniu Marii Bnińskiej (zmarłej 26 czerwca 1995 w Deerfield Beach na Florydzie) i własnym przez Wacława Bnińskiego i Rektora Uniwersytetu prof. dr. Jerzego Fedorowskiego stwierdza, że przejęcie

zespołu pałacowo-parkowego Gułtowy przez Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu od Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa następuje zgodnie z intencją i życzeniem Marii Bnińskiej oraz że w razie odzyskania przez spadkobiercę gruntów należących do posiadłości Gułtowy, o łącznej powierzchni ponad 900 ha, część lub całość tych gruntów zostanie przekazana Uniwersytetowi im. Adama Mickiewicza.

Przyjmując dar, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zobowiązuje się do: 1) wykorzystania gruntu na cele statutowe i niewykonywania zmian przeznaczenia gruntów; 2) wydzielania pomieszczeń w pałacu na izby pamięci poświęcone śp. Adolfowi Bnińskiemu, Delegatowi Rządu Polskiego okręgów polskich wcielonych do Trzeciej Rzeszy podczas II wojny światowej, a także Państwu Podziemnemu, Armii Krajowej i ruchom oporu w Wielkopolsce, na Pomorzu i Śląsku; 3) opieki nad grobami rodziny Bnińskich znajdującymi się przy kościele parafialnym w Gułtowach.

Adolf Bniński, komisarz Miasta Łodzi z ramienia Rady Regencyjnej, starosta Środy Wielkopolskiej, długoletni wojewoda poznański, senator RP, po wielomiesięcznym więzieniu w VII Forcie w Poznaniu i torturach, został stracony najprawdopodobniej przez rozstrzelanie w lesie pod Stęszewem dnia 7 lipca 1942 roku.

Córka Adolfa Bnińskiego Maria Bnińska i ich kuzyn Wacław Bniński powiadomili Państwową Agencję Własności Rolnej Skarbu Państwa 16 listopada 1992 roku, że pragną zespół pałacowo-parkowy Gułtowy przeznaczyć na cele pożyteczne dla Wielkopolski i społeczeństwa polskiego.

Niemal równocześnie Uniwersytet im. Adama Mickiewicza przyjął propozycję darowizny Bnińskich i warunki wymienione we wspomnianym akcie notarialnym. Po kilkuletnich zabiegach, zwłokach, utrudnieniach i biurokratycznym manewrowaniu doszło do sfinalizowania darowizny w specyficznych formach i ramach prawnych. Osobliwym aspektem całej sprawy było, że Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa poinformowała Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w październiku 1993 roku, że życzeniem właścicielki czyli Marii Bnińskiej jest żeby zespół pałacowo-parkowy przeszedł we władanie godnej instytucji i dlatego Agencja proponuje Uniwersytetowi przejęcie Gułtów.

W Gułtowach do chwili rozwiązania PGR-ów znajdowała się jedna z central tej instytucji. Przez długie lata dyrektorem tej centrali był Bolesław Prokop. Otaczał on specjal-

ną pieczę pałac, park i oficyny i dlatego ich obecny stan jest, zważywszy na ogólne warunki, bardzo dobry.

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza zamierza zorganizować w Gułtowach ośrodek studiów i konferencji międzynarodowych.

W jesieni 1995 roku Uniwersytet projektuje odbycie w Poznaniu sesji naukowej na temat Państwa Podziemnego, Delegatury Rządu, Armii Krajowej i ruchów oporu w Wielkopolsce, na Pomorzu i Śląsku. Udział w tym symposium zadeklarował już Władysław Bartoszewski, minister spraw zagranicznych RP.

Boca Raton, Floryda, 29 czerwca 1995

Wacław H. BNIŃSKI

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Sprawy i troski

Polonia berlińska 1995

Na początku maja br. władze niemieckie zapowiedziały przyznanie statusu mniejszości narodowej członkom kilku grup etnicznych w Republice Federalnej. Obok Serbów Łużyckich z przywileju tego skorzystają m.in. żyjący w Niemczech częściowo od stuleci niemieccy Sintowie i Romowie czyli „Cyganie”, których liczbę określa się na ok. 90 000. Statusu tego nie uzyska natomiast ponad półtoramilionowa społeczność turecka w Niemczech oraz polska w liczbie 270 000 osób. Wynika to z faktu, iż w odróżnieniu np. od Sintów i Romów, Polacy, podobnie jak i przykładowo Turcy, nie spełniają kryteriów koniecznych do uznania za mniejszości narodowe, którym z tego tytułu należy się m.in. prawnie zagwarantowane wsparcie finansowe na rzecz pielęgnacji ich kultury i języka. Układ o Dobrym Sąsiedztwie i Współpracy zawarty między RP a RFN w roku 1991 gwarantuje wprawdzie polskiej społeczności w Niemczech, podobnie jak mniejszości niemieckiej w Polsce, korzystanie z szeregu praw w zakresie np. „swobodnego wyrażania, zachowania i rozwijania swej tożsamości etnicznej, kulturalnej, językowej i religijnej”, jednak nie zawiera on żadnych konkretnych zobowiązań np. odnośnie wsparcia finansowego działalności kulturalnej. Stąd też odpowiedzialność w tym zakresie spoczywa głównie na samych Polkach i Polakach, jak również na władzach i organizacjach polskich oraz polonijnych. Wprawdzie przykładowo Senat Berlina wspomaga działalność niektórych organizacji polonijnych, to jednak pomoc ta nie ma takiego rozmiaru jak np. pomoc dla Gminy Żydowskiej, otrzymującej nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do

liczebności jej członków dotacje na działalność własnych instytucji kulturalnych czy szkół. Niewykluczone jednak, że pomoc ze strony Senatu na działalność oświatową i kulturalną byłaby większa, gdyby nie fakt rozbitcia organizacyjnego społeczności polskiej i wynikających stąd wzajemnych uzurpacji, utarczek i konkurencji.

Aktualnie Berlin jest największym skupiskiem Polek i Polaków na terenie Niemiec; mieszka tu niemal 27 000 osób z obywatelstwem polskim, czyli 10% ogółu wszystkich zameldowanych w Niemczech obywateli polskich, i około 80 000 tzw. „późnych przesiedleńców” z Polski. Przeglądając wznowioną niedawno broszurę pt. „Polacy w Berlinie” wydaną przez pełnomocniczkę ds. cudzoziemców w Berlinie można odnieść wrażenie świetnego stopnia zorganizowania społeczności polskiej i wynikającego stąd jej znaczenia. Już sama liczba ponad 20 wymienionych tam organizacji i instytucji polskich może wzbudzić respekt. Tymczasem jednak w odróżnieniu np. od społeczności żydowskiej czy nawet tureckiej, jej znaczenie ciągle jeszcze nie odpowiada zarówno jej liczebności jak też wkładowi w życie kulturalne miasta. Bowiem podczas kiedy zaledwie dziesięcioletnia Gmina Żydowska potrafiła się zjednoczyć i jednym głosem formułować swe żądania, propozycje i oczekiwania pod adresem władz berlińskich, to chwalebna z jednej strony wielość polskich organizacji powoduje z drugiej strony osłabienie ich pozycji w dyskusjach z przedstawicielami władz miasta. Powoduje to, że nawet gotowi do pomocy przedstawiciele Senatu tracą orientację w konfrontacji z tak wieloma organizacjami, a w efekcie i cierpliwosć szczególnie na tle nierzadkich animozji między reprezentantami poszczególnych organizacji. W przypadku przedstawicieli władz berlińskich niezbyt przyjaźnie nastawionych do Polaków, co miało miejsce szczególnie w drugiej połowie lat 80-tych, takie rozbitcie organizacyjne i skłócenie ułatwiało im zbywanie próśb i żądań poszczególnych organizacji polskich.

Sprawa niemożności stworzenia jednej i silnej reprezentacji społeczności polskiej w Berlinie poruszona została niedawno na spotkaniu reprezentantów kilku polskich organizacji berlińskich z ambasadorem RP w Niemczech, Januszem Reiterem. Jak na razie jedynym pozytywnym krokiem w kie-

runku powołania takiej reprezentacji było stworzenie w Berlinie w maju 1992 roku Polskiej Rady Konsultacyjnej, definiującej się „jako organizacyjna forma współpracy, wzajemnej pomocy i wymiany informacji oraz doświadczeń”. Mimo iż do Rady przystąpiła większość organizacji polskich i polonijnych w Berlinie, to nadal nie posiada ona jednak jednoznacznego poparcia ze strony wszystkich pozostałych organizacji jako główny reprezentant interesów polskiej społeczności w stolicy Niemiec. Niewykluczone, że dobrym rozwiązaniem byłoby utworzenie np. „Gminy polskiej” na podobieństwo efektywnie działającej „Gminy żydowskiej”. Na marginesie można dodać, że coraz większą rangę w całości kształcie krajobrazu kulturalnego Berlina zdobywają dobrze działające organizacje o charakterze kulturalno-oświatowym, jak np. Instytut Kultury Polskiej w Berlinie, Polskie Towarzystwo Szkolne Oświata w Berlinie, jak też Klub Niemiecko-Polski prowadzony przez Marię Szewczyk. Ważne imprezy kulturalne organizuje też Przedstawicielstwo Ambasady Polskiej w Berlinie. Na obszarze gospodarczym coraz większą rolę odgrywa natomiast Stowarzyszenie Polskich Handlowców i Przemysłowców w Berlinie BERPOL.

Na tle złej sytuacji w zakresie jedności polskiej społeczności w Berlinie o wiele pozytywniej przedstawia się natomiast sprawa odczuć i oceny swej sytuacji indywidualnej przez polskich berlińczyków. Świadczy o tym reprezentatywna ankieta przeprowadzona na zlecenie pełnomocniczki ds. obcokrajowców w Berlinie, Barbary John, wśród mieszkających tu Polek i Polaków. Jej pytaniami objętych zostało ponad 1200 osób powyżej 18 lat życia. Zdecydowana większość ankietowanych podała mianowicie, że w Berlinie czuje się bardzo dobrze – niemal 28% – lub w sumie dość dobrze – ponad 60%. Tylko 10% respondentów czuje się w Berlinie niezbyt dobrze, lub – jak twierdzi 1,5% – całkiem źle. Wyniki te nie odpowiadają procentowo odpowiedziom w zakresie poczucia dyskryminacji, ponieważ przykładowo na pytanie „Czy ma pan/pani niekiedy wrażenie gorszego traktowania niż obywatele niemieckich” 49,9% Polek i Polaków odpowiedziało twierdząco, 44,6% negatywnie, zaś 5,5% nie udzieliło żadnej odpowiedzi. W tej samej kolejności odpowiedzi pozytywnej na pytania w podobnej ankiecie

udzieliło 52,7% obywateli tureckich, negatywnej 41,6% a 5,4% nie umiało odpowiedzieć na to pytanie. Tak duży wskaźnik odczuć negatywnych zarówno wśród Polaków jak i Turków związany jest przede wszystkim z rolą ankietowanych jako petentów w urzędach, przy poszukiwaniu pracy, czy też w urzędzie dla obcokrajowców.

Przez długie lata i po części do dziś dnia główne problemy członków społeczności polskiej w Berlinie dotyczyły przede wszystkim spraw prawno-pobytowych i udzielania im pozwolenia na pracę. Z powodu stałego zaostrzania kryteriów w tym względzie wiele Polek i Polaków zrezygnowało i wyjechało do USA, Kanady i innych krajów, część zaś wróciła do Polski. Niemniej jednak, ci „którzy tu pozostali, potrafili się przebić”, stwierdziła w komentarzu do wyników ankiety pełnomocniczka ds. obcokrajowców, Barbara John. Nie ukrywa ona przy tym, że nie przyszło to ani szybko ani łatwo. Na tle tego faktu można byłoby spodziewać się dobrego wskaźnika znajomości organizacji polskich, podających się za obrońców interesów polskiej społeczności w Berlinie. Jednak wbrew temu aż 73,6% ankietowanych podało, iż „nie zna żadnego reprezentanta swych interesów w Berlinie”, zaledwie 9,8% ankietowanych wymieniło Związek Polaków w Niemczech, a jeszcze mniej, bo tylko 6,8% Polską Radę Socjalną oraz 5% Klub Inteligencji Katolickiej. Sam fakt znajomości niektórych organizacji nie musi być przy tym równoznaczny z korzystaniem z ich pomocy, która sprowadza się z reguły tylko do mniej lub bardziej fachowego i efektywnego poradnictwa.

Jedno z pytań ankiety dotyczyło integracji socjalnej polskich berlińczyków. Okazuje się, że mimo faktu względnie krótkiego czasu pobytu w Berlinie w porównaniu do innych grup imigrantów ponad 50% polskich respondentów twierdzi, że utrzymuje częste kontakty z Niemcami w czasie wolnym, 36% utrzymuje te kontakty rzadko, a tylko 12% Polek i Polaków nie utrzymuje prawie nigdy kontaktów z Niemcami. Również na pytanie o „bliższe układy przyjacielskie z Niemcami” olbrzymia większość, bo aż 67%, odpowiedziała, że „posiada przyjaciół wśród Niemców”, odpowiedzi negatywnej udzieliło zaś 33%. Inny interesujący wynik ankiety dotyczył nastawienia między polskimi berlińczykami a prze-

siedleńcami z Polski. Okazało się, iż wbrew pogłoskom powtarzanym dość często szczególnie wśród samych Niemców, aż 83% odpowiedziało, iż „zna osobiście przesiedleńców z Polski”. Ponadto w tej grupie osób również ponad 80% respondentów „posiada przyjaciół wśród przesiedleńców”.

Jednym z najważniejszych kryteriów przy określaniu gotowości do integracji jest chęć przyjęcia przez cudzoziemców obywatelstwa niemieckiego. Odpowiadając na odnośne pytanie, prawie 13% polskich respondentów podało, że już je posiada, a 30% czeka na rozpatrzenie ich podań w tej sprawie. Jak stwierdziła pełnomocniczka ds. obcokrajowców, są to liczby, które znacznie przewyższają wskaźnik gotowości przyjęcia obywatelstwa niemieckiego przez inne grupy obcokrajowców. Przy tym, podobnie zresztą jak w przypadku innych grup cudzoziemców, ponad 78% polskich respondentów chciałoby zachować także swe dotychczasowe obywatelstwo, co możliwe jest jednak tylko w bardzo szczególnych i nielicznych wypadkach. Obowiązki zrzeczenia się obywatelstwa polskiego przy nabywaniu niemieckiego nie podlegają natomiast przesiedleńcy z Polski, jak też osoby otrzymujące paszporty niemieckie na terenie Polski w wyniku uznania ich pochodzenia niemieckiego. Sprawa ta jest ważna nie tylko ze względów politycznych i emocjonalnych, ale także czysto praktycznych. Zrzeczenie się obywatelstwa polskiego wiąże się często bowiem z utratą praw spadkowych, praw do ułatwionego nabywania nieruchomości w Polsce itp.

Bliskość granicy polskiej oddalonej od Berlina zaledwie o 70 kilometrów powoduje, że Polonia berlińska względnie łatwo może korzystać z polskich środków masowego przekazu czy to podczas krótkich wypadów weekendowych do Polski, czy też przez sprowadzanie gazet przez znajomych oraz słuchanie dobrze tu słyszalnego polskiego radia. Rzutuje to na korzystanie ze źródeł informacji: 84% ankietowanych na pierwszym miejscu wymieniło telewizję niemiecką, 82% niemieckie gazety, natomiast już na miejscu trzecim (53%) znalazły się polskie gazety, a dopiero za nimi (nieco ponad 46%) niemieckie rozgłośnie radiowe w Berlinie. Radiowych audycji informacyjnych w języku polskim nadawanych z obszaru Polski słucha ponad 19%, zaś około 7% polskich berlińczyków korzysta z audycji informacyjnych nadawanych

po polsku przez rozgłośnie *Deutsche Welle* w Kolonii. Odnośnie oczekiwań respondentów w zakresie informacji w języku polskim 34,5% respondentów stwierdziło, iż zyczyłoby sobie polskiego programu telewizji, 14,7% polskich gazet a tylko 3% polskiego radia.

Szczególnie ostatnia odpowiedź wydaje się o tyle interesująca, że aktualnie w Berlinie działa radio *Multi Kulti*, które od poniedziałku do piątku nadaje codziennie dwudziestominutowy program polskojęzyczny. Być może jego niska popularność wśród Polaków związana jest z dość nierównym poziomem prezentowanych w nim audycji. Ponadto niektóre z prezentowanych w nim dotychczas audycji były – jeśli już nawet nie „antypolskie”, to po prostu szydercze i obraźliwe. Na przykład jeden z współpracowników programu polskiego rozpoczął pewien swój komentarz od słów: „Berlin Charlottenburg, Stuttgarter Platz. Poniedziałkowy ranek. Z autobusu słupskiej firmy Transwest wysiadają bynajmniej nie transwestyci, lecz zwyczajni polscy turyści wypachnieni dezodorantem Pol-Pot, zaopatrzeni w pasztesy Pol-Drób i napoje orzeźwiające Polmos. Oni tak bardzo chcą do Europy, że aż kręci im się od tego w głowie i czasami zapominają zapłacić za jakiś drobiazg w sklepie Drospa”. Innym razem komentator ów spytał: „W jakim to innym kraju osoby niepełnosprawne umysłowo mogłyby dojść do najwyższych funkcji w rządzie czy też gabinecie głowy państwa? Żadne upośledzenie nie może stanąć na przeszkodzie w objęciu funkcji premiera, ministra czy też szefa badań naukowych”. Jak widać, nie trzeba szukać wśród innych narodowości, by znaleźć tego rodzaju uogólnienia na temat Polski i Polaków.

Jednym z najważniejszych problemów stale poruszanych przez polskich berlińczyków m.in. w rozmowach z przedstawicielami Senatu jest problem nauki języka polskiego dla ich dzieci. W coraz większym stopniu nauką języka polskiego dla swych dzieci zainteresowani są także „Aussiedlerzy”, czyli przesiedleńcy z Polski. Spośród ogółu ankietowanych 66,7% stwierdziło, iż ich dzieci uczą się języka polskiego, natomiast 33,3% odpowiedziało negatywnie. 60,5% ankietowanych z pierwszej grupy stwierdziło przy tym, że ich dzieci języka polskiego uczą się w domu, 23,5% na douczaniu popołudniowym, 6,2% dzięki wizytom w Polsce, 3,9% dzieci z

polskich rodzin uczy się polskiego przed południem w szkołach berlińskich a 2,5% w kościele. Przy tym aż 67% ankietowanych chciałoby wysłać swe dzieci do niemiecko-polskiej szkoły dwujęzycznej, której w Berlinie jak dotąd nie ma; 22,4% nie wyraziło takiego życzenia. Na msze do kościoła polskiego w Berlinie chodzi regularnie 18,5% ankietowanych, 81,5% udzieliło odpowiedzi negatywnej. Z wizytą do Polski udaje się co tydzień 6,5% polskich berlińczyków, raz lub kilka razy w miesiącu 29,3%, co 2-3 miesiące 31,3%, co pół roku 17%, raz na rok 12,1%, natomiast jedynie 1,3% podało, iż w ogóle nie jeździ do Polski. Ogromna większość społeczności polskiej zadowolona jest z faktu życia w Berlinie. Niemal 57% ankietowanych ocenia także wizję swej przyszłości tutaj jako bardzo dobre lub dobre, a tylko 27% jako niezbyt dobre lub – jak twierdzi niecałe 7% – złe.

Z kilkoma pytaniami na temat sytuacji Polek i Polaków w Berlinie zwróciłem się także do pełnomocniczki Senatu ds. obcokrajowców Barbary John. Na pytanie o główne problemy, z jakimi zwracają się do niej obywatele polscy mieszkający na stałe w stolicy Niemiec, Pani John odpowiedziała, iż „nie ma zbyt wielu problemów. Polacy pokazują w zadziwiający sposób, że są tu dobrze zakorzenieni ekonomicznie i socjalnie. Zmalały problemy statusowo-pobytowe, gdyż większość ma już bezterminowe zezwolenia na pobyt. Polacy są procentowo mniej dotknięci bezrobociem niż inne grupy imigrantów, jak np. Turcy. Ma to związek z tym, że Polacy mają bardzo duże zdolności przystosowawcze i podejmują zarówno prace wymagające wysokich ale też i niskich kwalifikacji. Stąd też nie można mówić, by Polacy byli jakąś szczególnie problematyczną grupą. Przeciwnie: obecnie należą oni do najlepiej zintegrowanych w Berlinie”, stwierdziła Barbara John i dodała: „Potrzeby i wymagania przesuwają się w stronę rzeczy poza potrzebami elementarnymi, np. kultury czy pielęgnacji języka ojczystego. Mają bardzo silną potrzebę zachowania i nauki języka polskiego przez ich dzieci. A w Berlinie jest zbyt mało takich możliwości. Polacy zyczą sobie np. szkoły dwujęzycznej, której tu nie ma”.

Jako jedną z głównych przyczyn względnie lepszych warunków integracji Polek i Polaków w porównaniu do innych narodowości pełnomocniczka ds. obcokrajowców wy-

mienia ich wygląd oraz elastyczność na rynku pracy: „Polacy byli mniej konfrontowani z uprzedzeniami w stosunku do obcych. Któż potrafi bowiem odróżnić Polaka od Niemca. Dzięki temu uniknęli odrzucenia, które mogło pociągnąć za sobą także dyskryminację. Były i są wciąż jeszcze ogólne uprzedzenia do Polaków, ale jest ich coraz mniej. Drugą sprawą jest fakt, iż Polacy przybyli do Berlina z dużymi kwalifikacjami, które mogli zastosować na tutejszym rynku pracy. Przy tym wykorzystywali też każdą szansę. Ponieważ nie mieli pozwolenia na pracę, musieli się usamodzielnić zawodowo. Np. kobieta inżynier budowlany otworzyła jednoosobową firmę do sprzątania mieszkań. Kupiła sobie wiadro i ścierkę i poszła sprzątać mieszkania berlińczyków. Zapewniła jej to przeżycie. I było wiele takich osób, które pierwsze lata przeżyły w ten sposób do czasu uzyskania pozwolenia na pracę”.

Pozytywnie pełnomocniczka ds. obcokrajowców ocenia aktualny obraz Polski i Polaków nie tylko w mass mediach, ale przede wszystkim wśród berlińskich polityków: „W latach 80-tych na Polaków patrzono z dużymi zastrzeżeniami, i to pod różnym względem. Po pierwsze dużą migrację Polaków, około 10-ciu do 15-tu tysięcy traktowano jako „małą inwazję”. Nie wiedziano za bardzo, co z nimi począć. Odesłać ich nie chciano, bo Polska była komunistyczna. Ale pozostawić ich na stałe też nie chciano, bo trzeba byłoby podzielić się z nimi pracą. Dziś ci sami ludzie stanowią wielki zysk dla Berlina. Są tu dobrze zakorzenieni i mogą tworzyć jeden z filarów poprawy stosunków niemiecko-polskich. Mogą je tu budować i reprezentować kulturę polską w Berlinie”^{*}.

Andrzej STACH

^{*} Powyższe fragmenty pochodzą z wywiadu przeprowadzonego przeze mnie dla polskiej sekcji Radia *Deutsche Welle*, który nie był autoryzowany.

OŚWIADCZENIE POLSKIEGO PEN CLUBU

Polski PEN Club – zgodnie z własną tradycją i Kartą Międzynarodową zobowiązującą PEN Cluby świata „do rozpraszania nienawiści rasowych, klasowych i narodowych” – wyraża najwyższe zaniepokojenie słowami zaślepionej antysemickiej nienawiści, jakie rozniosły się z Gdańska w niedzielę 11 czerwca. W kręgach środowisk twórczych i humanistycznych zgorszenie owymi słowami jest tym większe, że uznał za możliwe wypowiedzieć je kapłan, proboszcz kościoła św. Brygidy, tak mocno związanego z ostatnimi dziesięcioleciami naszych dziejów. Z pełnym szacunkiem i zrozumieniem przyjęliśmy ubolewania Jego Ekscelencji ks. arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego oraz opinię Jego Ekscelencji ks. biskupa Tadeusza Pieronka, że to, co wygłoszone zostało w gdańskiej świątyni, oznacza „brak odpowiedzialności za słowo i burzenie tego, co przez długą pracę osiąga się we wzajemnych stosunkach między Kościołem a judaizmem”. Opinii tej przyświadczyć może również fakt, że gdańskie wydarzenie rzuciło cień na odbywające się w Krakowie polsko-francuskie forum na temat „Pamięć żydowska, pamięć polska” z udziałem m.in. Pani Simone Veil i ministra Władysława Bartoszewskiego.

Niestety, żaden człowiek sumienia w Polsce i poza Polską nie uwierzy, że warszawskie okrzyki „do gazu!” i gdańska enuncjacja o „gwieździe Dawida wpisanej w znak swastyki oraz sierpa i młota” są jedynie rezultatem chwilowego zaćmienia umysłu i przygodnych emocji.

Prosimy najwyższe władze Rzeczypospolitej, a także Rzecznika Praw Obywatelskich, partie polityczne, senaty wyższych uczelni i związki zawodowe o zajęcie stanowiska w tej bolesnej sprawie. Z równie gorącą o to prośbą zwracamy się do zwierzchniej hierarchii Kościoła, z którym wielu z nas łączy bliskie więzy wiernej przynależności.

Wytwarza się atmosfera, która źle rokuje demokracji polskiej i szacownemu miejscu, jakie zajmujemy w praworządnej rodzinie narodów.

Warszawa, 14 czerwca 1995

ZARZĄD POLSKIEGO PEN CLUBU

O religii bez namaszczenia

Encyklika *Ut unum sint*

I oto znów mamy nową encyklikę. Dużo ich jest ostatnio. Mieliśmy ich już kilkanaście za obecnego pontyfikatu, więcej niż za któregośkolwiek z poprzednich papieży. Wraz z innymi dokumentami nauczycielskimi, jak listy pasterskie, jest ich już dobrych kilkadziesiąt. Zastanawiam się, w jakiej mierze są one czytane, studiowane, jak trwały jest ich wpływ. Przyznaję, że niektórym z nich nie życzę trwałości. Dotyczy to zwłaszcza dwóch niedawnych encyklik, *Veritatis Splendor* i *Evangelium Vitae*, wobec których wielu komentatorów, także katolickich, wysunęło bardzo poważne zastrzeżenia¹. Natomiast teraz otrzymaliśmy encyklikę, która z kilku względów powinna być możliwie szeroko czytana i komentowana w całym świecie chrześcijańskim i której choćby z tego względu należy życzyć względnej trwałości. Bo jest to encyklika poświęcona zupełnie fundamentalnej sprawie zjednoczenia chrześcijaństwa, pierwszy dokument na ten temat tak wysokiego szczebla od czasu słynnego soborowego Dekretu o Ekumenizmie *Unitatis Reintegratio* („Przywrócenie jedności”) z roku 1964. Ten soborowy dokument położył podwaliny pod katolicki ekumenizm, po raz pierwszy uznając innych chrześcijan poza Kościołem katolickim za „odłączonych braci”, odłączonych ale już zjednoczonych wspólnym sa-

1. Obie były omawiane na łamach *Kultury*, kolejno w nr 12/1993 i 6/1995. W pierwszym z tych numerów znajduje się też przedruk bardzo krytycznej oceny *Veritatis Splendor* pióra wybitnego teologa O. Bernharda Haeringa, która ukazała się pierwotnie na łamach katolickiego tygodnika *The Tablet*.

kramentem chrztu i nie pozbawionych dostępu do Chrystusowej prawdy i łaski. Ale obecna encyklika *Ut unum sint* („Aby byli jedno”) idzie dalej. Jest nacechowana całkiem nowym duchem pojednania, zrozumienia dla postaw kościołów i wspólnot chrześcijańskich oddzielonych od Rzymu, nawet pokory, a nade wszystko miłości dla myślących inaczej. Mówi o potrzebie „odmiany serca” czyli pokuty, także ze strony Kościoła katolickiego, i przeprasza za dawne przewinienia. (Zwróćmy uwagę, że ten motyw pojednania pojawił się ostatnio w wypowiedziach Jana Pawła kilkakrotnie, między innymi w Ołomuńcu i Skoczowie z okazji, niezbyt fortunnej zresztą, kanonizacji Jana Sarkandra). Nade wszystkie, we wstępnym rozdziale encykliki znajdujemy zdumiewające słowa o potrzebie „nawrócenia Piotra” czyli każdorazowego papieża (w nawiązaniu do słów Chrystusa Pana wypowiedzianych do Piotra w ewangelii św. Łukasza 23,32). Papież zatem prosi wszystkich wiernych, katolików i innych chrześcijan, o modlitwę o to swoje nawrócenie. Na pewno są to szczerze słowa i jako takie zostały przyjęte przez „innych chrześcijan”. Cały ten pojednawczy nurt encykliki spotkał się w świecie niekatolickim z bardzo pozytywnym przyjęciem. Jest to wielki krok naprzód. Ale nie znaczy to jeszcze, by dzień formalnego pojednania i zjednoczenia wszystkich chrześcijan był bliski.

Bo jest w tej encyklice drugi nurt, który nie mógł być tak życzliwie przyjęty. Nie z powodu zatwardziałości serc jednej czy drugiej strony, ale dlatego że koncepcje jednego ogólnościowego chrześcijaństwa są po obu stronach bardzo różne. Papież Jan Paweł przy całym swoim serdecznym zaangażowaniu w sprawę jedności stoi twardo na gruncie tradycyjnej katolickiej eklezjologii, według której tylko Kościół rzymskokatolicki jest założonym przez Chrystusa Pana Kościołem, a wszystkie inne wyznania odpryskami od tego jednego trzonu, że zatem tylko ten Kościół jest w posiadaniu pełni objawionej prawdy, a inne mają tylko pewne jej elementy, owszem, duchowo płodne, często nawet podziwu godne, ale w sumie ułomne, bo dalekie od katolickiej pełni. A zatem droga do jedności chrześcijaństwa jest tylko jedna: powrót „innych chrześcijan” do pełni katolickiej prawdy i widzialnej struktury jedyne Chrystusowego Kościoła. Co

więcej, do tej pełni katolickiej prawdy należy również dogmat o centralnej i nadrzędnej w stosunku do całości Kościoła roli Biskupa Rzymu, z wszystkimi utwierdzonymi Tradycją atributami tego urzędu. A to jest dla wszystkich „innych chrześcijan”, niezależnie od różnic dzielących ich pomiędzy sobą, nie do przyjęcia.

Przyznaję, że w tym streszczeniu katolicki integrizm wygląda bardziej brutalnie niż się on przedstawia na stronach encykliki – tu ten integrizm jest łagodzony przewijającymi się poprzez papieski tekst elementami owego pierwszego nurtu, który próbowałem naszkicować powyżej. Prawdą też jest, że bez mała każde „integrystyczne” twierdzenie encykliki poparte jest cytatami z soborowego Dekretu o Ekumenizmie sprzed 30 lat, który w swoim czasie cały świat powitał jako przełomowy dokument, otwierający drogę do przyszłego zjednoczenia.

Tu musimy się na chwilę cofnąć do pierwocin wielkiego ruchu ekumenicznego, który charakteryzuje nasze kończące się wkrótce stulecie. Początki tego ruchu leżały poza Kościołem katolickim, który bardzo długo nie chciał z nim mieć nic wspólnego. Inne wyznania chrześcijańskie były przezeń uważane nie tylko za ułomne odpryski, ale wprost perwersję prawdziwego chrześcijaństwa, herezje. To kościoły protestanckie odczuły na początku stulecia potrzebę ujednolicenia i skoordynowania swojego wysiłku misyjnego, czego wynikiem była pierwsza międzywyznaniowa konferencja ekumeniczna w Edynburgu w r. 1910. Jeszcze w r. 1948 gdy powstała na zjeździe w Amsterdamie Światowa Rada Kościołów, Rzym stanowczo odzegnał się od wszelkiego udziału w tym zgromadzeniu. Dziś pozostaje w bliskim kontakcie z centralą SRK w Genewie (co papież w encyklice z wdzięcznością stwierdza), choć na specjalnych warunkach. Ale dopiero Sobór Watykański i wspomniany Dekret o Ekumenizmie przyniósł radykalny zwrot w tej materii. Ten dekret ustanowił nowe zasady, na których miały się odąd opierać stosunki Kościoła katolickiego z innymi wyznaniem chrześcijańskimi i dał impuls do licznych intensywnych kontaktów, dialogów i praktycznej międzywyznaniowej współpracy. To było 30 lat temu. Powstaje teraz pytanie, czy ustanowione wówczas zasady mają status prawd, które nie mogą ulegać żadnym zmianom, czy

też dialog międzywyznaniowy może doprowadzić do jakichś ich modyfikacji czy ewolucji. Wydaje się, że papież w encyklice traktuje je jako raczej niezmiennie i dlatego tak często powołuje się na nie, określając stanowisko katolickie. Ale jeśli tak, to do czego właściwie służy dialog? Papież cytuje pewną ilość porozumień, zwłaszcza z patriarchami kościołów wschodnich, które zdają się tych zasad nie naruszać, ale są to postępy właśnie z tej racji raczej powierzchowne, jeśli nie wprost pozorne. Na ogół encyklika stwarza wrażenie, że większych postępów w ciągu tych 30 lat nie osiągnięto, zwłaszcza z protestanckimi kościołami Zachodu, i stąd właśnie potrzeba powtórzenia ustalonych w soborowym dokumencie zasad i ponownego określenia warunków, na których Kościół katolicki byłby gotów uznać odłączone kościoły za autentycznie przynależne do jednego Chrystusowego Kościoła. Te warunki, w tym zwłaszcza uznanie przez innych chrześcijan nadrzędnej roli Biskupa Rzymu, okazały się do tej pory nie do przyjęcia i w rezultacie w ciągu tych 30 lat nie doszło do ponownego zjednoczenia ani jednego z odłączonych kościołów z kościołem rzymskim. I nie widać ani w tekście encykliki ani też na szerokiej scenie ekumenicznej świata żadnych realnych szans na to, by nawet w dalszej przyszłości do choćby jednego takiego połączenia z kościołem rzymskim mogło dojść.

Natomiast rysuje się na światowej scenie ekumenicznej inna wizja zjednoczonego chrześcijaństwa czy jednego Kościoła Chrystusowego, wizja której elementy są również widoczne w tekście encykliki. Mianowicie w tym, co nazwałem jej pierwszym nurtem, w jej nurcie pojedynczym. Jest tam często mowa o skandalu, jakim jest chrześcijaństwo podzielone na różne konkurujące ze sobą, a do niedawna jeszcze aż zwalczające się wzajemnie kościoły. Podstawowym elementem tej alternatywnej wizji byłoby zatem stwierdzenie, że skandalem jest nie tyle sam podział chrześcijaństwa, istnienie wielu różniących się pomiędzy sobą wyznań czy kościołów, lecz fakt ich historycznego skłócenia i brak wzajemnego uznania. Teraz, mniej więcej od lat trzydziestu, to wzajemne uznanie staje się faktem. I encyklika także pojawiając się i stopniowy wzrost tego uznania stwierdza, w każdym razie w swym pierwszym nurcie. Sęk w tym, że

encyklika w swym drugim nurcie dodaje, że wyłaniająca się w ten sposób powszechna wspólnota chrześcijańska jest niepełna i ułomna, bo nadal daleka od realizacji wizji jednego powszechnego Kościoła Chrystusowego pojętego jako widzialna struktura, dostatecznie jednolita pod względem doktrynalnym i organizacyjnym by zasługiwała na tę nazwę. Mówi się często, że celem ruchu ekumenicznego jest doprowadzenie do tej jedności, której Bóg chce. Encyklika najwyraźniej zakłada, że Boży plan to ten właśnie, który ona reprezentuje (zob. np. 94) i wzywa do realizacji tego planu przez modlitwę, dziękczynienie, nadzieję. Ale czy tak jest na pewno? Alternatywna wizja ma przynajmniej tę zaletę, że jest mniej konkretna, stawia mniej warunków zjednoczenia, a zatem jest bardziej otwarta na możliwość, że jedność jakiej Bóg chce jest mniej lub bardziej różna od wszelkich naszych wyobrażeń i planów.

Znaczy to jednak, w praktyce naszych ludzkich poczynań, że istnieje wiele dróg do jedności i wiele planów – albo żaden. Bo są też wspólnoty i kościoły, które czują się zagrożone w swej tożsamości i dla których wszelkie zjednoczenia są dlatego na bardzo dalekim planie. Są to w pierwszym rzędzie autokefaliczne kościoły (cerkwie) prawosławne, pilnie strzegące nie tylko swej niezależności (autokefalii) pomiędzy sobą, lecz nade wszystko nastawione obronnie przeciw obecności na ich tradycyjnych obszarach wspólnot i kościołów zachodnich, w tym zwłaszcza Kościoła katolickiego. Należą tu również katolickie kościoły obrządku słowiańskiego (unickie), dopiero niedawno wyzwolone spod długotrwałego przymusowego zjednoczenia z prawosławiem. Kościoły unickie są poza tym trwałą kością niezgody między greckim prawosławiem jako całością a rzymskim katolicyzmem². W encyklice te napięcia są ledwo wzmiankowane, a stosunkowo szeroko relacjonowane kontakty papieża z przedstawicielami wschodnich kościołów, także niedawna wizyta patriarchy ekumenicznego (honorowy tytuł konstantynopolitański) Bartłomieja w Rzymie, mają bardzo niewielki wpływ na nastroje i poczynania niższego kleru i wiernych, tak

2. Zob. np. mój artykuł „Religijna zimna wojna”, *Kultura*, listopad 1991.

po stronie prawosławnej jak i katolickiej. Po stronie prawosławnej uczestnicy trwającego od lat oficjalnego dialogu prawosławno-katolickiego są wprost oskarżani o zdradę interesów prawosławia i o herezję³.

Jest to tym dziwniejsze, że oba „siostrzane kościoły” (jak się teraz określają) są sobie doktrynalnie i strukturalnie bardzo bliskie i wzajemna ekskomunika, która przez przeszło 900 lat dzieliła Konstantynopol od Rzymu (od r. 1054), została już dawno obustronnie cofnięta (w r. 1964). A jednak wciąż jeszcze nie ma między obu kościołami wspólnej Eucharystii (z wyjątkiem specjalnych okoliczności) i duszpasterskiej współpracy. Wynika z tego, że dzielące je różnice są nadal, tak jak były od początku schizmy, natury prestiżowo-politycznej i kulturowej. Z encykliki wynika (60), że Rzym obstaje przy swym (jak to nazywa) prawie do prowadzenia osobnej katolickiej pracy duszpasterskiej i apostołskiej na terenach tradycyjnie prawosławnych. Odbywa się to głównie poprzez mające długą tradycję katolickie kościoły wschodnie, w tym także unickie, ale także przez tworzenie nowych katolickich diecezji i parafii obrządku łacińskiego (np. w Rosji i Kazachstanie). Tu dotykamy jednej z głównych przyczyn, dla której strategia ekumeniczna zarysowana na stronicach encykliki (w tym, co nazwaliśmy jej drugim nurtem) jest skazana na niepowodzenie. Bo jeśli „siostrzane kościoły” istotnie głoszą tę samą (albo prawie tę samą) Chrystusową prawdę i pełnią to samo (albo prawie to samo) ewangeliczne posłannictwo – jak to głosi encyklika w swym nurcie pojedynczym – to nie ma potrzeby istnienia na tym samym terenie dwóch konkurencyjnych organizacji kościelnych. Jeśli zaś już istnieją – ze względów historycznych, etnicznych czy kulturowych – to powinny się wzajemnie wspierać, wzbogacać się wzajemnie, by ostatecznie złączyć się w jedną organizację. *Ut unum sint.*

I to nas doprowadza do sytuacji ekumenicznej w reszcie świata, głównie na Zachodzie, gdzie od czasów Reformacji istnieje wiele różnych wyznań chrześcijańskich. Określa się je ogólnie jako protestanckie, choć anglikanizm uważa siebie za

3. Zob. Wacław Hryniewicz OMI: „Trudna droga pojednania”, *Tygodnik Powszechny*, 25 czerwca 1995.

kontynuację przedreformacyjnego kościoła katolickiego, tyle tylko że niezależnego od Rzymu. Encyklika przy całym szacunku dla tych „innych chrześcijan” (nurt pierwszy) uważa, że cierpliwy dialog ekumeniczny doprowadzi ich wreszcie do pełnej jedności z Rzymem (nurt drugi). Rzym przy tym zdaje się być gotów zaakceptować dalsze istnienie pewnych różnic (czy również doktrynalnych?), bo encyklika mówi o „jedności w różnorodności”. Z drugiej strony przynajmniej niektóre spośród poreformacyjnych kościołów, zwłaszcza kościoły anglikańskie, są gotowe uznać jakąś formę prymatu biskupa Rzymu, pod warunkiem że nie oznaczałoby to przyjęcia dogmatu nieomyślności papieskiej i bezpośredniej jurysdykcji biskupa Rzymu. Bo istotą protestantyzmu jest pragnienie wierzenia w wolności od wszelkiego zewnętrznego przymusu, według własnego wewnętrznego przekonania. Nie jest przypadkiem, że to pragnienie doszło historycznie do głosu równocześnie z wynalazkiem druku i szerokim rozpowszechnieniem Biblii, do której do tej pory dostęp mieli tylko nieliczni ludzie piśmienni. Prawda, że kościoły protestanckie też nie uniknęły choroby instytucjonalnego przymusu (także grzech wojen religijnych nie tylko stronę katolicką obciąża), to jednak indywidualność wiary i wolność religijna po dziś dzień pozostały zasadniczym motorem napędowym światowego protestantyzmu (angielskie i amerykańskie „wolne kościoły”). I jest rzeczą uderzającą, że mimo wielości protestanckich wyznań podstawowe dogmaty chrześcijańskiego *Credo* zostały w nich bez szwanku zachowane, bez kontroli ze strony centralnego urzędu nauczycielskiego. Kryterium przynależności wspólnoty religijnej do Światowej Rady Kościołów stanowi wiara w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego i Zbawiciela. Mniej lub bardziej subtelne różnice doktrynalne są tu uważane nie za skazę, ale za przejaw wewnętrznego bogactwa chrześcijaństwa. To samo dotyczy mocno zróżnicowanych obrzędów i liturgii, których podwójnym filarem we wszystkich wyznaniach jest Biblia i Eucharystia. Jeżeli patrząc od strony Rzymu główną przeszkodą na drodze do zjednoczenia chrześcijaństwa jest odmowa odłączonych kościołów uznania centralnego magisterium i jurysdykcji papieża, to z punktu widzenia „innych chrześcijan” jest nią odmowa Rzymu uznania ich Eucharystii za ważny Sakrament i dopuszczenia

ich do wspólnej komunii w kościołach katolickich.

W sumie więc przeszkody z jednej i drugiej strony są wyraźnie natury instytucjonalnej i wizja instytucjonalnego zjednoczenia chrześcijaństwa pozostaje bardzo daleka, jeśli nie wprost nierealna. Ale pozostaje alternatywna wizja: rzeczowe zbliżenia, może nawet jedności, podstawowych przekonań i wartości chrześcijańskich przy dalszym instytucjonalnym różnicowaniu kościołów. Pierwszy nurt encykliki świadczy, że takie zbliżenie, jeśli nie jedność, już w pewnej mierze istnieje. Ale to że ujawniło się ono na szczytach (o tyle nabierając już oficjalnego charakteru) jest wynikiem zbliżenia, które się już przedtem dokonało na dole, na różnych szczeblach, od międzywyznaniowych debat teologów aż po zwyczajne osobiste kontakty między ludźmi. Więcej tego oczywiście zawsze było i jest w społeczeństwach wielowyznaniowych, takich jak Anglia, niż w krajach wyznaniowo z grubsza jednolitych jak katolicka Polska czy większość krajów tradycyjnie prawosławnych. To głównie te rozmowy i kontakty i dokonująca się w nich wymiana chrześcijańskich wartości są motorem ekumenizmu, za którym władze kościelne odpowiednich wyznań podążają zwykle z pewnym opóźnieniem, udzielając (lub odmawiając) dokonany zbliżeniom stempla oficjalnej aprobaty. Nawet praktyka interkomunii jest już bardziej rozpowszechniona niżby to wynikało z częstotliwości wymaganych zwykle indywidualnych zezwoleń. (Chodzi o interkomunię w kościołach katolickich lub z udziałem katolików; w innych kościołach jest ona traktowana jako rzecz zrozumiała sama przez się.)

Dodajmy, że wymiana i wspólnota chrześcijańskich wartości dokonuje się i istnieje nie tylko wśród wierzących i praktykujących chrześcijan. Nasza cywilizacja zwana „zachodnią” jest nadal często nazywana cywilizacją chrześcijańską i to określenie, mimo znacznie zmniejszonej roli kościołów, nadal ma swoje uzasadnienie, gdyż wiele jej cech nie tylko się z instytucjonalnego chrześcijaństwa wywodzi, ale ma autentycznie chrześcijański charakter. Prawda, że wiele też jest w naszej cywilizacji grzechów przeciw miłości bliźniego (a to wraz z miłością Boga jest największym chrześcijańskim przykazaniem), ale przynajmniej ludzie zdają sobie sprawę, że są to grzechy (nawet jeśli ich tak nie nazywają), i na krzywdę i nędzę ludzką

jestemy dziś bardziej uwrażliwieni niż w dawnych wiekach – choćby dzięki środkom masowego przekazu, które nam tą krzywdą w oczy kłują. I jakkolwiek nieudolnie, coś na tę krzywdę ludzką próbujemy zrobić – przez nasze ONZ-ty i Czerwone Krzyże, konferencje międzynarodowe, pomoc zagraniczną, organizacje charytatywne, *Amnesty International* czy *Médecins sans Frontières*. Tego w dawnych wiekach nie było. Dawniej tylko Kościół próbował na to coś zrobić, głównie przez swoje zakony. Dziś oprócz Kościoła mamy jakieś chrześcijaństwo zsekularyzowane, laickie. Są ludzie, którzy tę paradoksalną sytuację dostrzegają. Dostrzegają ją duchowni (mimo narzekań na sekularyzację) tacy jak zmarły niedawno wielki dominikanin O. Yves Congar, który miał odwagę powiedzieć, że żyjemy dziś w najbardziej ewangelicznym okresie historii⁴. A także ludzie świeccy, jak nasz Jacek Kuroń, który powiada, że „Ewangelia to fundament, na którym zbudowany jest świat i ludzkość. Ewangelia dotyczy wszystkich wierzących i niewierzących”⁵. Była to wypowiedź w ramach kampanii prezydenckiej, ale nie było to żadne przymilanie się pod adresem katolickiego elektoratu, bo Kuroń równocześnie określił się jako człowiek niewierzący (co mnie tak samo trudno zrozumieć jak jemu wiarę w osobowego Boga). Ale to jest właśnie charakterystyczne: że wartości Ewangelii przeniknęły do naszej cywilizacji niejako anonimowo, bez chrześcijańskiej etykiety. Wbrew powierzchownym sądom o niebezpieczeństwach sekularyzacji można to uważać za swoisty triumf Kościoła, jego wiernego głoszenia Ewangelii poprzez dwadzieścia bardzo religijnych a równocześnie bardzo grzesznych stuleci. Chrystus w jednej ze swych przypowieści przyrównuje Królestwo Boże do kwasu, który przenika całe ciasto, ale sam staje się w nim niewidoczny (Łuk. 13,20-21). Czy znaczy to, że przeniknięta anonimowymi wartościami Ewangelii nasza cywilizacja jest o tyle bliższa Królestwa Bożego? Może tak, ale w Kazaniu na Górze Jezus porównuje swych uczniów do soli ziemi i ostrzega: co będzie, jeśli sól zwietrzeje? (Mat. 5,13) Sekularyzacja może także oznaczać

4. „Fifty Years od Catholic Theology. Conversations with Yves Congar”, str. 66 (SCM Press, London 1988).

5. W wywiadzie dla *Tygodnika Powszechnego*, 2 lipca 1995.

zwierzenie wartości ewangelicznych. Na pewno jest i taka sekularyzacja. Jeśli wartości ewangeliczne są w naszej cywilizacji obecne, to dlatego że Kościół przeniósł Ewangelię do naszych czasów w stanie nienaruszonym. Przeniósł ją Kościół w swej formie prawosławnej, w swej formie katolickiej, w swych formach protestanckich. Kościół w tej funkcji na pewno, wprost widzialnie, zjednoczony. Przeniósł ją mimo swych gorzących podziałów, zawiści, pretensji i innych zwyczajnych ludzkich grzechów. Dlatego świecki świat, także ten nader zsekularyzowany świecki świat, może słusznie tak zjednoczonemu Kościołowi powiedzieć: „Dobrze, że jesteś”.

Pozwoliłem sobie na to ćwiczenie wyobraźni, próbkę alternatywnej wizji zjednoczonego chrześcijaństwa, wizję bardzo szeroką, ale też bardzo niesprecyzowaną. Czy gdzieś w tej wizji jest miejsce na zjednoczenie Kościoła takie, jakiego Bóg chce? Myślę, że tak, właśnie dlatego że jest ona tak szeroka i niesprecyzowana. Ale chodziło mi przede wszystkim o to, by uświadomić sobie i innym potrzebę tak szerokiego kontekstu, nie tylko religijnego, ale i świeckiego. Bo zjednoczenie chrześcijaństwa w sensie zjednoczenia kościołów nie może być celem samym w sobie. Będzie najwyżej etapem do zbawienia ludzkości, do końca czasów. W tym sensie zjednoczenie ma swój wymiar eschatologiczny. Papież w którymś miejscu encykliki (77) mówi z utęsknieniem o dniu, w którym widzialna jedność Kościoła stanie się dokonanym faktem. Trudno mi sobie wyobrazić ten dzień w oderwaniu od losów duchowych reszty ludzkości. Będziemy nadal potrzebowali – na użytek tej reszty świata – wszystkich ewangelicznych cnót i energii, które stanowią motor napędowy jednoczenia chrześcijan: zrozumienia dla innych, tolerancji, pokory, miłości – wszystkiego tego, co określiliśmy jako nurt pierwszy encykliki. I będzie nam w tym zawsze towarzyszył nurt drugi: twardego wymagań, pewności siebie, sztywnych planów, ambicji. Zapewne i ten nurt będzie mógł odegrać, tak jak odgrywa dzisiaj, swą pozytywną rolę, pod warunkiem jednak, że pozostanie służebny w stosunku do nurtu pierwszego.

Antoni POSPIESZALSKI

Sąsiedzi

Białorusini chcą, by było jak przedtem

ROZMOWA SIARHIEJA DUBAWCA
Z WALERYM CZEKMANEM*

S. DUBAWIEC: – *Jaki jest sens Pana projektu?*

W. CZEKMAN: – Projekt ten zaproponował Instytut Politologii Uniwersytetu w Genewie. Dokonujemy pilotażowych badań na Białorusi i Litwie i nazywamy nasz projekt „Kształtowanie nowego areału geopolitycznego w Europie Środkowej”. To znaczy, kształtowanie nowej świadomości ludzi w środowisku, które do niedawna było całkowicie komunistyczne. Projekt ma objąć całą Nadbałtykę, Białoruś, Ukrainę i Polskę. Na razie jednak przeprowadzamy tylko ankiety, uogólnienia są dokonywane w Genewie.

S.D.: – *Zbierał Pan dane na całej Białorusi?*

W.Cz.: – Faktycznie tak. Nie jest to dla mnie sprawa nowa.

Walery Czekman (1937) jest kierownikiem Katedry Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Wileńskiego oraz Ośrodka Naukowego Litewsko-Słowiańskich Kontaktów Etnogenetycznych. Poza innymi pracami naukowymi wydał książkę „Fonetyka i fonologia języka białoruskiego z elementami fonetyki i fonologii ogólnej” (Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1988, s. 325), napisaną wspólnie z Elżbietą Smółką.

W swoim czasie zajmowałem się dialektologią, i na Białorusi nie ma chyba *sielsowietu* (rada wiejska), którego bym nie odwiedził.

S.D.: – Z iloma osobami Pan rozmawiał?

W.Cz.: – Jeżeli brać pod uwagę tylko ankiety, na dzień dzisiejszy jest to 350 osób, z którymi można było porozmawiać. Bo ludzie także odmawiali udzielania odpowiedzi. Na Litwie np. nie było tak wysokiego procentu odmowy jak na Białorusi. Tam im wyższa instytucja, powiedzmy, obwodowy komitet wykonawczy, tym bardziej mogłem oczekiwać, że około 70% osób nie udzieli odpowiedzi.

S.D.: – Czym Pan może wytłumaczyć fakt, że ludzie odmawiali wypowiedzi?

W.Cz.: – Jakimś jednym czynnikiem wytłumaczyć tego nie sposób. Najważniejsze jednak to rozczarowanie ludzi, niewiara, że głos ich może coś znaczyć. Podstawowa psychologiczna przyczyna, którą człowiek motywuje swoją odmową: w ogóle nie życzę sobie uczestniczyć w tym, co się robi.

S.D.: – A czy na Litwie życzą sobie?

W.Cz.: – Tak, na Litwie ludzie są bardziej aktywni. Człowiek zdaje sobie sprawę, że od niego coś niecoś zależy. Na Litwie tłumaczyłem ludziom, że co prawda nie jestem przekonany, że coś zmienimy, uważam jednak, że nasze wyniki zmuszą tych, którzy mają władzę, do zwrócenia uwagi na nasze badania, na nasze myśli i na wasze myśli. Na Białorusi natomiast ta sztuczka się nie udaje. „Nikt na moje myśli żadnej uwagi zwracać nie będzie, nikomu moje myśli nie są potrzebne”. Ludzie odczuwają wrogość i obcość struktury politycznej i nie chcą uczestniczyć w tym, co się odbywa.

S.D.: – Niedawno w redakcji wileńskiej Naszej Niwy przeprowadziliśmy kolokwium, na którym dokonaliśmy próby

porównania sytuacji i ustalenia podstawowych różnic. Jako przykład wzięliśmy współczesną architekturę na Litwie i Białorusi. Bo architektura jak gdyby podkreśla charakter każdej epoki kulturalnej. Porównywaliśmy zwykle dzielnice mieszkaniowe, zabudowania z lat 60-80-tych. Różnica jest radykalna. Na Litwie zwykła dzielnica, dzielnica nie na pokaz, dokąd się wiezie gości z zagranicy, zbudowana jest kulturalnie, przytulnie dla człowieka. Na Białorusi wszystko jest odwrotnie, nie znaleźliśmy w całym kraju ani jednej takiej dzielnicy, którą by można rozpatrywać jako coś wartościowego, porównywać z wzorami architektury innych państw europejskich. Jeżeli gdzieś coś i jest, na przykład udane przedszkole w kolchozie, to bez wątpienia jego autorami są architekci z Nadbałtyki. Czemu więc są tak rażące różnice? Jedyne porównanie, które się nasuwa, to religia. Bądź co bądź życie religijne na Litwie za czasów sowieckich jednak trwało i dotyczyło całego narodu, w tym też i setek architektów, którzy budowali mieszkania. Sama obecność życia religijnego to jak obecność życia wiecznego, która nie pozwala człowiekowi żyć tylko wyłącznie dniem dzisiejszym. Na Białorusi wszystko jest na odwrót.

W.Cz.: – Pan poruszył tylko jeden aspekt sowietyzacji. Spoglądam na to wszystko z punktu widzenia niedalekiej historii i uważam, że wszystko na Białorusi, absolutnie wszystko, da się wytłumaczyć dwiema fundamentalnymi przyczynami. Po pierwsze ogromną proletaryzacją mieszkańców. Na Litwie tego nie było. I tam, gdzie na Białorusi ta proletaryzacja była mniejsza, powiedzmy, na zachodzie, tam sytuacja jest nieco inna. Sytuacja w Grodnie psychologicznie podobna jest do litewskiej. Bo tam coś się robi, obecna jest pewna dynamika. Ludzie możliwe mówią tak samo jak i na wschodzie, ale tu jest całkowicie inny klimat. Nawet rosyjska głęboka prowincja w pewnym sensie kulturowo zachowała się o wiele lepiej.

Proletaryzacja ludności – przyczyna z punktu widzenia historii niezbyt daleka – to jest proletaryzacja świadomości, kultury. To, co Pan mówił o architekturze, nie jest brakiem kultury, to jest kultura proletariacka. Proletariacka świadomość – wszyscy są równi, nie wychylać się, wszyscy są jedna-

kowi, wszyscy są jednakowo biedni. To jest lumpenproletariacka psychologia. Nie proletariacka nawet. Na Białorusi była ona tworzona i popierana cały czas poprzez powoływanie się na historię: ponoć Białorusini zawsze byli biedni, nieszczęśliwi, a teraz proszę bardzo, spójrzcie jak żyjemy, i dlatego – wszystko, co robimy, jest dobre.

Po drugie mówiąc o współczesnej sytuacji politycznej absolutnie wszystko można wytłumaczyć tym, że na Białorusi nietknięta została stara nomenklatura. Jej więzy są nietknięte. Ludzie pozostali ci sami co przedtem. Zmienili nieco swoje stanowiska, ale sposób ich działalności, mentalność pozostały sowieckie. I to ciekawe – tam gdzie przyszli chociaż trochę inni ludzie, jak np. w Grodnie, od razu wytworzyła się nieco inna sytuacja. Tam też komuniści, ale ludzie nowi. A dla przykładu w obwodzie mohylewskim – co stwierdziłem – nic się nie zmieniło. I dlatego też obwód mohylewski to w ogóle rezerwat. Nawet na Białorusi. Mówiąc o tym, że w Mińsku coś się robi, mówiąc o całkowitej zbiorowej obronie nomenklatury lokalnej – to jest bagienko, które zaczęło gnić i gnicię to wpływa na ludzi, na psychologię. Nomenklatura ma jeden cel – restaurację tego, co było, i w tym celu wykorzystywane jest absolutnie wszystko. Ostatni przykład – obchody Dnia Zwycięstwa.

Stara ideologia przestała być totalną, dla nomenklatury zaś wszystko co nie totalne jest wrogie. W tym sensie Święto Zwycięstwa wykorzystano wprost idealnie. Weterani mówią: walczyliśmy o Związek Sowiecki, proszę dać nam z powrotem Związek Sowiecki.

S.D.: – Czy tak mówią Pańscy respondenci?

W.Cz.: – Nie, tak mówią w radiu. Chodzi o to, że po rozmowie z dziesiątym weteranem zrezygnowałem w ogóle z tych rozmów. Są oni szalenie agresywni. Mówią do nas takimi słowami: przestańcie, panowie, zajmujcie się czymś nowoczesnym. Co, nie zna Pan zdania naszego narodu? Chcemy, żeby było jak przedtem. Wszystko! Wojowaliśmy o to, walczyliśmy o to, i żadnego innego zdania być nie może. Co jeszcze macie tu do badania?

S.D.: – Jaka grupa wiekowa jest, Pana zdaniem, najbardziej, że tak powiem, normalna?

W.Cz.: – Poniżej 20 lat nie badałem. Najbardziej normalna grupa – od 20 do 30 lat, może do 35. Młódzież. Ci ludzie reagują normalnie, adekwatnie odpowiadają, myślą. Jest kontakt. Od 35 do 50 lat – w większym lub mniejszym stopniu obojętność, skrępowanie, strach w obliczu tego, co się robi, bowiem wśród tych ludzi jest wielki procent bezrobotnych, lub częściowo bezrobotnych: oni mają dzieci, rodziny, a więc reagują na wszystko, co się odbywa bardzo ostro, głęboko. Po 60-ciu latach natomiast – stuprocentowa agresja, i jeżeli w ogóle udaje się otrzymać odpowiedź na ankietę... – Z kim musiałyby współpracować Białorusi? – Z Rosją. – A pozostali? – Nie trzeba, nie ma żadnego znaczenia. – Z kim musiałyby być wojskowy sojusz obronny? – Z Rosją. Wszyscy pozostali zdradzili nas i zdradzają. Nie trzeba, z nikim. – Czy można powiedzieć, że pan do pewnych narodowości ma pewne uczucia? – O jakie jeszcze uczucia chodzi? Wszyscy są równi, wszystkich szanuję itd. – Wszystko... Zaprzestałem. Bo i po co takie ankiety wypełniać? Mogę sobie usiąść, wypełnić setki takich ankiet i wszystko będzie prawidłowo i w porządku.

S.D.: – Prosiłbym o skomentowanie sytuacji religijnej.

W.Cz.: – Na wschodzie – na Homelszczyźnie i Mohylew-szczyźnie – około 80% odpowiada, że może i ma pewien stosunek do religii i uczucia religijne, jednak do cerkwi nie chodzi, nie chodziło i w ogóle dla tych 80% wszystko to nie ma wielkiego znaczenia. Przy czym, uważam, pewien stosunek niemniej jest, bowiem gdy pytam o nastawienie do baptystów, wszyscy odnoszą się do nich negatywnie. Bo gdyby była absolutna indyferencja religijna, wówczas... gwizdzą i na baptystów. Baptysty są jednak odbierani jako pewna siła agresywna. Cerkiew... jej nie ma. Baptysty natomiast chodzą, coś proponują. Po co chodzą?! Za to baptystów nie znosi około 90%.

S.D.: – A sami baptysty?

W.Cz.: – Rozmawiałem z nimi tylko w Grodnie. To są nadzwyczaj ciekawi ludzie, fanatycy w pewnym sensie. Dokonują wielu pożytecznych rzeczy. W dziecięcym obozie, który baptyści zorganizowali własnym kosztem i do którego wzięli dzieci z różnych rodzin, spędziliśmy cały dzień. Zobaczyłem, że dzieci rzeczywiście niczego złego się nie uczą. I dzieci są zadowolone. Co ciekawe, ludzie, którzy nie tylko słyszeli o baptyście lecz i mieli z nimi pewne kontakty, wystawiają im pozytywną ocenę: dobrzy ludzie. Jedyne co mnie u baptystów wydało się dziwnym anachronizmem to fakt, że całą swoją propagandę prowadzą po rosyjsku. Język białoruski dla nich nie istnieje. A przecież są Białorusinami, z Białorusinami przecież rozmawiałem.

S.D.: – *Jacy respondenci okazują największy pociąg do religii?*

W.Cz.: – Taką postawę widzi się u ludzi, którzy stracili pracę, nadzieję, są zrezygnowani, mają osobiste przeżycia – ktoś w rodzinie zmarł, zginął... Często także emeryci, niezależnie od ich aktywności politycznej, skłaniają się ku religii. Jest to swoiste wywoływanie z pamięci dzieciństwa. Białoruscy katolicy są bardziej aktywni w praktykach religijnych. Prawosławie żywotne jest tam, gdzie jest katolicyzm – na zachodzie. Tam natomiast, gdzie podobnych kontaktów nie ma, prawosławie faktycznie wymarło. Bo i cerkwie są zburzone, i daleko do nich, i popów nie ma...

S.D.: – *Co Pan sądzi o białoruskiej wielowyznaniowości? Wszystkie narody dookoła Białorusi budowały swoją narodową państwowość, kształtowały się jako narody na podstawie jednego określonego wyznania religijnego. Litwini ochrzczeni jako katolicy – pozostali katolikami, Polacy – również, Rosjanie są prawosławni. Na Białorusi natomiast naród jest podzielony na kilka wyznań.*

W.Cz.: – Ankieta nie przewidywała tego rodzaju pytań, dlatego też moje zdanie będzie bazowało na wynikach moich obserwacji. Prawosławie nie może być religią narodową na

Białorusi, bo korzysta z języka rosyjskiego. Będąc jednak teraz religią większości wnosi również pewien zamęt w głowy ludzi. Myślą: jesteśmy Białorusinami i trzeba przechodzić na język białoruski, dziecko posłałem do białoruskiej szkoły... Modły natomiast odbywają się po rosyjsku. Ani prawosławie, ani tym bardziej katolicyzm nie mogą pretendować do ogólnonarodowej religii. Taką religią mógłby być baptyzm, protestantyzm. Ten ostatni jednak w świadomości ludzi istnieje do dnia dzisiejszego jako sekta. O tych natomiast, którzy teoretycznie pretendują do roli narodowego soboru – o unitach – po prostu nikt nie słyszał. Na pytanie: jaki jest twój stosunek do unitów? zazwyczaj pada odpowiedź: nie słyszałem o nich nic.

S.D.: – *Do kogo stosunek jest negatywny?*

W.Cz.: – Do baptystów. Na drugim miejscu są muzułmanie. Są to dwie religie, które spotykają się z niechęcią. Do swojej tradycyjnej religii zazwyczaj ludzie odnoszą się z sympatią lub z ogromną sympatią. Religia pociąga młodzież. Jednakże i tu jest całkowity rozdzźwięk. Są i robotnicy ateści, i inżynierowie wierzący. Niekiedy spotyka się nawet Białorusinów, którzy czują się Rosjanami, mówią po rosyjsku, ale chodzą jednak do kościoła. Uważam, że stosunek do religii dopiero się kształtuje. Religie ze sobą konkurują. Katolicyzm umacnia się i odnawia szybciej. Niekiedy nawet tam, gdzie procent katolików jest mały (w Aziorach, na przykład), buduje się ogromny kościół...

S.D.: – *W Pańskiej ankiecie jest pytanie o stosunek do współpracy z innymi państwami. Poprosiłbym o komentarz. Czy Pan stwierdza, że wszyscy powszechnie wypowiadają się za Rosją?*

W.Cz.: – Bardzo rzadko spotyka się ludzi nie chcących współpracy z Rosją w pierwszej kolejności. Rozmawiałem z takimi ludźmi zawsze bardzo długo. Mają bardzo trzeźwą ocenę tego, co się dzieje w Rosji. Rozumieją, że i tam jest raczej źle i że Rosja nie pomoże nam zbyt namacalnie. Tym nie-

mniej za współpracą z Rosją w pierwszej kolejności jest 99% zapytanych. Z innymi? – zaczynają myśleć, zastanawiać się...

S.D.: – A z kim nie trzeba w pierwszej kolejności?

W.Cz.: – Nie trzeba współpracować z Kaukazem, z Gruzją, następnie Iran, Chiny, dalekie państwa, gdzie coś się odbywa, coś niezrozumiałego, z tamtym więc „nie trzeba”.

S.D.: – Jak można by określić ich stosunek do sąsiadów?

W.Cz.: – Z Litwą – najwięcej negatywnych odpowiedzi: „Nie trzeba”.

S.D.: – Czym to wytłumaczyć?

W.Cz.: – Nie pytałem, bo to nie moje zadanie. Z ogólnego kontekstu natomiast widzę, iż jest to taka polityczna wskazówka – nie trzeba mieć nic wspólnego z Nadbałtyką.

S.D.: – Jaki jest stosunek do Polski?

W.Cz.: – Im dalej na wschód, tym bardziej Polska jak gdyby przestaje w ogóle istnieć. Na wschodzie nie wydziela się jej z innych państw europejskich. Wszystkie są bardzo daleko. Mogą być, mogą nie być. I nie potrzebna nam żadna współpraca ani z Anglią, ani z Francją, ani z Polską, ani ze wszystkimi naraz. W obwodzie brzeskim natomiast współpraca z Polską, to niemal tak jak z Rosją, tyle że nie konkuruje z nią. Polska znajduje się tu na drugiej pozycji i konkuruje z Ukrainą. O ile na wschodzie stosunek do Polaków jest obojętny, to na Grodzieńszczyźnie, są i negatywne odpowiedzi i negatywny stosunek do Polaków. Bowiem naród ten jest tu dobrze znany.

S.D.: – Czym można wytłumaczyć takie nierozważne oddanie Rosji?

W.Cz.: – Uważam, iż jest to problem numer jeden. Rozwijając go można prześledzić całą strukturę narodowej świadomości Białorusinów.

S.D.: – Czy można powiedzieć, że dzieje się tak z braku wiadomości o samej Polsce, Litwie? Gdy ludzie są odgradzeni od świata i propaganda kieruje ich tylko w jedną stronę...

W.Cz.: – To, co się robi w środkach masowej informacji odpowiada temu, co ludzie czują. Niekiedy myślę, że informacje nadawane przez radio i telewizję sprzyjają tylko temu, co jest w rzeczywistości.

Chodzi o to, że większość Białorusinów w miastach język rosyjski uważa za język ojczysty. Faktycznie nie spotkałem rodziny, w której język białoruski byłby językiem domowym. Język rodziców wywodzących się ze wsi to, jak sami mówią, język rosyjsko-białoruski. Przenieśli się do miasta i jak gdyby oczyszczają swój język z białorusycyzmów, starają się przerabiać go na rosyjski.

S.D.: – I proces ten odbywa się nadal?

W.Cz.: – Co więcej, umocnił się obecnie.

S.D.: – Podobne dążenia u poprzednich pokoleń doprowadzały do pewnych deformacji językowych, mówią na przykład „riba” zamiast „ryba” czyli zmiękczenia gdzie trzeba i nie trzeba. Czy dzisiejsza młodzież ma coś podobnego? Czy nie obserwował Pan takiego dążenia u młodych: zniszczyć w sobie akcent białoruski?

W.Cz.: – Chodzi o to, że ludzie nie wiedzą jak ten akcent powstaje. Wszystko polega na intuicji. Każdy działa jak potrafi. To jest proces żywiołowy. Wszyscy co chcą mówić czysto po białorusku, mówią z akcentem czy też z mocnym akcentem czy w ogóle nie po białorusku w sensie fonetycznym.

S.D.: – Jak Pan ocenia szanse białoruszczyzny w przyszłości? Czy jest rzeczą realną, żeby cały naród zaczął mówić po białorusku?

W.Cz.: – Na razie to nie jest realne. Chodzi jednak nie tylko o język. Język to tylko środek. Nie to jest ważne, że zostali rosyjskojęzyczni lub że uważają się za takich. Chodzi o to, że propagują kulturę rosyjską. Co to znaczy kultura? Rosyjska historia – to ich historia, i stara i nowa. Rosyjska rewolucja – to ich rewolucja. Wszystkie rosyjskie wojny – to ich wojny. Rosyjska literatura – to ich literatura. To nie tylko szkoła, to cała przestrzeń informacyjna. Nie dlatego, że tak bardzo chcą być z Rosją, że są rosyjskojęzyczni, ale dlatego, że są ludźmi o rosyjskiej kulturze.

S.D.: – Czy można to nazwać kulturą?

W.Cz.: – Nie umiem określić tego inaczej. Pan może nazywać to „rosyjskim kompleksem kulturalnym”... I jako tacy nie potrafią sobie wyobrazić, w jaki sposób mogą zostać niezależnymi. Stąd też ta wyczuwalna reakcja. Nie posiadanie ścisłych kontaktów z Rosją oznacza dla nich: nie mieć oparcia dla swojej kultury. A to znaczy, że muszą przechodzić do innej kultury, muszą pojmować i adaptować inne wartości kulturalne. A to jest rzeczywiście bardzo trudny proces.

S.D.: – A czy człowiekowi aż tak potrzebne jest oparcie? Opuścza szkołę i często już nie będą mu potrzebni ani Puszkina z Lermontowem, ani Iwan Groźny z Iwanem Kalitą...

W.Cz.: – Pozostaje jednak radio, pozostaje telewizja, cztery czy pięć rosyjskich kanałów bez alternatywy. Człowiek żyje w tym otoczeniu. Białoruskiej telewizji nikt nie chce oglądać. Dlatego też ludzie tak ostro krytykują wydarzenia w moskiewskiej Dumie, natomiast gdy bojówkarze prezydenta zbili grupę deputowanych w białoruskim parlamencie, nic to nikogo nie obchodziło.

S.D.: – Może nie wiedzieli?

W.Cz.: – Wiedzieli! Nikt jednak nie uważał tego za wydarzenie poważne. Co to za parlament, jacy deputowani... Ta całkowita obojętność do swego podkreśla całą ich orientację – z początku kulturalną, później zaś polityczną.

S.D.: – W związku z tym może Pan będzie łaskawy powiedzieć o stosunku ludzi do białorutenizacji, do tych partii i stowarzyszeń o ukierunkowaniu odrodzeniowym, które reprezentują nową narodową kulturę i ideologię.

W.Cz.: – Bardzo interesowałem się tym zagadnieniem, pytanie to zadawałem i studentom, i inteligencji, i robotnikom. Ludzie albo się nie interesują, albo to do nich nie dociera. Możliwe też, że i pierwsze i drugie naraz. W ogóle cała prasa odrodzeniowa ukazuje się po białorusku, a to trzeba jeszcze przeczytać po białorusku... Pewien mieszkaniec Mohylewa powiedział, że to, co oni tam w Mińsku gadają, „*mnie nie nużna sa sławarom wsjo pierawadzić*”. Nowe wyrazy, nowe pojęcia wywołują u nich wrażenie nowego języka a tym samym i niechęć – lepiej się z tym nie związywać. Mam takie wrażenie, że odrodzenie nie chwyciło, bo nie zostało zrozumiane, nie wywołało reakcji. Zacząłem już nawet myśleć, że może wszystko należałoby dać po rosyjsku. Mnie się wydaje, że znalazłoby się wtedy niemało ludzi, którzy by poparli. Czemu? We wszystkich miastach, gdzie pracowałem, spotykałem sporo ludzi, których rodzice są Rosjanami (według paszportu, według języka, i czują się Rosjanami); sami siebie natomiast wpisują jako Białorusinów. Są też i Białorusini, którzy Białorusinami są tylko w paszporcie, uważają się za Rosjan, mówią po rosyjsku, mają jednak sympatię do odrodzenia.

S.D.: – Czego ludzie w ogóle się spodziewają?

W.Cz.: – Mam wrażenie, że Białorusini w 90% byliby szczęśliwi, gdyby się obudzili z rana i wszystko byłoby jak przedtem. Nie ma żadnego punktu orientacyjnego na przy-

szłość, tylko powrót do przeszłości. Dla człowieka jest to jednak rzecz nienaturalna...

S.D.: – Minęło pięć lat a więc wystarczająco czasu by odrzucić przeszłość i patrzeć w przyszłość, jak to uczynili Litwini. Tu w ciągu ostatnich pięciu lat wszystko jest negatywne. To co było za poprzedniego ustroju i co wchodziło do ogólnej świadomości poprzez gazety jak i poprzez władzę oficjalną – krytyka cenzury, totalitaryzmu, antydemokracji, krytyka, która wówczas formowała „fałę” w świadomości społecznej, nie przeszła niestety w nową konstruktywną ideę. Natomiast wszystko co negatywne poszło w niepamięć... Pamięta się tylko dobre.

W.Cz.: – Tak jest w rzeczywistości. Obecnie można zaobserwować, jak jest przygotowana restauracja. Restauracja ZSSR, partii komunistycznej, wszystkich struktur – krócej, wszystkiego co było. W ogóle historia daje nam przykłady restauracji. Restauracja władzy królewskiej we Francji, po Cromwellu – w Anglii itd. I mnie się wydaje, że Białoruś to jedyny, najbardziej realny ośrodek, gdzie można spróbować odbudować to, co było. Psychologicznie ludzie by to odebrali normalnie. Dlatego też polityczni liderzy na Białorusi mogą sobie pozwolić dzisiaj na to, co wydaje się nam absolutnie straszne, nam, ludziom, którzy już nieco od tego odeszli. Na Białorusi to jednak wygląda normalnie. Bowiem przedtem też robiono to samo. Czyż nie robił tego pierwszy sekretarz? Był władcą. Wszystkie przywileje władzy przerzucono obecnie na prezydenta nie zdając sobie sprawy, że jest on nową rzeczywistością polityczną. Prezydent sam też tego nie rozumie. Zachowuje się jak pierwszy sekretarz.

Dlatego też wszystko idzie w kierunku odbudowy. Nie wykluczone, że odbudowy ZSSR, nawet jeżeli ZSSR będzie się składał tylko z Białorusi. W granicach białoruskiej mentalności politycznej będzie to odbierane jako coś, co powinno być. To po pierwsze.

Po drugie. Zrozumiałem, że ludzie nie widzą swojej przyszłości. W telewizji, w radiu podaje się informację, której sens sprowadza się do hasła – chłopaki, trzymać się! Chodzi

głównie o zachowanie dawnej struktury zatrudnienia. W jakim celu? Myśl nadzwyczaj prosta – człowiek od czasu do czasu idzie do pracy i tak sobie myśli: aha, nieco pocierpię, później zaś wszystko będzie dobrze. Tych natomiast, którzy mówią, że trzeba coś robić, że Rosja już sprywatyzowała się, że tam już inna gospodarka, że nie możemy ot tak prosto do niej dołączyć – nikt nie rozumie.

S.D.: – A więc rozwijają się tylko procesy powrotu. Czy w świadomości ludzi kielkuje jakieś inne myślenie?

W.Cz.: – Nawet w Grodnie, gdzie procesy są podobne do wileńskich, nawet tam jest ogromne poczucie tymczasowości wszystkiego, co się obecnie odbywa. Dawaj, dawaj, handluj... Ci natomiast, którzy handlują, mają tylko jedyne życzenie: schwycić – oto teraz zahandlujemy, później schowamy się i nas nie będzie...

S.D.: – Poczucie tymczasowości przekształca wszystkich prywatnych przedsiębiorców w zdzierców? Coś podobnego do NEP-u?

W.Cz.: – Lenin mówił, że NEP potrwa długo... Tu natomiast – załapać, później zaś może znowu „normalnie” pójdziemy do pracy. Jest poczucie tymczasowości. W Mohylewie natomiast i tego nie ma. Tam handlarze, tak mi się wydaje, siedzą w swoich kioskach podobnie jak w okopach podczas wojny. Ludzie przechodzą i tyle że nie plują jeszcze na te kioski. A co się mówi pod ich adresem! Oni siedzą jak w czołgach.

Mohylew – to rezerwat. W Homlu już nieco lepiej, tam trwa pewna wymiana z Ukrainą. Homelski proletariats jednak jest bardzo podobny do mohylewskiego. Tam ich również zapędzili do domów – chłopcy, czekajcie! Kilometrowe oddziały zakładów maszyn rolniczych, wszystko pracuje krótko albo w ogóle nie pracuje. I też – trzymajmy się, chłopcy, trzymajmy! Nomenklatura zaś stara, wszystkie więzi zachowały się, co się wcześniej robiło – szacher-macher – robi się i teraz. Na czarnobylskiej tragedii nomenklatura zbija szalone pieniądze. Ludzie przecież na miejscu wszystko widzą...

S.D.: – Stawia Pan jeszcze pytanie: jaki jest wasz stosunek do następujących narodowości. I dalej idzie wyliczanka. Poprosiłbym, jeżeli można, o komentarz odpowiedzi.

W.Cz.: – Najbardziej bałem się zadawania podobnych pytań na Białorusi. Dopiero gdy miałem dobry kontakt z człowiekiem wówczas zaczynałem mówić i o tym. Bo bez przygotowania wywoływało to oburzenie: – jaki to niby stosunek mam mieć do innych narodowości?! Robiłem nawet następujący wstęp: jesteśmy internacjonalistami, do wszystkich nasz stosunek jest dobry, jednak na poziomie naszego bytu, kuchni, powiedzmy, odczuwamy do kogoś większą sympatię. To nie jest nacjonalizm, nie jesteśmy nacjonalistami...

S.D.: – Przepraszam, o ile mi wiadomo, pytanie takie to międzynarodowy standard takich ankiet...

W.Cz.: – Na Białorusi jednak szło to z oporami. Emeryci, byli pracownicy partyjni i komsomolcy natychmiast odpowiadali: sympatyzujemy ze wszystkimi, i już! Nie mamy żadnych innych uczuć. – Nie badam, czy jesteście internacjonalistą, wiem, że jesteście, podobnie jak i ja – mówiłem. I dopiero wówczas zaczynały się odpowiedzi.

Odpowiednio do orientacji na Rosję Białorusini zazwyczaj do Rosjan mają największy, najwyższy stopień sympatii. Niekiedy nawet większy niż do Białorusinów. Dalej według sympatii idą Ukraińcy, przy czym w Homlu Rosjanie i Ukraińcy są na jednym poziomie, w Mohylewie Ukraińcy pozostają już w tyle, w Grodnie natomiast ci sami Ukraińcy są gdzieś wśród innych narodowości, już daleko. Aczkolwiek jest duża liczba odpowiedzi – kto za Rosjanami, ten i za Ukraińcami, niemal automatycznie. Jeżeli brać byłę republiki sowieckie, to Litwa wywołuje większą sympatię, niż Estonia i Łotwa. Estończyków i Łotyszy po prostu zna się mniej. Wśród krajów zachodnich Niemcy zawsze stuprocentowo są na pierwszej pozycji. Tylko ludzie starzy, emeryci mają do Niemców negatywny stosunek, aczkolwiek nawet weterani mówili niekiedy: No, cóż, walczyliśmy, ale Niemcy to dobrzy ludzie. Niemcy jak gdyby są obecni na Białorusi. Bardziej niż inne narody.

S.D.: – Bardziej niż Polacy? Przecież masa Białorusinów odwiedza Polskę. Statystyka podaje, że liczba ta rocznie wynosi miliony...

W.Cz.: – Polacy jednak nie pomagają ofiarom Czarnobylu. Polacy nie tworzą aż tylu wspólnych przedsiębiorstw, nie proponują technologii...

Co do antypatii, największą wśród byłych narodów sowieckich wywołują Gruzini. Na drugim miejscu są Uzbeki. Z nadbałtyckich narodów – stosunek do Estończyków i Łotyszy może być często obojętny, do Litwinów natomiast – albo sympatia albo też antypatia.

Ogromna antypatia do Chińczyków. Cała Azja, Kaukaz wywołują dość wielką ilość antypatii. Zdziwił mnie fakt, że mimo istniejącej sympatii czy antypatii do Litwinów to dla Białorusinów faktycznie nie istnieje Skandynawia. Albo nie wiedzą, że w ogóle coś takiego jest, albo – obojętność i twierdzenie, że współpracować z nimi nie ma żadnego sensu. W odróżnieniu od Litwy, gdzie Skandynawowie mają takie samo znaczenie i wagę jak kraje Europy Zachodniej. Dla Białorusinów Skandynawia nie istnieje. Zamaskowaliśmy Szwajcarię i podaliśmy ją wśród krajów skandynawskich, jednakże Szwajcaria wymieniana jest często, ludzie wiedzą, że to bogaty kraj, że tam są banki, o niej się mówi i dlatego w sensie orientacji wypada z listy państw skandynawskich.

S.D.: – Jak Białorusini ustosunkowują się do Białorusinów?

W.Cz.: – Pytanie to wywoływało nieprzyjemne uczucia. „Jestem badany, a dla mnie to sprawa nieprzyjemna. Nie trzeba mnie badać, wiemy, jacy jesteśmy. Proszę nie ruszać...” Zdziwił mnie standardowy dobór charakterystyk Białorusinów ze strony ich samych. Standardowy i bezkrytyczny. Pracowici, skromni, gościnni. I wszystko. Na Litwie nazbieraliśmy dość pokaźną ilość krytycznych uwag Litwinów o Litwinach. Przeważa krytyczny nastrój. Ludzie często odpowiadali w ten sposób: jestem, rzecz jasna, częścią tego narodu, stosunek mój jest jednak krytyczny. U Białorusinów – standard. Pracowici, skromni, cierpliwi (wszystkich przyjmują).

ją, wszystkich tolerują). Jeżeli ktoś ustosunkowuje się do Białorusinów krytycznie, to cechy, które określano tam jako pozytywne, stają się tu negatywnymi: „oni są cierpliwi, niesamodzielni” itd. Tam jednak były to jakości moralne, tu natomiast w sensie politycznym: cierpliwość już ujemna cecha. I jeżeli ktoś zaczyna rozważać o Białorusinach bardziej obszernie, to mówi faktycznie: – wstydę się za Białorusinów. Są niesamodzielni, słuchają innych, mają kompleks wielkiego brata, nie szanują swojej kultury, swoich wartości... Wymieniam zgodnie z częstotliwością podawania. Brak szacunku do swego, własnego. Jeżeli ludzie rozważają krytycznie – to jest podstawowa cecha. Pozostali zaś mówią: naród nieenergiczny, czegoś nie robi... Co ja, ja właściwie nie naród. Naród powinien działać, a nic nie robi, stoi na miejscu i czeka.

S.D.: – *Co będzie wynikiem tych badań?*

W.Cz.: – Chcemy ułożyć monografię, gdzie zostanie wykorzystany porównawczo białoruski i litewski materiał. Damy historyczny wstęp, pokazując, że losy tych narodów mają dużo wspólnego. Są to narody politycznie jednego korzenia, różna jest jednak ich droga do niezależności, różni się też mentalność polityczna. Następnie przejdziemy do analizy tych wyników. W ten sposób otrzymamy pewien punkt wyjścia i będziemy pracować dalej, porównując inne narody. Najważniejsze jest to, że na podstawie uzyskanych informacji o poglądach ludzi, o zależności tych poglądów od kultury człowieka, języka, wewnętrznych przekonań – chcemy ukazać procesy kształtowania się nowej mentalności. Żeby można było wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Wilno, maj 1995

Rozmowę przeprowadził Siarhiej DUBAWIEC

Notatki rosyjskie

W dniu 6-go sierpnia przedstawiciele Rosji i Czeczenii podpisali zawieszenie broni. Wojna trwała osiem miesięcy. Zginęło – według oficjalnych danych – 1800 rosyjskich oficerów i żołnierzy oraz (obliczenia są niepełne) 10 tysięcy partyzantów czeczeńskich. Grozny leży w gruzach. 350 tysięcy uciekinierów szuka dachu nad głową.

Pertraktacje trwały sześć tygodni. Podpisanie rozejmu rozbijało się o dwie kwestie: suwerenność Czeczenii i stworzenie rządu tymczasowego. Rosja gotowa jest, powiedział kierownik delegacji moskiewskiej, przyznać Czeczenii większą samodzielność aniżeli Tatarii i Baszkirii, ale pod warunkiem, że Czeczenia zostanie członkiem Federacji Rosyjskiej. Czeczeńcy domagają się pełnej niezawisłości.

Ten problem zostanie rozwiązany, bowiem idzie o słowa. Czeczeńcy wiedzą, że nawet jeśli zdobędą całkowitą niezależność, nie wydobędą się z kleszczy gór i otaczających ich wrogich państw. Czeczenia z żadnym ze swych sąsiadów nie utrzymuje przyjaznych stosunków (Gruzja z nią walczy). Rosjanie wiedzą, że wojna nie ma sensu. Wygrali ją na polu bitwy, ale walka z Czeczeńcami może trwać dziesiątki lat. Tego nie chce ani Moskwa, ani Czeczenia, mimo że w obu krajach istnieją partie przychylnie wojnie.

Powody wojny czeczeńskiej jak były, tak są niejasne. Niezaprzeczalnym faktem jest tylko, że wywołały ją wewnętrzne konflikty na Kremlu, którym posłużyły konflikty w kierownictwie republiki czeczeńskiej.

Rozejm w Czeczenii pozostawił rysy w kremlowskich kuluarach władzy. Borys Jelcyn przechwycił pokojową inicjatywę Czernomyrdina i wziął odpowiedzialność za podpisanie pokoju na siebie. Sąd Konstytucyjny uznał, że wysłanie wojsk do Czeczenii – z ukazu Jelcyna – było legalne, czym raz jeszcze dał dowód przewagi prezydenta nad parlamentem. Władza ustawodawcza i sądowa podporządkowały się władzy wykonawczej.

Jedynym ustępstwem pod adresem Dumy było zwolnienie osób winnych porażkom wojennym, mianowicie dyrektora bezpieczeństwa Siergieja Stiepaszyna i ministra spraw

wewnętrznych Wiktora Jerina. Duma domagała się przede wszystkim głowy ministra obrony Graczowa, ale Jelcyn go uratował.

Po dymisjach nastąpiły nominacje. Dyrektorem Federalnej Służby Bezpieczeństwa, panem na Łubiance, jak lubią mawiać dziennikarze, został mianowany generał-pułkownik Michaił Barsukow. Liczy 47 lat i cały szlak bojowy przeszedł na Kremlu, od dowódcy oddziału do – ostatnia funkcja – naczelnika Głównego Zarządu Ochrony Federacji Rosyjskiej, w skrócie GUO, i komendanta Kremla. Jądrzem GUO był IX Departament KGB ZSSR, czyli ochrona rządu. W listopadzie 1993 roku Borys Jelcyn stworzył dwie służby ochrony kremlowskiej: jedną własną, którą dowodził Aleksander Korżakow, drugą ogólną pod dowództwem Barsukowa.

IX Departament zatrudniał 10 tysięcy osób. GUO łącznie nie mniej niż 40 tysięcy. Barsukow radził sobie doskonale, szpiegując i podsłuchując wszystkich. Nawet najwyżsi urzędnicy kremlowscy nie odważali się otwarcie rozmawiać w swoich gabinetach. Rozmowy prowadzili na kartkach.

Znawcy polityki kremlowskiej twierdzą, że Korżakow – dopiero co mianowany generał-lejtnantem – jest przełożonym Barsukowa i sprawuje też pieczę nad FSB (Łubianka).

Ministrem spraw wewnętrznych mianowano byłego wiceministra Aleksandra Kulikowa, który uprzednio dowodził wojskami wewnętrznymi i zgrupowaniem wojsk w Czeczenii. Wiktora Jerina posłano na stanowisko wicedyrektora wywiadu zagranicznego.

Wywiad – zagraniczny, wewnętrzny i kremlowski – bardzo niepokoi Borysa Jelcyna. Chciałby wiedzieć wszystko, słusznie uważając, że wszechwiedza jest opoką władzy. Nie bez kozery dziennikarze nazywają generała Korżakowa najsilniejszym człowiekiem na Kremlu: to on informuje prezydenta o tym, co uważa za stosowne mu powiedzieć.

Mniej mówi się o zastępcy Korżakowa, generale Georgiju Rogozinie (tylko generałowie mogą zapewnić bezpieczeństwo!). W odróżnieniu od pozostałych (bardzo licznych) generałów – dotyczy to również generałów KGB, gdzie zrobił karierę 43-letni podwładny Korżakowa – Rogozin rozumie, że istnieją siły mocniejsze od kremlowskich wodzów, mianowicie siły tajemne. Generał Rogozin kieruje Departamentem Analiz, podporządkowanym generałowi Korżakowowi. Z tego tytułu awizuje horoskopy, które regularnie spływają na biurka najwyższego kierownictwa kraju. Rogozin porozumiewa się z

kosmosem w kwestiach budżetowo-finansowych, czyta fusy od kawy, wiruje stolikami i spodeczkami w gabinecie służbowym, stwarza wokół prezydenta „sprzyjające pole magnetyczne” i ustawia łóżko Jelcyna równo na osi północ-południe. Krótko mówiąc, „dba o wszechobejmującą strefę bezpieczeństwa wokół najwyższego dostojnika państwowego”.

Dziennikarz Siergiej Parchomienko, autor wizerunku „czarnego maga przy prezydencie”, dodaje, że „Georgija Georgijewicza Rogozina boją się i nienawidzą setki ludzi. Właśnie w takiej kolejności: boją się i nienawidzą”.

Dziwne rzeczy dzieją się na Kremlu. Znow panoszą się tajemnice, sekrety, zagadki. Pewne jest jednak, że od końca 1993 roku umacniała się władza prezydenta. Świat wciąż staje przed zagadkami: a to on chory, a to zdrowy, a to coś podpisał, ale nie opublikował, a to opublikował, ale nie wiadomo czy przeczytał... Odpowiedź na te zasadnicze pytania jest jedna: ostateczne decyzje podejmuje Jelcyn. Pod wpływem Korżakowa, sił tajemnych albo Ludmiły Pichoja, niezmiennej od wielu wielu lat pomocnicy (zwanej „żelazną kobietą”).

Prezydent jest twardym ośrodkiem w morzu burzliwej przebudowy gospodarczej. W Rosji – podobnie zresztą jak w innych krajach – chętnie wraca się do dawnych wzorów. Rzadko dzieje się to świadomie, na ogół mało kto zdaje sobie sprawę, że to, co przeżywa, już kiedyś się zdarzyło. Nawet tak unikalne zjawisko jak przejście od socjalizmu do kapitalizmu ma w Rosji analogię. W latach 80-tych XIX wieku, po reformach Aleksandra II i przede wszystkim po uwłaszczeniu chłopów, Rosja ruszyła do kapitalizmu. Podobieństw do dzisiejszej sytuacji można znaleźć wiele, zaczynając od głównych. Wielkie reformy Aleksandra II wzbudziły powszechne niezadowolenie. Francuski historyk Anatol Leroy-Beaulieu, który pod koniec XIX wieku napisał książkę pt. „Imperium carów i Rosjan”, dziwił się: w Stanach Zjednoczonych wywołano Murzynów w tym samym czasie, kiedy w Rosji chłopów. Amerykanie walczyli, ponieśli ogromne ofiary, ale z rezultatu byli zadowoleni. Rosjanie wyzwolili się carskim ukazem, bez strat – i byli bardzo niezadowoleni. Zdumionemu Francuzowi odpowiedział – znacznie wcześniej – Fiodor Dostojewski, który pod koniec „Zapisków z Domu Umarłych”, tak pisze o uczuciach po uwolnieniu: „Wskutek marzeń i długiego odzwyczajenia wolność wydawała się w

naszym więzieniu jakąś swobodniejszą od prawdziwej wolności, to znaczy tej, która naprawdę istnieje. Aresztanci wyolbrzymiali pojęcie prawdziwej wolności, co jest naturalne i właściwe dla każdego więźnia". Tak samo Rosjanie po zniesieniu ustroju komunistycznego czekali na coś, co byłoby większe od wolności. Myślę, że „syndrom Dostojewskiego” dałby się zaobserwować i w innych krajach postkomunistycznych.

Nie wchodząc w powody, zauważę tylko, i w ubiegłym stuleciu, i dziś droga do kapitalizmu wymagała – i wymaga – stworzenia systemu finansowego. Ukoronowaniem działań budowniczych finansów rosyjskich – ministrów Bunge, Wysniegradskiego, Witte – było przejście w 1895 roku do złotego rubla. Podobnie droga od socjalizmu do kapitalizmu zaczęła się od finansów. Banki rodzą się jak grzyby po deszczu. Prywatyzuje się banki sowieckie, zakłada się zaczynając od zera nowe banki, prywatne. Jedne są ogromne, drugie małe, jedne gangsterskie, drugie prawdziwe. Powoli zaczynają grać rolę nie tylko ekonomiczną, ale też polityczną, wspierając pewne partie i ruchy, gazety i stacje radiowo–telewizyjne.

Pominę kwestię, czy kapitalizm jest ustrojem godnym poparcia czy nie, lepszym od socjalizmu czy gorszym. Stwierdzam tylko rolę banków w przejściu do gospodarki rynkowej. Ta rola spowodowała „polowanie na bankierów”. Przez ostatnie półtora roku zamordowano w Rosji szesnastu bankierów. Na początku sierpnia otruto wybitnego finansistę Aleksandra Kiwielidi. Postępu, mawiają Francuzi, nie da się zatrzymać. Bankierów zarzynano, strzelano, aż wreszcie – by użyć formuły policyjnej – zastosowano rzadki metal, kadm.

Rywalizacja banków, wojna prowadzona najbardziej prymitywnymi metodami (mimo kadmu) jest z jednej strony „dziecięcą chorobą kapitalizmu”, z drugiej chęcią zatrzymania rozwoju kapitalizmu, przeciwstawieniem się jemu. Wystarczy rzucić okiem na *Prawdę, Zawtra* (Jutro) i im podobne publikacje, aby znaleźć wybór oskarżeń, które były znane i wykorzystywane w XIX wieku. Dość wspomnieć, że „Protokoły Mędrców Syjonu” zostały sporządzone dla zdemaskowania polityki finansowej Siergieja Witte, którego przedstawiano jako narzędzie w rękach Żydów. Falszyfikat ten początkowo nie znalazł żadnego odzewu ani w Rosji, ani tym bardziej

za granicą. Dopiero w 1919 roku, kiedy rosyjscy emigranci w Niemczech zaczęli wymachiwać „Protokołami” dla wyjaśnienia rewolucji bolszewickiej i III Międzynarodówki, stały się one lekturą obowiązkową wszystkich antysemitów.

Szok po zetknięciu z wolnością, która niczym nie przypominała tej, której oczekiwano, zaczął mijać. Świadczy o tym kielkujące odrodzenie gospodarki rosyjskiej. Jeszcze kruche, bo wiele ważnych problemów czeka na rozwiązanie, świadczy ono jednak o jej sile żywotnej. Jest charakterystyczne, że zagraniczni obserwatorzy wyrażają się o dzisiejszej gospodarce rosyjskiej lepiej, aniżeli miejscowi analitycy. Zachodni komentatorzy uważają, że sukcesy przypisać należy głównie „prywatyzatorowi” Anatolemu Czubajskowi, dyrektorowi Banku Centralnego Tatianie Paramonowej i premierowi Wiktorowi Czernomyrdinowi. W Dumie ci trzej urzędnicy są przedmiotem najzacieklejszych napaści. Tatiana Paramonowa znów nie została zatwierdzona na swym stanowisku i pozostaje „pełniąca obowiązki”. Nowe banknoty, które Bank Centralny puścił w obieg – 10- i 50-tysięczne – świadczą o tym, że inflacja jest umiarkowana, i nie przekształciła się w hiperinflację, którą zapowiadali przeciwnicy kapitalizmu.

Zwolennicy gospodarki rynkowej chcą konkretów – pieniędzy i dóbr materialnych. Gotowi są walczyć o nie rozmaitymi sposobami i osobistym wysiłkiem. Przeciwnicy też chcą pieniędzy i dóbr, ale oczekują ich od państwa. Dlatego głównym marzeniem piewców powrotu do „upojnego dnia wczorajszego” jest silne mocarstwo. Wydawcą wspomnianego wyżej tygodnika *Zawtra* jest Aleksander Prochanow, autor sowieckich powieści kolonialnych, którego w dawnych dobrych czasach nazywano „słowikiem sztabu generalnego”. Podtytuł pisma zapowiada „organ duchowej opozycji”. W numerze 27-mym z lipca 1995 przeczytałem z wielkim zainteresowaniem wywiad z Siergiejem Baburinem, prawnikiem, który zjechał do Moskwy na fali *pierestrojki* i został gwiazdą, „rycerzem mikrofonu” gorbaczowskiej Rady Najwyższej. Dziś jest deputowanym do Dumy i przywódcą Rosyjskiego Związku Narodowego (ROS), którego ideologię sam nazywa „narodowym fundamentalizmem”.

W nowej Dumie ROS może zostać częścią bloku nacjo-

nalistycznego: Siergiej Baburin jest spokojniejszy, bardziej opanowany i prezentuje się przyzwoiciej niż Żyrynowski.

Rozmowa Aleksandra Prochanowa i Siergieja Baburina to opowieść o marzeniach rosyjskich „fundamentalistów”. „Ja osobiście – oświadcza Siergiej Baburin – nigdy nie bałem się słowa <imperium>... Rosja uformowała się historycznie – ciągnie dalej – jako scentralizowane, wielonarodowe imperium, rozłożone na nieobjętych połaciach Eurazji”. Aleksander Prochanow całkowicie zgadza się z przedmówcą: „Wszyscy jesteście mocarstwowcami, zwolennikami imperium. Rozpad Związku Sowieckiego, tego geopolitycznie świetnego narzędzia zjednoczenia, jest osobistą tragedią każdego z nas. Wszyscy tak czy inaczej stawiamy sobie za cel odrodzenie naszej wielkiej imperialnej całości”. Siergiej Baburin oznajmia, że on nie tylko pragnie imperium, ale też wie, jak je wskrzesić. Po pierwsze, należy przyłączyć do Federacji Rosyjskiej terytoria czy były republiki na prawach członków federacji, po wyrażeniu woli ludności. Po drugie – sposób „może spokojniejszy, przyznaje wódz ROS, choć i dłuższy” – „należy stworzyć Związek Rosyjski drogą zespolenia dzisiejszej Federacji Rosyjskiej z Białorusią, Ukrainą i innymi republikami”.

Siergiej Baburin uważa siebie oraz swoją partię za lewicę. Prawica – jego zdaniem – to ci, którzy bronią „własności prywatnej, ekonomicznego i duchowego egoizmu”. „Lewica” łączy „konserwatyzm w zdrowym sensie tego słowa z zasadą stabilności i planowego reformowania w duchu naszego tradycyjnego układu ekonomicznego, w tym i kolektywnego modelu życia, uprawiania roli i przede wszystkim własności ziemskiej”.

Program gotowy. Pozostaje tylko zebrać wyborców. Siergiej Baburin – na razie – nie myśli ani o rewolucji, ani o zdobyciu władzy siłą.

11.8.95

Adam KRUCZEK

Notatki Redaktora

Wojna domowa w krajach byłej Jugosławii pogłębia się i rozszerza, pociągając za sobą setki tysięcy ofiar przy całkowitej bezradności wielkich mocarstw. Tadeusz Mazowiecki słusznie zrezygnował z funkcji specjalnego sprawozdawcy ONZ-tu, widząc, że jego raporty o łamaniu praw człowieka nie dawały żadnych rezultatów. W przeciwieństwie do mocarstw, Polska na Bałkanach nie ma żadnych interesów. Nie ma też ani możliwości ani koncepcji rozwiązania tego konfliktu. Powinniśmy więc jak najszybciej wycofać nasze oddziały z *Casques Bleus*, ograniczając się tylko do pomocy humanitarnej.

Rada Polonii Belgijskiej wystosowała memoriał do marszałków Sejmu i Senatu protestując przeciwko sytuacji, w której emigracja jest traktowana jako obywatele drugiej kategorii: mają prawa wyborcze ale nie mogą być wybierani. Rada Polonii uważa, że emigracja powinna mieć swoją reprezentację w parlamencie, gdyż jej pozycja i znaczenie w poszczególnych krajach świata mogą być dla Polski bardzo pożyteczne. Rada Polonii Belgijskiej zwraca również uwagę, że otwarcie granic Unii Europejskiej dla obywateli polskich w 1991 roku doprowadziło do masowych wyjazdów do krajów zachodnich. Belgia jest jednym z tych krajów, gdzie od kilku lat przebywa nielegalnie kilkanaście tysięcy osób, wśród których jest duży procent elementu niepożądanego. Rada uważa, że wydawanie paszportów powinno być ograniczone i połączone ze świadectwami moralności, jak to się stosuje w innych krajach.

Postulaty Polonii belgijskiej wydają się nam zupełnie słuszne.

Najlepszym rozwiązaniem byłoby wprowadzenie do Senatu instytucji wirylistów spośród działaczy polonijnych na

świecie. Jak jest to ważne przykład daje Francja, która przyznała 12 foteli senatorskich Francuzom żyjącym poza krajem, a których ilość jest znikoma w porównaniu z Polakami.

Bardzo niepokojąco wygląda sprawa bezpieczeństwa komunikacji między Polską a Wschodem. Od czasu głośnego wydarzenia na Dworcu Wschodnim w Warszawie – gdzie rosyjscy pasażerowie pociągu Paryż – Moskwa zostali ograbieni przez mafię rosyjską – notuje się coraz więcej wypadków grabienia pasażerów autobusów jadących na wschód, nie tylko do Rosji ale i do krajów bałtyckich. Można przypuszczać, że jednym z powodów bezczynności polskiej policji jest to, że traktuje te wypadki jako porachunki między Rosjanami, co w małym stopniu dotyczy Polski. Ponieważ policji jest niewątpliwie mało, i jest niewątpliwie nie najlepiej wyposażona, należałoby tę komunikację zabezpieczyć asystą wojskową, to jest przez straż graniczną, która powinna być rozbudowana. Tak samo kontrola celna powinna być wzmocniona przez wojsko. Dla mnie zupełnie niezrozumiały jest jawny, nielegalny przemyt kradzionych samochodów z zachodu na wschód, który ma charakter masowy i którego bariery policyjne nie są w stanie opanować.

Niepokojący rozrost biurokracji. Jest w tej chwili projekt zastąpienia biura prasowego rządu przez centrum informacyjne, które miałyby obejmować biuro wydawnicze, biuro analiz prasowych, radiowych i telewizyjnych oraz biuro współpracy z zagranicą. Na czele centrum ma stanąć dyrektor generalny w randze ministra, a ilość etatów ma być podwojona (dotychczasowe biuro prasowe liczy 40 osób). To już jest zupełny obłęd. Trudno porównywać obecne stosunki z okresem przedwojennym, ale biuro prasowe Rady Ministrów II Rzeczypospolitej liczyło, jeżeli mnie pamięć nie myli, około 10 osób wliczając w to woźnego. Ma się rozumieć, projektowane centrum nie zlikwiduje żadnych rzeczników prasowych poszczególnych ministerstw, których jest i tak nadmiar. Jak się okazuje nawet

biskup polowy Głódź ma swego rzecznika prasowego w Stanach Zjednoczonych, którym jest Jan Jaworski, jak podaje wychodzący w Chicago *Dziennik Związkowy* z 2 lipca br.

Klerykalizm w wojsku. W Muzeum Kolekcji im. Jana Pawła II odbyła się promocja zbioru kazań biskupa Sławoja Leszka Głódzia, zatytułowanego „Walcę dla Chrystusa”. Promocja odbyła się z udziałem przedstawicieli rządu i wojska, analizy dzieła dokonał płk Dominik Strasburger, pracownik naukowy Obrony Narodowej, który porównał bpa Głódzia do księdza Piotra Skargi, podkreślając ogromną rolę „kapłana, biskupa, generała, naukowca i męża stanu”. Z przemówienia bpa Głódzia można się było dowiedzieć, że przez 3 lata swego urzędowania zamienił w wojsku „wiele pralni, suszarni i niepotrzebnych jadalni na kaplice i sale modlitwy”. W tym samym czasie odbywały się uroczystości jubileuszowe bpa Głódzia rozpoczęte mszą św. w katedrze polowej W.P. w Warszawie, odprawioną przez 166 kapelanów wojskowych z całej Polski. W uroczystościach brał udział prezydent Lech Wałęsa w towarzystwie ministrów. Okolicznościową homilię wygłosił ks. prałat Franciszek Alfred Cybula z kancelarii prezydenta. Całą uroczystość uświetnił reprezentacyjny chór wojska polskiego wraz z orkiestrą wojskową a także chór Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

Na zakończenie komendant stowarzyszenia weteranów Armii Polskiej, Hieronim Wyszyński, wyraził niepokój z powodu frontalnych ataków na Kościół i działalność biskupa polowego. Ciekawe czy zbiór kazań „Walcę dla Chrystusa” był tak samo „dobrowolnie” rozprowadzony w wojsku, jak niedawno wydany „Modlitewnik”?

Na zakończenie tej noty chciałbym zacytować fragment rozmowy z gen. Wojciechem Jaruzelskim (*Gazeta Robotnicza* z 16 czerwca 1995):

„...Nie rozumiem tej części starszej kadry oficerskiej, czuję się wręcz zażenowany postawą tych ludzi, którzy kiedyś reprezentowali zdecydowanie ateistyczne postawy, ewentualnie deklarowali neutralność światopoglądową, a teraz nadgorliwie akcentują swoją religijność. Nie mam prawa nikomu odmawiać cudownego nawrócenia, były takie przypadki, ale w naszej

armii odbyło się to masowo i zbyt ostentacyjnie. A przypuszczam, że także koniunkturalnie ...”.

Pisałem poprzednio o budowie katedry w Licheniu Starym pod Koninem. 26 maja br. odbyło się uroczyste wmurowanie kamienia węgielnego katedry wraz ze specjalnym zaświadczeniem, że kamień ten wyjęto z krypty grobu św. Piotra i że został on poświęcony przez papieża. W uroczystości udział wzięli prymas Glemp i reprezentant kancelarii prezydenta. Budowę prowadzi firma Budimex, trwa ona już od 11 miesięcy, pracuje tam 250 osób na dwie zmiany. Budimex zobowiązał się ukończyć budowę do 2000 roku. Koszty robót wyniosły do tej pory 6 milionów złotych (60 miliardów starych złotych). Koszt całości szacuje się na bilion starych złotych. Inicjatorem katedry jest ks. kustosz Eugeniusz Makulski, który ogłosił wśród architektów konkurs na bazylikę. Wygrał projekt opracowany przez Barbarę Bielecką z Gdańska, który w powszechnej opinii jest mało estetyczny.

Nie komentuję tego wydarzenia. Zrobi to za mnie najbliższa przyszłość.

Stowarzyszenie Wspólnota Polska przeznaczyło 4 miliardy starych złotych na budowę Domu Polskiego w Wilnie. Jest to suma na projektowanie i prace wstępne, gdyż koszty budowy szacuje się na 2 miliony dol. Gmach ma być o powierzchni 4.100 m kw. Jest to pomysł zupełnie bezsensowny, gdyż Polonii wileńskiej, czy nawet całej Polonii litewskiej, nie będzie stać na utrzymanie takiego budynku, a założeniem Wspólnoty Polskiej jest samowystarczalność tego domu. Pomijając ten problem, jest otwarta sprawa kto tym domem miałby zarządzać. W Wilnie jest około 100.000 Polaków i ponad 20 organizacji społeczno-kulturalnych, które są ze sobą skłócone. Znacznie bardziej celowe byłoby stworzenie w Wilnie Instytutu Polskiego. Taka sama jest opinia ambasadora Widackiego.

Nie jest to pierwsza, nie przemyślana decyzja Wspólnoty Polskiej. Instytucja ta prowadzi np. propagandę za repatriacją Polaków z Kazachstanu. Świadczy to o nieznamości sytuacji

na tamtym terenie. A przecież ta sprawa została kompetentnie omówiona przez naszego ambasadora w Kazachstanie, Marka Gawędzkiego. Przed objęciem tego stanowiska, dr Marek Gawędzki pracował w Instytucie Etnologii Powszechnej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, i jest wybitnym znawcą problematyki środkowoazjatyckiej. Był on również autorem raportu o sytuacji Polaków w Kazachstanie. W swoim czasie ambasador udzielił obszernego wywiadu, który przeczytałem w londyńskim *Tygodniu Polskim* z 28 stycznia br., pt. „Zesłanie za polskość”. Mówi on m. in. jak nie udało się repatriacja Niemców z Kazachstanu mimo ogromnych środków finansowych. Akcja ta była fiaskiem i dzisiaj Niemcy chcą zatrzymać falę migracyjną swych rodaków. Są więc projekty odbudowy Niemieckiej Republiki Nadwołżańskiej, pertraktacje o osiedleniu ich na terenach zachodniej Ukrainy czy w regionie Kaliningradu. Mówi się również o powstaniu niemieckiego uniwersytetu w Karagandzie, by stworzyć Niemcom alternatywę pozostania na miejscu. Niemcy pomagają swej miejscowej zbiorowości przez inwestycje, organizując drobne przedsiębiorstwa.

Coraz bardziej niepokojąca jest sytuacja w wojsku: zanik dyscypliny, chaos organizacyjny. Ilustracją tego może być napad na koszary w Warszawie (Bemowo), z których bandyci zabrali broń i amunicję. Sprzęt, którym dysponuje wojsko, jest w dużym stopniu zużyty, czego dowodem była ostatnia seria wypadków lotniczych. Mówi się o zakupach sprzętu w Stanach Zjednoczonych. Pomijając koszty i trudności z częściami zamiennymi, czy nie lepiej położyć nacisk na sprzęt europejski coraz bardziej ujednolicony? Ponieważ nasz sprzęt jest przede wszystkim pochodzenia sowieckiego, czy nie można by – przynajmniej prowizorycznie – odnowić go zakupując na Ukrainie czy w Rosji? Czy jest wystarczający wysiłek w rozbudowie polskiego przemysłu zbrojeniowego? Na te wszystkie pytania nie ma odpowiedzi, gdyż wszystko jest otoczone tajemnicą wojskową.

Tak samo nie wiadomo jak wyglądają prace nad stworzeniem polskiej koncepcji wojskowej i organizacji wojska. Niejasna jest również struktura MON-u. Np. co robi w

MON-ie departament do spraw zagranicznych kierowany przez p. Marka Krupińskiego? Dotychczas wiadomo tylko o różnych zabiegach kosmetycznych, jak np. mnożenie stopni podoficerskich. O klerykalizmie w wojsku już mówiłem, ale do tej pory nie przyznano stopni wojskowych ordynariatowi prawosławnemu. Zapytany o to minister Okoński, odpowiedział, że nie miał w tej sprawie propozycji ze strony metropolity prawosławnego. Czyżby te nominacje zależały od Kościoła a nie od władz wojskowych?

Wreszcie zjawiskiem bardzo niepokojącym jest coraz większe upolitycznienie wojska. Np. ostatnio zbierano podpisy w Jednostkach Nadwiślańskich za kandydaturą Lecha Wałęsy na prezydenta. Pan Wałęsa twierdzi, że to są inicjatywy prywatne, a więc najbardziej dozwolone, tym bardziej, że podpisy składane są dobrowolnie. Wszyscy wiemy jak „dobrowolność” wygląda w każdym wojsku.

W Warszawie odsłonięto pomnik Marszałka Piłsudskiego na Placu Saskim. Pomnik wielkiej brzydoty, ustawiony w nieodpowiednim miejscu, a nie przed Grobem Nieznanego Żołnierza, gdzie dawniej stał pomnik księcia Poniatowskiego. Podobno sprzeciwiło się temu wojsko uważając, że będzie zawadzał przy defiladach, etc. Jest to argument niepoważny. Przed wojną defilady odbywały się nie w centrum miasta a na Polu Mokotowskim, by nie dezorganizować ruchu ulicznego.

Jednocześnie szef sztabu generalnego, gen. Tadeusz Wilecki, wydał specjalny rozkaz, że żołnierze przechodzący przed frontem marszałka Piłsudskiego mają oddawać honory wojskowe. Dotychczas jedynym pomnikiem, któremu salutowali żołnierze, był Grób Nieznanego Żołnierza.

Jak na to wszystko się patrzy, to przychodzi na myśl powiedzenie Saint-Justa: *Un peuple n'a qu'un dangereux ennemi: son gouvernement.*

REDAKTOR

Kronika kulturalna

KONTAKT 95

Dobrze sprawdzona formuła toruńskiego festiwalu KONTAKT po raz piąty zaowocowała spektaklami (19 inscenizacji z 12 krajów) oraz spotkaniami wybitnych ludzi teatru i krytyków. Dość powiedzieć, że na festiwalu pojawiło się oprócz zespołów około 70 gości zagranicznych z kilkunastu krajów i tyluż z Polski. Już w zeszłym roku pisząc o festiwalu w *Kulturze* wspomniałem, że może największym osiągnięciem organizatorów, a zwłaszcza dyrektora artystycznego KONTAKT-u (i zarazem Teatru im. W. Horzycy w Toruniu) Krystyny Meissner jest konfrontacja rozmaitych kultur, stylów i gatunków teatralnych. Daje to KONTAKT-owi jedyną w swoim rodzaju, niepowtarzalną atmosferę. A już niewiele brakowało, by tegoroczny festiwal nie odbył się z braku funduszy. Na 10 dni przed jego rozpoczęciem sytuacja była tak krytyczna, iż poważnie myślano o jego odwołaniu, na szczęście tak się nie stało.

Omawiając zeszłoroczny festiwal wspominałem o tym jak trudne zadanie mają jurorzy, którzy przyznawać muszą nagrody nieporównywalnym często zjawiskom i osiągnięciom. W tym roku w skład jury wchodził: Jerzy Koenig (dyrektor Teatru Telewizji Polskiej), Irving Wardle (długoletni krytyk teatralny londyńskiego *Times'a*, teraz pisma *Independent on Sunday*, Marina Dmitriewskaja (redaktor *Pietierburskiego Teatralnego Żurnala*), Andreas Wirth (z Akademii Sztuki w Berlinie), Milan Lukeš (wykładowca teatrologii Uniwersytetu Karola w Pradze). Oscylowali oni z dużą dozą powodzenia pomiędzy artystycznymi osiągnięciami i nieuniknionymi „modami”, a ich werdykty nie wzbudziły wielkich zastrzeżeń.

Pierwszą główną nagrodę festiwalu otrzymał spektakl „Chmury, dom rodzinny”, w wykonaniu teatru Deutsches Schauspielhaus z Hamburga. Oparty na sztuce austriackiej pisarki Elfriede Jelinek, jest to właściwie *par excellence* polityczny, wielki monolog skomponowany z tekstów myślicieli i poetów niemieckich – od Hölderlina, Kleista i Hegla po Heideggera i listy Frakcji Czerwonej Armii z lat 70-tych. Celem autorki jest zdemaskowanie i potępienie niemieckiego nacjonalizmu, ksenofobii, uporu i bezmyślności. W reżyserii Jossi Wielera teksty te wypowiada sześć aktorek – dam i „kur domowych” – w scenerii bunkra, który jest niemieckim domem. Te „pozorne niedorzeczności” wywarły ogromne wrażenie na widzach i najwyraźniej na jurorach.

Ambicje polityczne miał też drugi spektakl niemiecki, „Panorama skondensowanego mleka” Georga Seidela, zaprezentowany przez Theater 89 z Berlina. Ta opowieść o ciężkim życiu prostych ludzi – bankrutujących farmerów w Niemczech wschodnich – okazała się jednak dramaturgicznie płaska, ze swym „socjalnym wydźwiękiem” à la Gerhart Hauptmann, przemieszonym z „awangardowym surrealizmem”: postaci sztuki mają swe, ubrane w biel, opiekuńcze duchy domowe, których sceniczne sytuacje reżyser Hans-Joachim Frank przedstawił dość pretensjonalnie. Intencje spektaklu były szlachetne, ale zachwyty nie wywołał, nagrody nie otrzymał.

Wszystkich zaskoczył jednak trzeci spektakl polityczny, „Akta Zero”, który przywieźli Chińczycy. Trudno było uwierzyć, że inscenizacja ta (zainspirowana poematem Yu Jiana) w wykonaniu trójki aktorów zespołu Xi Ju Che Jian, w reżyserii Mou Sena, przybyła nie z Tajwanu, a – z Pekinu. Założony w r. 1987, jest to pierwszy od r. 1949 niezależny teatr w komunistycznych Chinach. Niezależny politycznie (wyraźne oskarżenie zbrodni Rewolucji Kulturalnej i ostra satyra na anomalie chińskiego życia) oraz artystycznie. Zaczyna się ów spektakl od niepozornych, monotonnych działań i równie monotonnego monologu z głośnika, a przekształca się w przykuwające uwagę widza krzyżujące się opowieści z przeszłości i teraźniejszości. Niektórych obrazów, jak monotonna praca: zatykanie na scenie patyków i nasadzanie na nie jabłek i pomidorów – jest ich przeszło setka – a potem

bunt – rzucanie w wirówkę wentylatora pomidorami, których czerwony miąższ rozpryskuje się po scenie – nie sposób zapomnieć. Jest to tego rodzaju teatr, który zapowiada zmiany – nie tylko w teatrze ale przede wszystkim – w życiu. Nic dziwnego, że otrzymał nagrodę tygodnika *Polityka* „za spektakl najdobitniej wyrażający niepokój naszych czasów”.

Skoro mowa o Dalekim Wschodzie należy jeszcze wspomnieć o drugim biegunie festiwalowych wrażeń: tradycyjnym teatrze lalek na wodzie z Wietnamu, którego spektakl w basenie pływackim zachwyił wszystkich precyzją, z jaką niewidzialni animatorzy ukazywali na wzburzonej powierzchni wody życie wieśniaków, walki rycerzy, smoki ziejące ogniem... Podobało się to wszystkim, ale jak tu nagradzać egzotyczną bajkę, piękną, lecz w odległej tradycji zastygłą?

Trzy teatry z Europy zachodniej też bardzo różniły się od siebie stylistyką. Francuska Compagnie Jo Bithume z jedynym plenerowym spektaklem festiwalu – „Oceano satanas”, to teatr uliczny w konwencji cyrkowej. Natomiast „Pełnia księżycy”, spektakl zaprezentowany przez Theatr Clwyd z Walii, którym od kilku lat kieruje pochodząca z Polski absolwentka warszawskiej PWST Helena Kaut-Howson, to epos proletariacki walijskiego pisarza Caradoga Pricharda. W jej reżyserii inscenizacja ta ma pewne cechy wschodnioeuropejskiej stylistyki z lat 60-tych, skrzyżowane z konwencją brytyjskiego teatru poetyckiego proweniencji celtyckiej. Aktorzy grali swe role ze szczerą intensywnością, u progu naiwności, akcja toczyła się panoramicznie, powoli i była – choć to zakrawa na paradoks – nużąca i wciągająca zarazem. Przyjęcie spektaklu było umiarkowane, nawet chłodne, nie rozumiano chyba w pełni intencji autora, zespołu i nie aprobowano niektórych efektów scenicznych. A była to wzruszająca próba pokazania motywów, które doprowadzają bohatera – prostolinijnego, porządnego człowieka – do zabójstwa. W pewnym sensie doszło do nieporozumienia na tle kulturowym pomiędzy twórcami a odbiorcami. Czyżby do Walii było z Torunia dalej niż do Chin?

Dobrze przyjęty został (i uzyskał Nagrodę Dziennikarzy) belgijski spektakl „Bonjour Madame” w wykonaniu Le Ballets C. de la B. z Gandawy, w reżyserii Alaina Patela. Jest to teatr ruchu raczej niż tańca, rodzaj pantomimy, wysnutej

ze zwykłych ludzkich czynności i przypadłości. Ale choć można było odnieść wrażenie, że symultanicznie rozgrywane scenki są tylko grą wolnych skojarzeń, w sumie jednak składały się one na turpistyczny obraz beznadziejności życia, prowadzącej do ujawniania się frustracji i agresji. Spektakl bardzo się podobał młodszym widzom; starsi natomiast pamiętają podobne antyestetyczne podejście awangardowych teatrów sprzed paru dziesięcioleci.

Największe uderzenie awangardy przyszło jednak z Europy wschodniej, przede wszystkim z Rosji, choć nie tylko. Reakcje na poszczególne spektakle były nader zróżnicowane – od zachwyty do całkowitego zagubienia. Nie zrozumiano założeń pozakonkursowego przedstawienia „Amfitriona”, a raczej „ośmiu dialogów z trzech aktów komedii Moliera dla sześciu aktorów”, które opracował legendarny Anatolij Wasiliew ze swą Szkołą Dramaticznego Iskustwa z Moskwy. Jest to teatr laboratoryjny – hermetyczny, w którym nie chodzi o zabawianie widzów (którzy, jak sam Wasiliew przyznaje, opuścili go), lecz o pracę z aktorem. Molierowski wątek do widzów nie docierał, nie było wizualnych efektów. Na ogołoconej scenie odbywały się tylko dramatyczne duety słowne aktorów, precyzyjne i intensywne, w gruncie rzeczy etiudy. Toruńscy widzowie nie zaakceptowali tego spektaklu „rosyjskiego Grotowskiego”, który ich zdaniem, tak jak jego poprzednik, niedługo „wyjdzie z teatru”.

Ogólny zachwyty wzbudził natomiast spektakl innego głośnego moskiewskiego artysty, Walerija Fokina, który w swym Centrum Sztuki im. Meyerholda wyreżyserował „Pokój hotelowy w mieście N.N.” według „Martwych dusz” Gogola. To też etiuda, ale naładowana w każdym szczególe, dźwięku, obrazie gęstymi treściami egzystencjalnymi. Tu nie ma tyrad – Cziczikow wypowiada tylko dwa monologi z powieści – ale ten krótki spektakl, osadzony w klitce scenicznej, która ma być hotelowym pokojem, mówi wszystko – o dawnej i nie tak dawnej Rosji i o człowieku. Jest tu realizm, nadrealizm, meyerholdowskie tricki, wysmakowane, dowcipne, przejmujące. Esencja teatru. Spektaklowi przypadła druga główna nagroda.

Jednak ci sami zwolennicy awangardy, którzy podziwiali Fokina, mieli ciężki orzech do zgryzienia z trzecim na

KONTAKCIE zespołem z Moskwy. Teatr na Krasnoj Presnie również sięgnął do Gogola, w opartym na „Ozenku” spektaklu „Kiedy pisałem, widziałem przed sobą tylko Puszkina”. Reżyser Jurij Pogrebniczko i jego aktorzy chcieli odejść od tradycyjnego modelu grania „Ozenku” jako obyczajowej farsy z epoki, a przedstawić sztukę egzystencjalną, nawet surrealistyczną. Farsę zastąpiła niesamowitość: scenografii i kostiumów, stylu gry aktorów. Odnosi się wrażenie, że dzisiejsi twórcy rosyjskiej awangardy za wszelką cenę pragną dotrzeć do istoty metody twórczej wielkiego Meyerholda (zamordowanego przez Stalina i przez dziesięciolecia przemilczanego) i wskrzesić ją jak umieją. Do spektaklu wsadza się po trochu wszystko: realizm surrealizm, bio-mechanikę. U Pogrebniczki wypada to nieskładnie, ale jednak trochę fascynuje.

Największe festiwalowe niespodzianki były też wysnute z ducha literatury rosyjskiej, choć pochodziły z innych krajów. Oto Kijowski Teatr Eksperymentalny Walerija Biliczenki zaprezentował spektakl „Strzał w jesiennym sadzie” według „Wiśniowego sadu” Czechowa. Ukraińcy też poszli za obecną modą, nie tyle inscenizowania klasyki, co przekazywania ekstraktu, a może raczej impresji z utworu już znanego i zapewne, zdaniem twórców, ogranego. Grali więc nie na scenie, lecz w prywatnym mieszkaniu. Trzydziestu widzów przenosiło się na kolejne akty z pokoju do pokoju, żeby oglądać bardzo skróconą wersję kluczowych scen „Sadu”. W swych ogólnych założeniach jest to przedstawienie zaaranżowane przestrzennie na modłę „Trzech siostr” Arcybaszewa (o których pisałem w *Kulturze* przed rokiem), zrealizowane z wyobraźnią, lecz przyjęte dość chłodno: że niby bryk z Czechowa.

Brykiem z całą pewnością nie był inny czechowowski spektakl: „Trzy siostry”, który pokazał czarodziej litewskiego teatru Eimuntas Nekrosius z wileńskim zespołem LIFE. W zeszłym roku zauroczył on widzów jednoaktówkami Puszkina. Teraz otrzymał nagrodę dla najlepszego reżysera festiwalu, a wszystkie trzy „siostry” z jego spektaklu otrzymały nagrody aktorskie. Nekrosius udowadnia, że utwór Czechowa niekoniecznie musi być psychologiczną, salonową sztuką konwersacyjną, ale może być fascynującym widowiskiem teatralnym. Teatralna wyobraźnia reżysera współgra z tekstem i nawet go

wzbogaca. Dialogom towarzyszy akcja sceniczna o dużej inwencji – prawda, że czasem trochę „zwariowana”, a jednak pomimo tej „teatralizacji” treść sztuki oddana została przejrzyście i przejmująco. Jest to Czechow gwałtowny, dramatyczny, przyziemność miesza się tu ze wzniosłością. Nekrosius, jak przed nim Arcybaszew, wydobywa erotyzm bohaterek, także infantyilizm (te siostry nie pojedą do Moskwy, bo za dużo zabaw jest na miejscu). To wszystko w tekście jest, jeśli się dobrze w niego wczytać. Po obejrzeniu licznych, i to dobrych, inscenizacji sztuk Czechowa na Zachodzie, muszę przyznać, że to jednak „ze wschodu” nadchodzą nowe wzory inscenizacyjne i interpretacyjne.

Wilno zadziwiło widzów festiwalowych także zupełnie innego rodzaju klasykiem, w sposób godny miasta o wielonarodowych tradycjach kulturalnych. Był to spektakl Teatru Małego „Uśmiechnij się do nas, Panie”, oparty na powieści piszącego po rosyjsku na przełomie ostatniego stulecia wileńskiego twórcy Grigorija Kanowicza. Reżyser Rimas Tuminas w sposób urzekający ożywił nie istniejący już świat litewskich Żydów, przedstawiając z dużą teatralną inwencją symboliczną, choć aż nadto realistyczną, podróż konnym wózkiem trzech starych Izraelitów do Wilna, które jest niemal ziemią obiecaną. Przeżywają po drodze niewiele rzeczy dobrych, a doświadczają plag, które były udziałem ich narodu. Ta epicka opowieść odznacza się też żywiołowym, przekonującym aktorstwem, a grający główną rolę Avnera Gediminas Girdwainis otrzymał zasłużenie czołową nagrodę aktorską.

Mieliśmy jeszcze w Toruniu Pirandella po słowacku i „Fedrę” po rumuńsku. Teatr Narodowy z Bratysławy pokazał sztukę „Tak jest jak się państwu zdaje”, zdaniem festiwalowych widzów i krytyków, tradycyjnie i staroświecko. Jednakże reżyser Lubomir Vajdička starał się zagrać ten trudny konwersacyjny tekst arealistycznie, z farsowym zacięciem, na tle czystej stylistycznie biało-czarnej scenografii. Było też kilka świetnie zagranych ról aktorskich. Zgadzałem się z Jackiem Sieradzkim, który napisał w *Polityce*, że choć na festiwalu spektakl ten „utonął z kretesem... byłby prawdziwą ozdobą większości polskich scen”, nie tych awangardowych, ale tych „dla ludzi”, też potrzebnych, zwłaszcza – dodam – w mniejszych miastach.

„Fedra” (według utworów Eurypidesa i Seneki), jaką zaprezentował Teatr Narodowy z Craiovej w inscenizacji wybitnego twórcy Sylviu Purcarete, przyjęta została dość chłodno, co moim zdaniem nie było reakcją słuszną. Przedstawienie było bardzo stylowe, o biało-czarnym kolorystyce, pantomimicznie zhieratyzowane, choreografowane starannie. Jest to jakby mówiony balet, z postaciami upozowanymi na posągi. Jednakże wizji reżysera, która stara się nadać zresztą klasycznemu dziełu znamię dzisiejszej współczesności i lokalny koloryt bałkański, nie dorównuje aktorstwo, nie przekonują główne postacie, więc zostaje po spektaklu pewien niedosyt.

Jak na tym nader różnorodnym tle wypadły biorące udział w festiwalu teatry polskie? Nie było powodu do narzekań. Pokazany poza konkursem spektakl współczesnego pisarza niemieckiego Tankreda Dorsta „Fernando Krapp napisał do mnie ten list” w reżyserii Krystyny Meissner oddał tej swoistej, może nieco błażej, wariacji na temat ongiś eksploatowanej przez Strindberga, pełną sprawiedliwość. Lekkie, przejrzyste scenograficznie, w doskonałym tempie rozgrywane (nieco na modłę niedawnej – czy raczej dawnej, bo czas dziś biegnie szybko w teatrze – awangardy) przedstawienie odznaczało się dobrym aktorstwem i było odpowiednim *pendant* dla pozostałych, bardziej „monumentalnych” pozycji.

Krystian Lupa jest wybitnym reżyserem, działającym w teatrze już od dawna (ma 52 lata), ale ostatnio dopiero stał się *modny*. Dwa lata temu właśnie na KONTAKCIE zachwycono się jego „Kalkwerkiem”. W tym roku jego spektakl „Lunatycy”, zrealizowany w krakowskim Starym Teatrze, należał do wielkich sukcesów festiwalu, otrzymując trzecią główną nagrodę. Nic dziwnego, Stary Teatr pozostaje od dziesięcioleci w czołówce, a jego aktorzy należą do najlepszych w kraju. Lupa sam dokonał adaptacji scenicznej z niemieckiego oryginału nie przełożonej dotąd na polski powieści „Esch, czyli anarchia”, środkowego członu trylogii austriackiego pisarza Hermanna Brocha. Opracował też scenografię. Z tej wielkiej opowieści o rozpadzie wartości mieszczańskich Niemiec przed pierwszą wojną światową wydobyl elementy satyryczne i walory poetyckie. Nie o politykę głównie mu

chodziło, lecz o ukazanie – wszędzie i zawsze aktualnej – egzystencjalnej kondycji człowieka: jego przemijalności, samotności i frustracji. Rozegrane z rozmachem sceny i obrazy podbiły widzów, którzy nie zauważyli nawet zbyt powolnego tempa, celebry i pewnej rozwlekłości. Przedstawienie zyskałoby na dramatyzmie, gdyby adaptacja była bardziej zwarta i wyraziła się krótszym spektaklem (trwał cztery i pół godziny). Ale pewność twórców, że widzów nie znudzą jednak się sprawdziła...

Na inną modłę „przytłoczył” widzów warszawski Teatr Rozmaitości też wielogodzinna inscenizacja – pierwszą w Polsce – pełnej trylogii dramatycznej Augusta Strindberga „Do Damaszku”. 48-letni reżyser i adaptator Marcin Jarnuszkievicz „poszedł na całego”. Ta autobiograficzna fantazja, ukazująca artystę-geniusza jako wyklętego *outsider*’a, w konwencji modernistycznej, zdawałoby się jest nie do przyjęcia dla dzisiejszego widza. Ale reżyser dokonał genialnego zaiste odkrycia: że utwór ten ma wielkość kiczu (*grandeur de kitsch*?) i postanowił temu w swej inscenizacji sprostać. Zatem nośnikiem scenicznym jest – egzaltacja, konsekwentnie wystylizowana, więc nie przekraczająca progu pretensjonalności. Pudełkowa scena przypomina drewnianą klatkę. Dialog – to na przemian szept i krzyk. Spektakl składa się z kilkuset chyba krótkich scenek – jakby kadrów – oddzielonych wyciemnieniami. Niektórym widzom utrudniało to skupienie i audytorium z czasem trochę się przersedziło. Ci, którzy pozostali, wpatrywali się w to wszystko z osłupieniem, graniczącym z fascynacją. Trzeba przyznać zresztą, że Wiesław Kamasa w wyczerpującej głównej roli Nieznajomego doskonale utrzymał ton tej konwencji i wypadł przekonująco. Spektakl „Do Damaszku” uzyskał nagrodę regionalnego dodatku *Gazety Wyborczej* – „za prawdę, piękno i odwagę”. Tak więc przybyszewszczyzna w wydaniu skandynawskiego mistrza doczekała się po stu latach swoistej apoteozy.

W moim przekonaniu jednak palmę pierwszeństwa dla polskich zespołów na tegorocznym KONTAKCIE przyznać należy Piotrowi Tomaszukowi i Towarzystwu Wierszalin za „Kłątwe” Wyspiańskiego. Jest to zadziwiający teatr. Bazuje na ludowej obyczajowości i obrzędowości, wiejskim prymitywie, ale Tomaszuk ujmuje to wszystko w karby awangardowej

dyscypliny, bez zafalszowywania tej ludowości. To nie cepelia, tylko autentyk, wielki teatr rytualny. „Kłątwa”, dramat o grzesznej miłości księdza i wieśniaczki zakończony spaleniem na stosie ich dzieci, oparty na autentycznym wydarzeniu, idealnie pasowała do poetyki Wierszalina. Wyspiański wpisał opowieść o ciemnych i nieubłaganych elementach obyczajowości polskiej wsi w formę greckiej tragedii. U Tomaszuka forma ta została ponadto wcielona we wschodniopolską dziwność i ciemnotę. Jakże to wszystko jest kontrolowane – ruchem, światłem, monotonną muzyką i inkantacjami, obrzędowością. Aktualność tego utworu prosiła się o odkrycie, i tego Wierszalin, ze swym gęstym emocjonalnie aktorstwem, dokonał. Temu spektaklowi, nie nagrodzonemu na KONTAKCIE, przyznaję więc swoją symboliczną nagrodę.

KONTAKT obfitował w odkrycia i konfrontacje, te najbardziej twórcze z możliwych. Nikt kto na tydzień zanurzył się w jego ożywczą atmosferę, nie uwierzy w alarmistyczne biadania, że kryzys, jaki teatr przeżywa w swej materialnej powłoce (finansowy, frekwencyjny itp.), jest też kryzysem jego artystycznego rdzenia. Choćby dlatego warto jeździć do Torunia.

Bolesław TABORSKI

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne

oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Książki

Magnetyzm umiaru

Recenzowana tu książka* jest zbiorem artykułów, recenzji i szkiców (w sumie 42 pozycji) napisanych na przestrzeni prawie 40 lat, czyli jak wszystkie „druki zwarte” tego typu stanowi swoistą *silva rerum* trudną do omówienia, a tym bardziej streszczenia. Zazwyczaj w podobnych wypadkach potencjalnego czytelnika orientuje osoba autora – wiadomo, że jeśli Pigoń to będzie o Mickiewiczu, jeśli Boy to o Francuzach, a jeśli Tischner z Michnikiem to o „etosie” (...*bo chłop wstąpił do Etośu* [Słówką tegoż Boya]) – tu jednak metoda ta zawodzi, bo Jerzy Pomianowski (ur. 1921 w Łodzi) sam jest swoistą *silva personarum*: lekarz (na medycynę w Moskwie trafił *via* Gułag), tłumacz literatury rosyjskiej (kongenialne przekłady Babla i – pod pseudonimem ‘Michał Kaniowski’ – Sołżenicyna), krytyk, teatrolog a ponadto w latach ca. 1975-95 profesor sławistyki we Włoszech. Pomijam tu już legendę „środotwiskową” (przed wojną: znajomość z Witkacym i Gombrowiczem; po wojnie: medycyna, myślistwo, kierownictwo literackie teatrów, PEN-Club, Jan Strzelecki, Leszek Kołakowski, STS, *tout Varsovie*, potem te Włochy), bo jako *outsider* mało się w takich sprawach wyznaję, ale daję o tym niejakię pojęcie przedmowa pióra Stefana Bratkowskiego pod nader środotwiskowym tytułem „Zamiast Boswella” (no, no!). Z wyjątkiem myślistwa wszystkie wymienione dziedziny są w zbiorze reprezentowane, szczególnie teatr, literatura i Rosja.

Książka Pomianowskiego nosi podtytuł „Wybór wrażeń”, co jest retorycznym przygotowaniem do trójpodziału materiału na: „z drogi” (cztery szkice z podróży, w tym do Moskwy

w 1994); „z widowni” (duża porcja recenzji teatralnych, głównie z popaździernikowej Warszawy plus kilka dłuższych – i nowszych – szkiców, m.in. o historii teatru w Rosji i o teatrze Tadeusza Kantora); „z lektur” (piętnaście szkiców lub/i refleksji literacko-politycznych, wśród tego trzy perły pierwszego blasku: „Ogrodnik Saski” [o Erichu Kaestnerze], „Co literatura zawdzięcza medycynie?” [o lekarzach-pisarzach] i tytułowy „Biegun magnetyczny” [o Conradzie]). Nie sposób oczywiście „oddać sprawiedliwość (conradowskie *to render justice*, w Polsce zawsze szumnie a błędnie tłumaczone jako „wymierzyć sprawiedliwość”) tej bogatej i pełnej erudycji kolekcji, można jedynie próbować wychwycić w niej pewne stałe motywy i to raczej „stanowiska” niż „wrażenia”. Posłużę się w tym celu wspomnianym wyżej układem: teatr-literatura-Rosja.

Ad „teatr”: mało się na tym znam, więc szczegóły typu „wspaniały Woszczerowicz w tym, a pyszny Holoubek w tamtym” pozostawiam amatorom i koneserom. Z zainteresowaniem natomiast i pożytkiem czyta się teoretyczne fragmenty dotyczące sztuk Wildera, Frischa, Dürrenmatta, Ionesco, itp. – w okresie po Październiku *the absolute must* jako elementy reokcydentalizacji polskiej kultury – jako że Pomianowski traktuje je rzeczowo i bez padania plackiem. Bardzo mi się np. spodobała jego celna uwaga, że sławetna „Antygona” Anouilha jest w istocie subtelną apologią pétainizmu (powstała *nota bene* w 1942 r.). Tu już mamy pewną wskazówkę, charakteryzującą stanowisko autora w tej materii: jego pasją jest teatr nowoczesny, ale nie rezygnuje on z pozornie trywialnej kwestii „co autor chciał wyrazić”. Oczywiście odnosi się to nie do płaszczyzny czysto deklaratywnej, ale bardziej przystającej teatrowi, czyli do ogólnego wrażenia, „uderzenia” (*impact!*) w widza. Jest to szczególnie widoczne w szkicach poświęconych sztukom Witkacego i Kantora. W tekście teoretycznym pt. „O teatrze czyli pieszo w powietrzu” napisanym w 1966 r. Pomianowski formułuje tezę, że teatr „nieeuklidesowy” (tzn. pozornie absurdalny) potrzebny jest inteligentkiemu widzowi jako rodzaj drożdży intelektualnych stymulujących także inne dziedziny myślenia, ponieważ zaś inteligencja będzie odgrywała coraz ważniejszą rolę w świecie (czyżby?! – M.B. 1995), ma to znaczenie „społeczne”. Można się z tym nie zgadzać, ale to jest określone stanowisko. Na tym tle nieco więc dziwi – mnie przynajmniej – entuzjazm autora dla Brechta (akurat ten teatr trochę znam, bo studiując pod koniec lat 50-tych w Berlinie często bywałem *Am Schiff-*

* Jerzy Pomianowski, „Biegun magnetyczny”. Wydawnictwo KRAĞ, Warszawa 1995, 280 str., ISBN 83-85199-36-5.

bauerdamm). Pomijam już nie pachnącą rolę polityczną autora sztuki „Die Massnahme” – apologii mordowania niewinnych w imię wyższej racji partyjnej – ale chodzi mi o kwestię generalną brechtowskiego „impaktu”, który zasada się raczej na apelu do podskórnego cynizmu i okrucieństwa w każdym z nas, niż na „zdrowym fermentie intelektualnym”. „Opera za trzy grosze” przyciąga publiczność znacznie mniej (lub zgoła nie) swym wątpliwym „oskarżeniem imperializmu”, a znacznie bardziej gloryfikacją „prostych rozwiązań”. W jednym z jej songów ze smakiem powtarza się wezwanie „*Man schlägt ihnen ihre Fressen mit schweren Eisenhammern ein!*” (= „Rozwalić im mordy ciężkimi młotami” – po niemiecku brzmi to jeszcze wyraziściej i smakowiciej) i nie jestem pewien, czy to tylko metafora. Zresztą już Karl Kraus zauważył, że w sprzyjających warunkach krwiożercze metafory mają tendencję do przekształcania się w dosłowność.

Ad 2 i 3, czyli „literatura” i „Rosja” – te dwa tematy są w tej książce ściśle ze sobą powiązane, aż po kwestie *expressis verbis* polityczne. Tu widać zresztą szczególnie wyraźnie charakterystyczne dla Pomianowskiego zainteresowanie nie tylko formą artystyczną utworów literackich, ale także ich przekazem. Z oczywistych względów sporo tu autorów rosyjskich (m.in. Babel i Sołżenicyn, których Pomianowski jako tłumacz zna aż do najcieńszego szwu) tudzież tematów z tym związanych: dwa szkice biorą jako punkt odniesienia „Upiory rewolucji” Herlinga-Grudzińskiego (Biblioteka *Kultury*, 1969; dla przypomnienia: – zbiór esejów o literaturze rosyjskiej) i siłą rzeczy wkraczają w odwieczny temat nastawienia Polaków do Rosjan (i *vice versa*). Obaj (tzn. Grudziński i Pomianowski) mają dobrą tzn. gąłogową znajomość sąsiada, ale ich stosunek do Rosjan jest wolny od generalizujących urazów. Tu właśnie zaczyna się „polityka”, bo nie chodzi tylko o ewentualną osobistą (i zrozumiałą) *rancune* poszkodowanych, ale o, użyjmy wielkiego słowa polską rację stanu. Można by powiedzieć, iż w tej dziedzinie Pomianowski „reprezentuje linię *Kultury*” i zapewne nie jest tylko gestem kurtuazyjnym fakt, że „Biegun magnetyczny” został zadedykowany Jerzemu Giedroycowi. Mówiąc w wielkim skrócie jest to wezwanie do rewizji stereotypów, m.in. stereotypu „wiecznego raba” (temu tematowi poświęcona jest szczegółowa polemika Pomianowskiego z artykułem „Mielnickiego” vel Wojciecha Karpińskiego w *Kulturze* [Nr.5, 1970]) i rodzaj programu pozytywnego zachęcającego *primo* do szukania porozumienia z nieim-

perialistycznymi Rosjanami i *secundo* „czynnej solidarności” z naprawdę najbliższymi sąsiadami Polski, tzn. Litwą, Białorusią i Ukrainą. Obecne niesnaski z Litwinami i indyferentyzm wobec np. Ukrainy Pomianowski nazywa – słusznie – „paleniem ostatniego płotu” jaki nas odgradza od ojczyzny nie tylko Sołżenicyna, ale i Żyrynowskiego.

Oczywiście (i na szczęście) nie wszystkie szkice o literaturze w tej książce mają kontekst „polityczny”, tzn. tak czy inaczej utylitarnej i niektóre z nich sytuują się w eseistyce *tout court*. Wśród nich należy wymienić zwięzły a bardzo interesujący tekst pt. „Jaśniepanicz i panisko” poświęcony konfrontacji Witkacego i Gombrowicza. Mimo że ten aż nadto już ograny tandem trochę się opatrzył. Pomianowski ma tu interesujące rzeczy do dorzucenia – i tu też powraca jego przekonanie o ważnej roli „nieeuklidesowej” sztuki w ogóle, a w szczególności jako wyróżnika czy też testu lakmusowego prawdziwych inteligentów. Zacytujmy, a raczej zróbmy składankę istotnych cytatów (str. 251-2): „Doświadczenie rosyjskie *kazało Witkiewiczowi szanować kruche dobra duchowe, a co za tym idzie – jedynych ich świadomych nosicieli, inteligentów, ową kastę wyklinaną, pogardzaną na wyścigi, wypieraną i głodzoną w Polsce. [...] Gombrowicz zmienił z czasem swoje sądy...[a]le wtedy, przed wojną, zwalczał Młodziaków za ich naiwny, snobistyczny prowincjonalizm – w imię Europy. Ta zaś za chwilę miała nie tylko przekreślić szanse Pensjonarki na przepoczwarzenie się choćby w studentkę Wyki, ale także zmiażdżyć i zgilotynować ten kraj. Gombrowicz z tych lat jest racjonalistą podszytym parobkiem, tj. wiarą w przyrodzoną mądrość prostaczków. Z tej słabostki zostało mu coś niecoś i na później. ...Gombrowicz był ostatecznie pragmatystą ...Ale Witkiewicz kpił z pragmatystów i to od niego usłyszałem pytanie Leibniza: ‘Co za pożytek z tego całego pożytku?’ ... Dla mnie ...Witkacy był przedstawicielem najlepszej polskiej tradycji, do której należy także niefrasobliwy, a przecież śmiertelnie poważny stosunek do pomysłu, dowcipu, conceptu, fantazji, a nawet do tej piany życia, bez której od razu widać, że piwo jest mdłe. Tej tradycji wierna jest, Bogu dzięki, polska inteligencja. I nie muszę podkreślać przezornie, że nie cała, bo do tej kasty da się zaliczyć tylko ludzi, uważających myślenie krytyczne za swój przywilej, prawo i nawet obowiązek. Wszyscy inni mogą się mieć za członków elity (starej czy nowej, wszystko jedno), ale*

będą w istocie tylko przedstawicielami oligarchii, tj. przypadkowej grupy uzurpatorów bez kwalifikacji mentalnych”.

Przytoczyłem ten fragment nie tylko po to, żeby „pochwalić” autora za *correct politics*, ale także by dać próbkę jego stylu: recenzuję w końcu książkę, czyli tekst, czyli sposób formułowania myśli i czytelnik recenzji ma prawo domagać się informacji na ten temat. Co myślę o stylu myślenia i pisania Pomianowskiego wyraziłem w tytule tego omówienia: wydaje mi się przykładem umiaru zarówno w demonstrowaniu ogromnej a dyskretniej erudycji, jak i w poskramianiu naturalnej pokusy „śmiałyh uogólnień” czyhającej na wszystkich żeglarzy po tych wodach. Nieliczne kawiarniane a irytujące kalambury (mniej sympatyczna cecha polskiego stylu inteligenckiego) typu „Torquematoł” czy „Metternikt” pojawiają się jedynie w geologicznie najstarszych, tj. warszawskich, warstwach książki. A *propos* „żeglarzy”: termin ten przywodzi na myśl znakomity esej o Conradzie – chyba najlepszy tekst tej książki – pod eponimicznym tytułem „Biegun magnetyczny” i chciałbym tu zacytować kilka celnych zdań dotyczących meritum jego tematu: „Nieszczęściem moralistów są nie ich zasady, tylko złudzenia. Conrad złudzeń nie miał. Programy polityczne uważał za lichy bryk, a teorie ideologów za rzut płaski ogromnej, czarnej bryły ludzkiego losu. Ale nie dzielił świata na rajską dziedzinę etyki i piekielną domenę polityki. ...Ten marynarz miał prawo moralne za coś w rodzaju bieguna magnetycznego. Dobrze wiedział, że na ogół nie jest to praktyczny cel ludzkich podróży. Ale dał nam do zrozumienia, że bez tego punktu orientacyjnego żeglować można tylko po gliniance”. Świetnie powiedziane: nie zanadto patetycznie, nie zanadto za-pan-bracko, właśnie z umiarem.

Zabawny błąd drukarski (przeoczony w erracie) na str. 13 pozwala na bardziej obrazową definicję pojęcia umiaru. Chodzi o szkic Pomianowskiego z 1957 notujący jego wrażenia z pierwszej popaździernikowej „pielgrzymki” do Paryża, w którym czytamy m.in. „W *Mayolu i Folies Bergeres* – goła pompa, monumentalna nuda oficjalnej instytucji”. Pompa?! na pewno miało być „pupa”! No, więc właśnie: umiar – zwłaszcza w esaju, gatunku niebezpiecznie snobistycznym i niebezpiecznie ekshibicjonistycznym – to złoty środek pomiędzy gołą pompą i gołą pupą.

M. BROŃSKI

W jej oczach

W obecnym zalewie rocznicowych wspomnień, które dawno przestały być dokumentem a nie stały się literaturą, z ulgą bierze się do ręki książkę, oderwaną od wojennej przeszłości. Oczy Maji Elżbiety Cybulskiej patrzą na świat przez to co dziś widzi koło siebie i co dziś czyta¹. A czyta zachłannie po polsku i po angielsku, każdą nowość obok książek dawnych, które czymś zwróciły na siebie jej uwagę. Notatki z tych lektur ukazują się od kilkunastu lat w stałej rubryce w londyńskim *Tygodniu Polskim* pod tytułem „W moich oczach”, który stał się też tytułem niedawno wydanej książki.

Są w niej mini-eseje głównie na temat lektur, ale także o sztuce, wystawach, teatrze, architekturze, z odniesieniem do historii, czy raczej do dawności, do której autorka ma szczególną słabość. Gdy omawia czyjeś pamiętniki czy inne przekazy przeszłości, nie interesują jej heroiczne wydarzenia, uwiecznione w podręcznikach, tylko praktyczna codzienność życia.

Cybulska ma odosobnione miejsce w emigracyjnym życiu literackim jako bodajże jedyna przedstawicielka swego pokolenia, która samorzutnie włączyła się w obce dla siebie środowisko. Przyjechała do Anglii z początkiem lat 70-tych tuż po skończeniu studiów polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Była od niedawna żoną Anglika i dlatego Londyn nie stał się dla niej, jak dla większości wtedy osób z kraju, przystankiem przed dalszą podróżą w poszukiwaniu nowego miejsca w świecie, tylko została i wbrew narzekaniom różnych emigracyjnych „młodych” (niepostrzeżenie szybko starzejących się), że „starzy” nie dopuszczają ich do pracy w swoich instytucjach, dowiodła, że decyzja należała wyłącznie do nich samych. Nie czekając na zaproszenia i zachęty, zjawiła się od razu w Bibliotece Polskiej, w redakcji *Wiadomości*, w Związku Pisarzy, chętna każdej pracy związanej z książkami, z pisaniem, z poznawaniem tego, do czego przedtem nie miała dostępu. Nie stroniła od najskromniejszych zajęć, dzięki czemu mogła dotrzeć w Bibliotece Polskiej do mało komu znanych archiwaliów, w Związku Pisarzy pomagała redagować „Pamiętnik Literacki” a w *Wiadomościach*, podjąwszy

1. Maja Elżbieta Cybulska, „W moich oczach”, Polska Fundacja Kulturalna (PFK), Londyn 1995.

się w nagłej potrzebie prowadzić kronikę „25 i 50 lat temu”, weszła w okres literackiej przeszłości, nie znanej jej pokoleniu.

Przywiozła ze sobą zainteresowanie literaturą angielską, zwłaszcza z okresu wiktoriańskiego, ale już wkraczającą w XX wiek i gdy zaczęła drukować w *Wiadomościach* eseje na ten temat, było to pewnego rodzaju pionierstwo, bo dotąd w piśmie literackim, wydawanym w Anglii, poza dorywczymi wzmiankami w różnych rubrykach, mało kto zajmował się poważnie literaturą angielską.

Pisząc na początku głównie o pisarzach angielskich, Cybulska zaczęła rozglądać się po nie znanej jej przedtem literaturze emigracyjnej i w swych wyborach nie szła utartymi drogami, tylko szukała autorów trudnych (Iwaniuk), kontrowersyjnych (Pankowski), nie dość znanych (Stefania Zahorska), niesłusznie zapomnianych (Zbigniew Grabowski) i nowych, którzy wtedy zaczęli pisać na emigracji (Frajlich, Grynberg). I tak w pierwszej książce, którą wydała pt. „Talenty i pisarze”² (nie licząc wcześniejszego tomiku poezji) sąsiedowali z sobą pisarze angielscy i polscy. Szkice te, oparte na doskonałym zawodowym warsztacie (dr) Cybulskiej, na wiedzy i czytaniu, unikają grzechu wielu krytyków literackich. Cybulska nie powołuje się – jak kiedyś wyśmiał ks. Jan Twardowski przemądrzałych recenzentów swej czulej poezji – na „dialektykę, antynomie, Pascala, Heraklita, Hegla, koegzystujące realia”, tylko z twórczości i osoby omawianego autora tworzy własną kompozycję literacką, często wyprowadzając ją z jakiejś ubocznej okoliczności. I tak z historii pałacu Knole wywodzi rodowód powieści „Orlando” Virginii Woolf i splecione losy innych przedstawicieli sławnej grupy „Bloomsbury”; a spaniel Flush – który nadał tytuł innej książki Virginii Woolf – jest pretekstem do pokazania jego właścicielki, poetki Elizabeth Barrett Browning. Czasem powiązania bywają karkołomne jak w eseju o motywie stacji kolejowej (później transformowanej na lotnisko) w twórczości Tołstoja, Pasternaka, Jerofiejewa, Agaty Christie, Żeromskiego, Prusa, Anki Kowalskiej, Wisławy Szymborskiej i in., kończąc na Eryce Jong, autorce „Fear of Flying”.

Nieortodoksyjna ciekawość literacka prowadzi Cybulską i do głębszych komparatystycznych spostrzeżeń. Pisząc o „Skrytkach” Zofii Romanowiczowej, widzi w motywie rozpaczy tej katastroficznej powieści echo „Trenów”, a rozważania o motywie śmierci w poezji Iwaniuka opiera na dialogu Mistrza Polikarpa ze śmiercią.

2. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1982.

Esej o Iwaniuku w „Tematach i pisarzach” był zapowiedzią pierwszej monografii o poecie³, o którym dzisiaj pisze się w Polsce wiele prac naukowych. Później przyszła książka o Stefanii Zahorskiej, znanej już przed wojną a potem na emigracji pisarce, publicystce, krytyku sztuki. Przekopawszy się przez nieuporządkowane papiery ze zbiorów Zahorskiej i jej towarzysza życia Adama Pragiera, Cybulska wskrzesiła postać kobiety o świetnym umyśle i stylowej aparycji sawantki z początku wieku⁴.

Dwie późniejsze książki Cybulskiej odchodzą nieco od literatury, pozostając na jej marginesie. Jedna z nich poświęcona jest artyście-drukarzowi i grafikowi Stanisławowi Gliwie, blisko związanemu z pisarzami, których książki bibliofilsko drukował⁵. Korespondowało z nim wielu „bohaterów” Cybulskiej – Iwaniuk, Frajlich, Zahorska obok Janty, Wańkowicza, Przyłuskiego i in. I znowu niektórzy z nich wracają w opowieści o szpitalu Mabledon⁶. Wśród pacjentów tego polskiego szpitala psychiatrycznego zdarzali się i pisarze (Bolesław Kобрzyński), ale ważne w nim miejsce zajmowali właśnie Gliwa i Przyłuski, jako pomocnicy w terapii.

Chyba nigdzie wielostronność zainteresowań Cybulskiej nie występuje tak jasno jak w wydanym ostatnio tomie „W moich oczach”, który słusznie nosi motto sławiące „varietas” w angielskiej XVII-wiecznej wersji Aphra Behna: „Variety is the soul of pleasure”. Króciutkie teksty, pisane swobodnie, nieraz zaprawione żartobliwą czy uszczypliwą uwagą, pomagają w wędrówce po świecie kultury współczesnej i odziedziczonej. A relacje Cybulskiej o książkach, oszczędne i jednocześnie wyczerpujące, podobne w tym do świetnych skrótów recenzyjnych Lektora z *Tygodnika Powszechnego*, są specjalnym darem dla dzisiejszego niecierpliwego czytelnika, którego natężenie uwagi dramatycznie się skraca.

Rysunek na okładce książki – według obrazu Fantin-Latoura „La lecture” pokazuje kobietę zaczytaną w książce. Może nawet jest trochę podobna do autorki.

Stefania KOSSOWSKA

3. „Wacław Iwaniuk – Poeta”, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1984.

4. „Potwierdzenie istnienia. Archiwum Stefanii Zahorskiej”, PFK, Londyn 1988.

5. „Rozmowy ze Stanisławem Gliwą”, PFK, Londyn 1990.

6. „Urywki kroniki szpitalnej. Mabledon Park Hospital”, PFK, Londyn 1992.

Nadestane nowości wydawnicze

- ŚLONIMSKI (Antoni). *Kroniki londyńskie*. Str. 102 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Interim, seria: Utwory nieznane, Warszawa 1995).
- ŁOBODOWSKI (Józef). *Worek Judaszów*. Str. 242 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Interim, seria: Utwory nieznane, Warszawa 1995).
- ŚWIRSZCZYŃSKA (Anna-„Świr”). *Budowałam barykadę*. Wiersze. Str. 130 i 2 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1994).
- HUNTINGDON (Eugenia). *Nie wyrównany rachunek*. Wspomnienia. Str. 228 i 4 nlb. (PFK, Londyn, 1992).
- CZERNIAWSKI (Adam). *Muzy i sowa Minerwy*. Str. 242. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994).
- Niewinnie straceni w Warszawie 1944-1956*. Tekst Tadeusz Swat. Str. 112. (Wyd. Fundacja Ochrony Zabytków, Warszawa 1994).
- VAITIEKUS (Severinas). *Polacy Litwy*. (Informacja statystyczno-analityczna o położeniu i sytuacji życiowej polskiej mniejszości narodowej w Republice Litewskiej). Str. 52. (Wyd. Państwowe Centrum Badań Narodowościowych, Vilnius 1995).
- ŁYSAKOWSKI (Adam). *Określenie bibliografii*. Strony nienumerowane. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1995).
- GUMOWSKA (Barbara). *Opowieść o gen. broni Lucjanie Żeligowskim*. Str. 100 i 4 nlb. (Wyd. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, seria: Biblioteka Rozmaitości, Bydgoszcz 1994).
- MICKIEWICZ (Adam). *Pan Tadeusz*. Str. 394 i 2 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995).
- Katyń w literaturze*. Międzynarodowa antologia poezji, dramatu i prozy. Opracowanie Jerzy R. Krzyżanowski, wstęp Włodzimierz Odowski. Str. 330 i 2 nlb. (Wyd. Norbertinum, Lublin 1995).
- PARNICKI (Teodor). *Opowieść o trzech metysach*. Tom I: *Raczej jednak oni*. Str. 494 i 2 nlb. Tom II: *Raczej ja*. Str. 340. (Wyd. Noir sur Blanc, Warszawa 1992).
- PRÓCHNICKI (Włodzimierz). *Człowiek i dialog*. Na wysokiej Poloninie Stanisława Vincenza. Str. 198. (Wyd. nakładem Uniwersytetu Jagiellońskiego, seria: Rozprawy habilitacyjne nr 277, Kraków 1994).
- Dwujęzyczność – podwójna tożsamość. Zweischprachigkeit – doppelte Identität*. Redakcja Ewa Maria Ślaska. Wydanie w języku polskim i niemieckim. Str. 320. (Wyd. Grupa WIR – Polsko-niemieckie Towarzystwo Literackie, Berlin 1995).
- Polonica zagraniczne. Bibliografia 1986*. Str. 270. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1995).
- GARLICKI (Andrzej). *Bolesław Bierut*. Str. 90 i 2 nlb. (Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, seria: Dzieje PRL, Warszawa 1994).
- Elementarz dla szkół parafialnych narodowych*. Przedruk wydania oryginalnego w Krakowie w 1785 r. w Drukarni Szkoły Głównej Koronnéj. Str. 126. (Wydano z okazji 50-lecia Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych, Warszawa 1995).
- ZIĘTARA (Paweł). *Misja ostatniej szansy. Próba zjednoczenia polskiej emigracji politycznej przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego w latach 1952-1956*. Str. 232. (Wyd. Instytut Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego, seria: Rozprawy t. III, Warszawa 1995).

- ZIÓŁKOWSKA-BOEHM (Aleksandra). *Ulica Żółwiego Strumienia*. Str. 432 i 16 nlb + fotografie. (Wyd. Dom Książki w Warszawie, Warszawa 1995).
- ROMER (Eugeniusz). *Dziennik*. T. I – 1914-1918 – str. 642 i 12 nlb. mapy i fotografie; T. II – 1919-1923 – str. 590 i 6 nlb. + fotografie. (Wydawnictwo Interlibro, Warszawa 1995).
- „Wiadomości” i *okolice (1940-1981)*. Wystawa. Redakcja i opracowanie Mirosław A. Supruniuk. Str. 24. (Wyd. Biblioteka Uniwersytetu M. Kopernika, Toruń 1995).
- ŁĘTOWSKA (Ewa). *Po co ludzium konstytucja*. Wydanie drugie zmienione i rozszerzone. Str. 230 i tabele (41). (Wyd. Dom Wydawniczy ABC, Warszawa 1995).
- POMIANOWSKI (Jerzy). *Kontrabanda*. Wybór przekładów wierszem. Str. 54 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1995).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Inny świat. Zapiski sowieckie*. Pisma zebrane pod red. Zdzisława Kudelskiego, t. 1. Str. 330 i 6 nlb. (Wyd. S.W. Czytelnik, Warszawa 1995).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Skrzydła ołtarza. Opowiadania*. Pisma zebrane pod red. Zdzisława Kudelskiego, t. 2. Str. 234 i 6 nlb. (Wyd. S.W. Czytelnik, Warszawa 1995).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Dziennik pisany nocą 1971-1972*. Pisma zebrane pod red. Zdzisława Kudelskiego, t. 3. Str. 270 i 2 nlb. (Wyd. S.W. Czytelnik, Warszawa 1995).
- KRASICKI (Jan). *Eschatologia i mesjanizm*. Studium światopoglądu Mariana Zdziechowskiego. Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. „Wiedza o Kulturze”, Fundacja dla Uniwersytetu Wrocławskiego. Wrocław 1994).
- POMIANOWSKI (Jerzy). *Biegun magnetyczny*. Wybór wrażeń. Przedmowa Stefan Bratkowski. Str. 280. (Wyd. „Krag”, Warszawa 1995).
- KALININ (Andrzej). *Las wokół*. Opowiadania. Str. 124. i 2 nlb. (Wydawnictwo ARCANA; Kraków 1995).
- KOWALEWSKA (Hanna). *Kapelusz z zielonymi jaszczurkami*. Opowiadania. Str. 140 i 2 nlb. (Wydawnictwo Przedświt, Warszawa 1995).
- JANKO (Anna). *Zabici czasem długo stoją*. Wiersze. Str. 64. (Wydawnictwo „OKIS”, Wrocław 1995).
- BENKA (Urszula M.). *Córka nocy*. Wiersze. Str. 64. (Wydawnictwo „OKIS”, Wrocław 1995).
- POPRAWA (Adam). *Koncert na adwent*. Wiersze. Str. 30 i 2 nlb. (Wydawnictwo „OKIS”, Wrocław 1995).
- NIEMIEC (Maciej). *Małe wiersze (1976-1994)*. Str. 40 i 2 nlb. (Wydawnictwo „OKIS”, Wrocław 1995).
- KLIMCZAK (Piotr). *Wnętrze spojrzenia*. Wiersze. Str. 42 i 2 nlb. (Wydawnictwo „OKIS”, Wrocław 1995).
- DYCZEK (Ernest). *Termity*. Opowiadanie. Str. 64. (Wydawnictwo „OKIS”, Wrocław 1995).
- Ruch oporu wobec Trzeciej Rzeszy*. Książka na 50-lecie zakończenia II wojny światowej. Str. 104. (Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1995).
- ZAWADA (Andrzej). *Dwudziestolecie literackie*. Str. 270 i 6 nlb. (Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1995).
- BICHTA (Arkadiusz). *Papierowy ptak*. Str. 102 i 2 nlb. (Wyd. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1995).
- ŻELECHOWSKI (Marek). *Dziennik intymny*. Wiersze z lat 1976-1994. Str. 120 i 8 nlb. (Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1995).
- POLISZCZUK (Wiktor). *Gorzka prawda*. Zbrodnicość OUN-UPA (spowiedź Ukraińca). Str. 422 i 4 nlb. (Nakładem Autora, Toronto-Warszawa-Kijów 1995).
- URBANEK (Mariusz). *Piłsudski bis*. Str. 148. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Most, Warszawa 1995).

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

5.6.95

W ramach cyklicznych spotkań z wybitnymi postaciami polskiej emigracji odbył się w Rzeszowie wieczór autorski Adama Czerniawskiego, poety, krytyka, tłumacza, zamieszkałego stale w Londynie. Spotkanie odbyło się dzięki staraniom redakcji pisma literackiego *Fraza* oraz Zakładu Literatury Polskiej XX wieku WSP. ■ Sześć nagród po 50 mln starych zł każda i osiem wyróżnień w wysokości 25 mln zł postanowiło przyznać jury konkursu na wystawienie polskiej sztuki współczesnej. Nagrody zostały wręczone w resorcie kultury. Otrzymali je: Sławomir Mrożek za sztukę „Miłość na Krymie”, Erwin Axer za jej reżyserię w Teatrze Współczesnym w Warszawie, Włodzimierz Odojewski za sztukę „Trzy szkice miłosne”, Teatr im. C. Norwida w Jeleniej Górze za przedstawienie „Stara kobieta wysiaduje” Tadeusza Różewicza, Irmina Babińska za tytułową rolę w tym spektaklu oraz Jerzy Trela za rolę Zachedryńskiego w przedstawieniu „Miłości na Krymie” w Starym Teatrze w Krakowie.

14.6.95

Minister Spraw Zagranicznych RP, Władysław Bartoszewski, dokonał otwarcia konsulatu generalnego w Grodnie.

19.6.95

Zmarła w Warszawie Maria Wiłkomirska, wybitna pianistka.

1.7.95

Bolesław Taborski otrzymał nagrodę ZAIKSU na rok 1995 za przekłady na język polski. W 1990 roku otrzymał analogiczną nagrodę za przekłady literatury polskiej na język angielski. Pierwszy jego przekład na język polski – „Moc i chwała” Greene’a – ukazał się w swoim czasie w Bibliotece „Kultury”. ■ Instytut Historii PAN w Warszawie zorganizował sesję poświęconą 70-leciu Piotra Wandycza, dedykując mu XXX tom „Z dziejów Rosji i Europy Środkowo-Wschodniej”.

16.7.95.

Zmarł w Warszawie, w wieku 66 lat Kazimierz Dobrowolski, organizator i kolporter w okresie stanu wojennego wydawnictw drugiego obiegu na terenie całego kraju, używający pseudonimu Janusz. Sekretarz Komisji d/s Emigracji i Polaków za Granicą w Senacie RP w latach 1989-1994. Przyjaciel *Kultury*.

24.7.95

Zmarł w Warszawie w wieku 86 lat prof. Jerzy Toeplitz, wybitny historyk filmu i pedagog.

ZACHÓD – EMIGRACJA

25.5.95.

Zmarł w Argentynie w wieku 95 lat pułkownik Władysław Michniewicz, wybitny wojskowy, szef Oddziału II w 2 Korpusie gen. Andersa.

2.6.95

W Konsulacie Generalnym RP w Chicago odbyła się uroczystość 25 rocznicy Księgarni „Polonia” prowadzonej przez p. Mirę Puacz. Mira Puacz otrzymała nagrodę Fundacji Kościuszkowskiej, a Grzegorz Boguta, prezes Polskiej Izby Książki, wręczył jej certyfikat honorowego członka Polskiej Izby Książki – certyfikat nr 1.

6.6.95

W szwajcarskim Muzeum Witrażu w Romont w kantonie fryburskim oraz w Muzeum Sztuki i Historii we Fryburgu odbyły się wernisaże dwóch równoległych wystaw pod wspólnym tytułem „Józef Mehoffer i sztuka witrażu w stylu *Art nouveau*”, zorganizowanych z okazji stulecia wygranego przez Mehoffera międzynarodowego konkursu na serię witraży. Wystawa w Romont pokazuje prace Mehoffera zrealizowane w Szwajcarii (oprócz słynnych witraży w katedrze fryburskiej, które nie mogły być przeniesione z powodów technicznych), a także prace artystów szwajcarskich z okresu sprzed pierwszej wojny, inspirowane twórczością Mehoffera. Na wystawę we Fryburgu składają się wypożyczone z Krakowa kartony, szkice i rysunki do witraży, a także obrazy olejne Mehoffera z kolekcji szwajcarskich i polskich.

10.6.95

Na Uniwersytecie w Fordham w Nowym Jorku odbył się Zjazd Polskiego Instytutu Naukowego. Przyznano nagrodę im. Oskara Haleckiego profesorowi Andrzejowi Kamińskiemu za najlepszą książkę historyczną opublikowaną w ciągu ostatnich dwóch lat. Nagrodę nauk społecznych im. Bronisława Malinowskiego otrzymali dr Zbigniew Brzeziński i dr Helena Znanińska-Lopata. Nagrodę w dziedzinie nauk przyrodniczych im. Kazimierza Kunka otrzymał dr Ronald Hoffman, laureat Nagrody Nobla i profesor fizyki w Uniwersytecie Cornell. Nagrodę im. Ludwika Krzyżanowskiego za najlepszy artykuł opublikowany w minionym roku w *Polish Review* przyznano dr. Andrzejowi Chmielarzowi z Uniwersytetu Warszawskiego. Ponadto przyjęto Jaroslava Peli-

kana, prezesa Amerykańskiej Akademii Nauk, na honorowego członka Instytutu, jak również Andrzeja Walickiego z Uniwersytetu Notre Dame, Stanisława Barańczaka z Uniwersytetu Harvarda i Josepha Rothschilda z Uniwersytetu Columbia.

15.6.95

Kongres Stanów Zjednoczonych rozpatruje sprawę likwidacji *Głosu Ameryki* w ramach polityki oszczędnościowej. Jednocześnie Radio Wolna Europa i Radio Swoboda definitywnie zlikwidowały swoją działalność w Monachium przenosząc się ze względu na oszczędnościowych do Pragi. Przyszłość obu tych radiostacji jest bardzo niepewna.

29.6.95.

Zmarła w Anglii w wieku 95 lat Jadwiga Aldona Świącicka, działaczka niepodległościowa, oświatowa i społeczna.

5.7.95

W Wilnie Prezydent Litwy A. Brazauskas udekorował Michała Giedroycia z Oxfordu Orderem Giedymina za pracę naukową nad historią WXL oraz za działalność na rzecz kultury litewskiej i kontaktów naukowych między Litwą i Wielką Brytanią. Giedroyc został równocześnie zaproszony przez litewskie Ministerstwo Kultury do udziału w pracach nad budową regionalnego muzeum w Worniach, stolicy dawnego biskupstwa żmudzkiego. W związku z tym został przyjęty dn. 7.7.95 w Telszach przez Biskupa A. Vaičiusa, następcę hierarchów żmudzkich z czasów Pierwszej Rzeczypospolitej. Odwiedził również dn. 4.7.95 b. klasztor Augustianów de Poenitentia w Widziniskach koło Giedroji, gdzie restauracja fresków i malowideł ściennych jest na ukończeniu.

8.7.95

Zmarła w Montrealu w wieku 99 lat Wanda Stachiewicz, córka współzałożyciela Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, historyka Władysława Abrahama. Wdowa po generale Wacławie Stachewiczu. Była ona założycielką Biblioteki Polskiej na Uniwersytecie McGill i długoletnią jej kierowniczką, członkiem Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie oraz Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Była autorką wielu monografii historycznych w języku angielskim oraz wspomnień pt. „Journey through History”. W uznaniu jej zasług walne zebranie Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie nadało Bibliotece Polskiej w Montrealu nazwę: Biblioteka Polska im. Wandy Stachewicz, The Wanda Stachewicz Polish Library.

16.7.95.

Stefan Meller, wiceminister Spraw Zagranicznych RP, historyk Rewolucji Francuskiej, otrzymał francuską Komandorię Palm Akademickich. ■ Uniwersytet w Düsseldorfie przyznał Andrzejowi Szczypiorskiemu nagrodę Andreasa Gryphiusa.

22.7.95.

Zmarła w Paryżu Wanda Blankenheim-Ładniewska, rzeźbiarka, więzień Oświęcimia i Ravensbrück, autorka wspomnień o Boyu-Zeleńskim.

25.7.95.

Ze względu na oszczędnościowych Stany Zjednoczone zamykają z początkiem przyszłego roku szereg przedstawicielstw dyplomatycznych na świecie, m.in. konsulata USA w Poznaniu.

28.7.95.

Zmarła w Genewie w wieku 82 lat Zofia Kallenbach. Pracowała w Czerwonym Krzyżu od stycznia 1944 do czerwca 1975 jako dyrektorka Sekcji Polskiej. Oddała nieocenione usługi w poszukiwaniu rodzin i jeńców wojennych. Po przejściu na emeryturę, pomagała swemu mężowi, Zygmuntowi Kallenbachowi, w jego pracy w Fundacji Kościelskich oraz wysyłaniu książek do PRL i innych krajów bloku komunistycznego.

30.7.95.

Zmarła w Londynie Alicja Drwęska, malarka i krytyk sztuki.

9.8.95.

Zmarł w Stanach Zjednoczonych w wieku 75 lat Romuald Spasowski. Będąc ambasadorem PRL w Waszyngtonie w grudniu 1981 r. poprosił o azyl na znak protestu przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Został skazany zaocznie na karę śmierci i konfiskatę majątku. W 1986 r. Spasowski wydał swoją autobiografię pt. *Liberation of One*. W 1993 r. uzyskał obywatelstwo amerykańskie. W tym samym roku prezydent Wałęsa przywrócił Spasowskiemu obywatelstwo polskie. Jednak Spasowski zachował obywatelstwo amerykańskie. Przed śmiercią Spasowski, ciężko chory na raka, stworzył fundację swojego imienia, której celem ma być pomoc młodym Polakom studiującym na uniwersytetach w USA zagadnienia etyki i moralności w życiu publicznym. Jego żona, Wanda była kuzynką gen. Sikorskiego.

Z ostatniej chwili

17-go sierpnia miał miejsce w Warszawie Zjazd tzw. sowietologów poświęcony Europie Środkowo-Wschodniej, zorganizowany przez PAN, URM i Fundację Batorego. W Zjeździe uczestniczyło około tysiąca socjologów i historyków, ale niestety prawie nie było na nim Rosjan i uczonych ze Wschodu, gdyż udział w Zjeździe kosztował 150 dolarów (miesięczna pensja

członka Rosyjskiej Akademii Nauk). Zjazd miał charakter raczej imprezy towarzyskiej, gdyż podzielił się na dziesiątki paneli obradujących nad setkami problemów, nie doprowadzając do konkretnych wniosków, które mogły być uchwalone przez plenum.

Kronika szwedzka

„Lista Sarajewa” jest nową partią założoną przez osobistość świata nauki i kultury (m.in. przez Wilhelma Agrella i Bibbi Andersson) w celu kandydowania do Parlamentu Europejskiego. Partia żąda od europejskich polityków większego zaangażowania w szybkie zakończenie wojny w b. Jugosławii i utworzenie z Bośni – suwerennego i wielonarodowego kraju. ■ Ostatnio rząd podjął decyzję o pomocy krajom postkomunistycznym. Pomoc ta ma być w wysokości 4 miliardów koron w okresie 3-5 lat. Kraje bałtyckie i Polska znajdują się na czele listy pomocy. Chodzi tu o zwiększenie bezpieczeństwa, kontroli granic, wybrzeży, zwalczanie przemytu ludzi oraz nielegalnego handlu bronią i materiałami radioaktywnymi. Jednocześnie zmniejsza się o 46 milionów koron wydatki na ochronę środowiska wokół Bałtyku. ■ Związek Polskich Katolików w Göteborgu obchodził 18 maja br. 10-lecie swego istnienia. Pani Ambasador Tuge-Erecińska otworzyła nowy lokal Stowarzyszenia Polskiego w Göteborgu. ■ W ostatnio wydanej antologii „Świat w Szwecji” zawierającej nowele, fragmenty powieści i eseje znajduje się nazwisko Zbigniewa Kryzyskiego oraz wybór z powieści „Punkt Zero” Michała Moszkowicza, autora kilku powieści w języku polskim. ■ W marcu br. ukazała się w wydawnictwie Brombergs powieść Pawła Huelle „Weiser Dawidek” w tłumaczeniu Andersa Bodegård. ■ W kwietniu br. telewizja i prasa oskarżyły Polskę o zanieczyszczanie Bałtyku ropą z polskich wież wiertniczych. Ropa dopływająca do wybrzeży Gotlandii spowodowała zagładę setek a może tysięcy ptaków morskich. ■ Ogólnokrajowa telewizja i dziennik *Aftonbladet* powróciły do sprawy handlu polskimi dziećmi. Według polskiej statystyki do Szwecji wyjechało w 1991 roku 141 dzieci. ■ Krąg Starszoharcerski w Sztokholmie „Pazury” pod kierownictwem założyciela i długoletniego wodza, Feliksa Tomczaka, obchodził w czerwcu br. 50-lecie swego istnienia z udziałem członków i członkiń ze Szwecji, Kanady i Stanów Zjednoczonych. Zjazd miał miejsce w Dyvik pod Sztokholmem.

A. RIEDL

Listy do Redakcji

Warszawa, 22 czerwca 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Maleńki i spokojny akapit w moich „Kartkach ze skażonej strefy” (*Kultura*, nr 12, 1994) doczekał się stronniczego i utrzymanego w niesłychanie emocjonalnym tonie listu ze strony Macieja Howieckiego (*Kultura*, nr 5/1995).

Odpowiadam na zarzuty: wyrażenie „wchodzenie tylnymi drzwiami” oraz sumę 20 mln starych zł miesięcznie z kasy TV, na co tak bardzo oburza się autor, wzięłam nie z plotek, ale z prasy, która rozwodziła się o sprawie szeroko. Moją winą jest, iż nie podałam źródeł, za co serdecznie przepraszam.

Nadal jednak pozostaje dla mnie kwestią nie całkiem jasną moralnie, czy właściwym jest natychmiastowe podjęcie współpracy z firmą, którą się nadzorowało i dla której wybrało się niedawno prezesa.

Pozostaję z szacunkiem

Ewa BERBERYUSZ

Melbourne, 14 lipca 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dr W. M. Szczygielski uważał za stosowne wykorzystać wzruszające i treściwe wspomnienie Profesora Wandycza o śp. Wacławie Jędrzejewiczu (*Kultura*, nr 556/557) do ponowienia swoich poglądów na temat przedwojennej, radykalnej reformy polskiego szkolnictwa (*Kultura*, nr 571). Ze względów rodzinnych, a także jako przedstawiciel pokolenia, które przeszło przez inauguracyjny cykl tej reformy (1933/34; klasa I nowego typu; wiosna 1937, mała matura; 1937-39 liceum; maj/czerwiec 1939 matura licealna), uważam, iż nie wolno mi wypowiedzi p. Szczygielskiego pominąć milczeniem. Dodam, iż moja reakcja oparta jest na mojej własnej pamięci, na opublikowanych wspomnieniach Janusza (byłem świadkiem ich powstawania w Londynie, w ostatnich latach jego życia) i Wacława Jędrzejewiczów, a także i na bezpośrednich rozmowach przeprowadzanych z Nimi w czasie bardzo zażyłej przyjaźni, którą byłem przez nich przez wiele dziesiątków lat darzony.

Wbrew twierdzeniu dr. Szczygielskiego uważam, że nazwisko Waclawa należy wymieniać wśród osób związanych z ową reformą szkolną, oczywiście w okresie jej realizacji. W wielkim skrócie, Premierowi J. Jędrzejewiczowi, ustępującemu z ministerstwa W.R. i O.P. w marcu 1934 r. zależało na tym, ażeby zainaugurowana przez niego reforma była kontynuowana przez osobę nie tylko energiczną, ale i darzoną przez Niego całkowitym zaufaniem. Wybór padł na osobę jego brata, Waclawa, który, choć z wielkim oporem podjął się tego zadania, zaufania swego brata nie zawiódł. Trzy osoby, między 1932 i 1939 pełniły funkcję ministrów oświaty, a więc były odpowiedzialne za wprowadzanie w życie reformy: Janusz Jędrzejewicz, Waclaw Jędrzejewicz i Wojciech Świętosławski (pomijam siedem i pół tygodnia trwające kierowanie ministerstwem pod koniec 1935 roku przez K. Chylińskiego). Jak sam W. Jędrzejewicz pisze „Moja praca w oświacie trwała niedługo: rok i osiem miesięcy. Ale całkowicie zakończyłem w tym czasie reformę szkoły powszechnej i czteroklasowego gimnazjum. To było duże osiągnięcie. Zacząłem także przygotowywać programy licealne, ale tego już nie mogłem zakończyć. Dokonał tego mój następcza, prof. Wojciech Świętosławski...” (*Wspomnienia*, s. 216).

Chociaż sam Waclaw skromnie przyznaje, że reformę nazwano „jędrzejewiczowską, gdyż była ona całkowicie rezultatem pomysłów Janusza” (*Wspomnienia*, s. 215), nie powinno się pomniejszać Jego istotnej roli *we wcielaniu jej w życie, a więc roli jej wykonawczego współtwórcy.*

W grę tu wchodziła olbrzymia odpowiedzialność za powodzenie tej reformy. Któż bowiem ponosiłby ją w razie fiaska? Czyż Waclaw – a więc ani Janusz, ani też ceniony przez Nich Kazimierz Pieracki, ani inni zasłużeni współpracownicy w Ministerstwie Oświaty – nie zostałyby uznany za głównego winowajcę? W tym samym sensie uważam, iż wobec powodzenia tej podstawowej, kluczowej fazy reformy, nie można odmawiać Waclawowi należnego mu miejsca w tym przełomowym rozdziale historii szkolnictwa polskiego.

Inna to rzecz, że w świetle Jego życiowej służby dla Ojczyzny – mam na myśli działalność niepodległościową przed 1914 r., służbę w P.O.W. i w Legionach, służbę wojskową i cywilną w Niepodległej Polsce, a wreszcie tak owocną pracę polityczną i naukową w Stanach Zjednoczonych w ciągu i po drugiej wojnie światowej – ów rozdział stanowi bardzo drobny odcinek Jego patriotycznej ofiarności.

Znając Waclawa od 1931 roku, a więc od mych lat dziecińczych, a jako dorosły rozumiejąc i obserwując Go w tragicznych latach wojennych i powojennych, potwierdzam opinię Prof. Wandycza, iż ten wybitny Polak „był człowiekiem bardzo skromnym i samokrytycznym”. Z tego też względu bezpodstawnym zarzut dr. Szczygielskiego, iż używając w swych wspomnieniach „...fikcji Waclaw Jędrzejewicz budował swoje przyszłe ‘zasługi reformatora’” napawa mnie niesmakiem.

Pozostaje z głębokim szacunkiem

Andrzej S. EHRENKREUTZ

Londyn, 10 lipca 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z opublikowanym artykułem p. Jakuba Strzeleckiego w *Kulturze*, nr 6/573 pt. „Kronika londyńska” czuję się w obowiązku zabrania głosu na ten temat.

Nie wiem kim jest p. J. Strzelecki i skąd posiada tak nieścisłe, niektóre wręcz nieprawdziwe wiadomości, podane w artykule.

Sprawa nominacji Karola Drozda na stanowisko Konsula Generalnego RP w Londynie była poruszana na Walnym Zjeździe Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. Dyskusja na ten temat była dość szeroka i jednomyślna, lecz nie w takim kontekście jak przedstawił autor artykułu.

Dobrze byłoby, aby autor artykułu wnikliwiej zapoznał się z powyższą sprawą przed wydrukowaniem swojej opinii. Pragnę zaznaczyć, że Walny Zjazd nie zgłosił wniosku lecz wystosował apel proszący MSZ o ponowne rozpatrzenie nominacji. Stwierdzenie, że „Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii pragnie mieć wpływ na politykę kadrową MSZ w Warszawie” jest błędne. Organizacja nasza jest organizacją apolityczną. Występuje tylko i wyłącznie w obronie własnych interesów oraz interesów Polski wobec władz kraju naszego zamieszkania, jak również zależy nam bardzo aby wznowiona po 50 latach współpraca pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Polonią Wielkiej Brytanii układała się harmonijnie na płaszczyźnie wzajemnego zaufania.

Helena MIZINIAK

Sekretarz Generalny Zjednoczenia Polskiego w WB

Monachium, dnia 23 lipca 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W lipcowo-sierpniowym numerze *Kultury* (nr 7/574-8/575) w cyklu „Sprawy i troski” ukazał się artykuł Pana Adama Nasielskiego pt. „Polska prasa w Australii”. Zarówno tytuł jak i początek tego tekstu sugeruje, iż Autor ma zamiar omówić całą australijską prasę polską – od dzienników po kwartalniki włącznie. Tak jednak się nie stało.

Nie wiem dlaczego i czy w sposób zamierzony, czy też nie, ale przechodząc do czasów mniej odległych Autor zapomniał, czy też nie zauważył kilku ambitnych prób „młodej” emigracji.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych na przykład, trudno było przeoczył wydawany w Melbourne międzynarodowy, niezależny miesięcznik w języku polskim *Tu i tam*. Starannie redagowane pismo miało na niezłym poziomie artykuły a imponująca szata graficzna nie ustępowała najlepszym tego typu w świecie. Miesięcz-

nik kolportowany był w Ameryce, Europie no i – rzecz zrozumiała – w Australii. Pismo upadło z powodów finansowych. Rodzimy emigrantom o wiele łatwiej bowiem było i jest wydawać „parę groszy” na papierosy czy też – jak napisał wówczas do mnie z żalem wydawca i redaktor naczelny pisma, Pan Tadeusz Matkowski – „na pół litra i *Trybunę Ludu*”, niż na troszczące się o ich sprawy czasopismo.

Trudno jest też obecnie chyba przeoczyć wydawany w cyklu miesięcznym od blisko roku w Victorii magazyn ilustrowany *Alfa*.

Można ubolewać – jak to czyni Pan Adam Nasielski – nad jakością i upadkiem pism, ale nie wolno nie zauważać nowo powstających. Pisma te mogą się nam podobać lub nie, zupełne jednak ich niezauważanie i lekceważenie w tego typu omówieniu traci jakby „kłamaniem prawdą”, czyli znaną skądinąd metodą dziennikarską z nie najlepszych czasów.

Z poważaniem

Dr Jerzy SONNEWEND

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękuję za cytowanie i druk wypowiedzi Chaima Herzoga i Romana Herzoga w artykule L.Ungera „Paradoksy Rosji” (nr 6/1995):

„50 lat po wyzwoleniu obozu w Bergen-Belsen, spotkali się na apelowym placu dwaj panowie o tym samym nazwisku: Herzog Chaim, były prezydent Izraela, i Herzog Roman, obecny prezydent Niemiec. Izraelczyk sięgnął do Historii. ‘Martwi mają prawo wybierać, powiedział, żywi nie mają prawa zapomnieć’. Niemiec także sięgnął do Historii, ale po to, aby wysnuć wniosek na dziś. ‘Jesteśmy odpowiedzialni, powiedział, nie tylko za to co czynimy, ale także za to, na co pozwalamy’”.

To szlachetne alarmy tonącego okrętu politycznej i moralnej „cywilizacji” Zachodu.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

Janusz K. ZAWODNY

Prof. Em. polityki międzynarodowej

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

E.L.-L., Szwecja – Epitafium wierszem nie wydaje nam się udane.

Czy nie lepiej napisać wspomnienie prozą o Norbercie?

A.T.B., Francja – Wybraliśmy do druku wiersz *Drabina nonsensu*.

T.Ch., USA – Wybraliśmy do druku wiersz *Piach*.

I.S., USA – Wybraliśmy do druku wiersz *Piach*.

S.E.G., Polska – Wybraliśmy do druku wiersz dedykowany Achmatowej.

J.Z., Niemcy; E.B., Polska; W.K., Polska; M.L., Szwecja; P.P., Niemcy; B.P., Polska – Z wierszy nie skorzystamy.

S.D., Polska – Artykuł jest nieciekawym. Wydrukujemy wiersz *Kropło miłości*.

E.K., Francja – Opowiadanie *Następny do nieba* jest okropne. I treściowo i językowo.

R.W., Polska – Dziękujemy za list, chociaż nie bardzo wiadomo o co Panu w nim chodzi.

R.J.O., USA – *Kultura* nie jest pismem anglojęzycznym, o tym powinien Pan chyba wiedzieć.

J.B., Australia – Opowiadanko *Trzeba dojść* jest po prostu wątle i nijakie.

S.M., Holandia – Temat „nowych decydentów w sprawach kulturalnych” jest niby aktualny, ale ilekroć o nim mowa, pojawia się wrażenie jałowości. Wiadomo jak było dawniej (inwestować z myślą o zysku politycznym), wiadomo jak jest dzisiaj (nie można niczego doradzać w sporze między „podejściem elitarnym a populistycznym”, bo „nowi decydenci” wolnorynkowi powołują się na swoje racje). I tak pewnie pozostanie. Skromną rolę mogą odegrać tylko państwowe instytucje kulturalne, na ogół dość biedne i niestety skąpe.

K.P., USA – Opisywane przez Panią zjawiska (krajobraz i jego malarze w Ameryce) są dosyć znane. Wielki Kanion malował również nasz Jan Lebenstein.

T.L., Kanada – W tej postaci *Gwiazdy* wydają nam się słabutkie. Trudno powiedzieć, czy zyskałyby na rozbudowaniu w powieść.

A.L.-L., USA – Temat wybrany przez Panią protegowanego – krzyk samotnej matki – jest tak dramatyczny, że źle znosi to co nazwalibyśmy (z przykrością) „babskim gadaniem”.

H.S., Brazylia – Pana drobiazg jest przyjemny, ale błahy (w potraktowaniu tematu).

W.S.Sz., Polska; M.L., Szwecja – Artykułów nie zamieścimy.

J.E., Polska – Nie zamieszczamy przemówień.

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Magnetyzm umiaru</i>	156
Stefania Kossowska:	<i>W jej oczach</i>	161
-	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	164
-	•	
-	<i>Wydarzenia miesiąca i kronika szwedzka</i>	166
-	•	
E. Berberysz, A.S. Ehrenkreutz, H. Miziniak, J. Sonnewend, J. K. Zawodny:	<i>Listy do Redakcji</i>	171
-	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	175

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja

Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Włoski korespondent „Kultury”: **Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI**
Napoli, via Crispi 69 – Telefon: (39 81) 66 57 28.

Wydawca: **INSTITUT LITTERAIRE**
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: **Jerzy Giedroyc.**

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^{ème} trimestre 1995.

Skład komputerowy: **MacWire Diffusion.**

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: **JERZY GIEDROYC**

Adres Redakcji: **91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi**
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04
Fax: (33-1) 39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 1995

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza , 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca» , Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska , 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz , Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska , E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska , 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski , 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches , 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński , 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner , Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, Postfach 340108, D 80328 München, tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel , Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko , Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek , Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska , 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski , 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch , 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore , 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik , 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn, 06053; Księgarnia Ludowa , Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books , 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika» , 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd. , 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska , 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 485 – WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



Tom 490 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO TRZYNASTY

zawiera opracowania: W. Grochala, T. Kędziora, M. Kielak, J. Kodym, M. Kula, T. Markiewicz, D. Smoleń: *Missi domini novych czasów*; A. Grzywacz, G. Mazur: *Lotnictwo polskie w Planie Operacyjnym „Wschód”*; Wł. Zajewski: *Polska – Belgia: dwie drogi do niepodległości*; B. Skaradziński: *Wronki – Warszawa – Wronki*; Wł. Kempfi: *Między Katowicami, Wrocławiem i Legnicą*; St. Iwanowski: *Samobrona w Lidzie i Grodnie w 1918-1919*; L. Kowalski: *KOK wobec opozycji politycznej i Kościoła w latach 80-tych*; K. Lanckorońska: *Rada Regencyjna*; P. Daszkiewicz: *„Pamiętnik Farmaceutyczny” i Maison Verreaux*; Wł. Kijuć: *Armia Krajowa na Litwie i Białorusi; Generał Sikorski od kulis*; R. Löw: *Paweł Glikson*; T. Wyrwa: *Polskie Radio w powstańczej Warszawie oraz Lotny Oddział A.K. „Szarugi” na Lubelszczyźnie*; Z.S. Siemaszko: *Siostry Dziewulskie*; J.M. Majchrowski, G. Mazur: *Generacja II Rzeczypospolitej*; K. Tarka: *Rząd na uchodźstwie*; P. Żbikowski: *O insurekcji kościuszkowskiej i jej przywódcach*; oraz LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F